



Zygmunt  
Zeydler-Zborowski



WERNISAZ

PIERWSZE WYDANIE KSIĄŻKOWE

*Ali-Baba*

**ZYGMUNT ZEYDLER-ZBOROWSKI**

**WERNISAŻ**

Zimne światło jarzeniówek wydobywało z półmroku kształty i kolory. Przeważały biel i czerń. Gdzieniegdzie połyskiwała ostra, agresywna czerwień. Zieleni i żółci artysta używał bardzo oszczędnie. Płótna porozwieszane były efektownie, dobrane kolorystycznie i dobrze oświetlone.

Zaproszeni goście dopisali. Stawili się w komplecie. W trzech obszernych salach było tłoczno. Raul triumfował. On umiał organizować takie imprezy. To go bawiło i sprawiało ogromną satysfakcję. Nabral już dużej wprawy. Uważał się za wybitnego fachowca.

Jak to zazwyczaj bywa na wernisażach, niewiele interesowano się dziełami sztuki. Rozmawiano o polityce, o ostatnich meczach piłki nożnej, o zatrważającym wzroście cen, o ciężkiej sytuacji ekonomicznej kraju, a prócz tego naszeptywano sobie poufnie najnowsze plotki i ploteczki - kto, z kim, gdzie i dlaczego. Nie wszyscy jednak zajęci byli wyłącznie rozmową. Sporo osób lawirowało w kierunku zgrabnych stoliczków, na których ustawiono kieliszki i szklanki, napełnione najrozmaitszymi trunkami. Prócz tego kanapki, paszteciki, oliwki, migdały i owoce, efektownie poukładane na srebrnych paterach.

Profesor Manzano niecierpliwym ruchem poprawił zsuwające się po wąskim, haczykowatym nosie okular i powiedział:

- Ależ to prawdziwa ucztą, pani hrabino. Uśmiechnęła się, odsłaniając podejrzenie rów i błyszczące nieskazitelną bielą zęby. Wysoka, świetnie zbudowana, miała w sobie coś władczego, coś, co nawet bliższym znajomym nakazywało szacunek i utrzymywanie odpowiedniego dystansu. Mimo iż wiosnę życia miała już dawno za sobą, była jeszcze kobietą bardzo atrakcyjną i mogła zafascynować niejednego mężczyznę.

- Pan żartuje, drogi profesorze. To przecież tylko taki

skromny poczęstunek dla przyjaciół i dla osób, które interesują się twórczością mojego syna. Miło mi, że pan skorzystał z naszego zaproszenia. Czy zdążył pan już rzucić okiem na obrazy?

Profesor znowu poprawił okulary i sięgnął po kieliszek koniaku.

- Bardzo interesujące prace, bardzo. Ogromnie żałuję, że nie mogę osobiście pogratulować pani utalentowanemu synowi.

-Ja także żałuję, że go tu dzisiaj nie ma między nami - westchnęła hrabina. - Ale tak się niefortunnie złożyło, że Armando został pilnie wezwany do Nowego Jorku i nie zdążył na samolot odlatujący do Rzymu.

- To i w Nowym Jorku syn pani będzie organizować Wystawę? - zainteresował się profesor.

- Przypuszczalnie dopiero na początku przyszłego roku. Niewykluczone, że i w Paryżu...

Dalszy ciąg rozmowy przerwała inwazja dziennikarzy. Otoczyli hrabinę zwartym kołem.

- Dwa słowa dla „Corriere delia Sera”.

- Maleńki wywiadzik dla „Avanti”.

- Parę słów dla „II Messaggero”. Nie dała się ubłagać.

- Nie nalegajcie, panowie. Dzisiaj nie będę rozmawiała z prasą. Ogłosiłam przecież, że konferencja prasowa odbędzie się w najbliższy wtorek. Być może, że wtedy i mój syn Weźmie w niej udział. Bardzo proszę, nie róbcie zamieszania.

Ten i ów próbował jeszcze uzyskać chwilę rozmowy, ale wobec zdecydowanej postawy hrabiny z wolna poczęli się rozchodzić. W międzyczasie profesor Manzano pokuśtykał w kierunku grupki starszych panów rozprawiających o czymś z ogromnym ożywieniem.

Podszedł Raul. Wysoki, smukły, o śniadej cerze i dużych ciemnych oczach południowca. Nerwowym ruchem przeciągnął dłonią po bujnej kasztanowej czuprynie.

- Chyba się udało - powiedział dźwięcznym barytonem.

- Nadspodziewanie. Nie sądziłam, że aż tylu ludzi przyjdzie. Dobrze to zorganizowałaś. Jestem ci bardzo wdzięczna.

Pieszczotliwym ruchem dotknęła jego dłoni. Nie odwzajemnił

uścisku. Powiedział:

- Obawiam się, że będą kłopoty. -Jakie kłopoty?

- Dzwonił wczoraj Luciano.

- Czego chciał?

- Chciał mówić z Tobą.

- Nie powiedział, o co chodzi?

- Wyraźnie nie, ale dał do zrozumienia, że ma dosyć.

Spojrzała zdumiona.

- Dosyć? Czy on oszalał? Raul uśmiechnął się.

- To bardzo prawdopodobne. Wiesz, jaki jest nie zrównoważony.

- Kretyn - szepnęła przez zaciśnięte zęby. - Trzeba mi było wczoraj powiedzieć.

- Nie było cię w Rzymie. A przed samym wernisażem nie chciałem cię denerwować.

W oczach hrabiny pojawiły się złe błyski.

- Niech ten imbecyl uważa, bo to się może dla niego bardzo źle skończyć.

- To tylko taki chwilowy nastrój - próbował łagodzić Raul. - Niewykluczone, że już dzisiaj mu przeszło. Chcesz, żebym pojechał i porozmawiał z nim?

Potrząsnęła głową.

- Nie. Sama pojedę. Jutro.

Zaczęli podchodzić znajomi i przyjaciele.

- Wspaniała wystawa, droga Renato, naprawdę wspaniała. Gratuluję.

- Pani syn to wielki talent. Ogromnie chciałbym go poznać...

- Jaka szkoda, że mistrza nie ma między nami. Tak chętnie trąciłbym się z nim kieliszkiem.

- Znakomite prace, znakomite. Muszę tu przyjść, jak nie będzie takiego tłoku.

Była zmęczona. Dzień był wyczerpujący, pełen wrażeń. To, co powiedział Raul, zdenerwowało ją. Coraz częstsze buntownicze wystąpienia Luciana napawały ją niepokojem. Nie szczydziła przecież trudu i pieniędzy, żeby wszystko szło po jej myśli, żeby wszyscy wokół niej byli zadowoleni. Już ja z nim rozmawiam - myślała ze złością. - Już ja mu wybiję z głowy te wszystkie

histeryczne nastroje." Co chwilę rozdawała uprzejme uśmiechy, dziękowała, siłała się na miłe słowa. Starła się być czarująca. Chwytała pełne uznania i podziwu spojrzenia mężczyzn i niezbyt szczere, podszyte utajoną zawiścią uśmieszki kobiet. Wiedziała, że jej zazdrosczą powodzenia, pozycji towarzyskiej i utalentowanego syna. Była kimś, liczyła się, była ozdobą każdego, nawet najbardziej ekskluzywnego przyjęcia. Ale teraz miała już dosyć. Była zbyt sfatygowana, żeby móc cieszyć się nowym sukcesem.

Wreszcie wernisaż dobiegł końca. I znowu pocałunki, uściski, gratulacje, pełne zachwyty okrzyki, żywe gestykulacje, którymi mieszkańcy słonecznej Italii od wieków wyrażają swoje uczucia. Goście zaczęli się rozchodzić.

W sąsiedniej sali odnalazła Raula.

- Odwieź mnie do domu - poprosiła. - Sono stanca. Raul skinął głową.

- Służę ci.

Zeszli po szerokich, marmurowych schodach. Na ulicy owionął ich ożywczy podmuch wiatru. Raul zaczął szukać swojego wozu. Wreszcie znalazł.

-Tak byłem tym wszystkim podekscytowany, że zupełnie zapomniałem, gdzie zaparkowałem - tłumaczył się.

W milczeniu zajechali na Parioli.

- Może wstąpisz do mnie na drinka - zaproponowała. - Tam, w tym tłoku nie zdołałam wypić nawet kieliszka koniaku.

Nie miał ochoty, ale wiedział, że nie może odmówić.

- Bardzo chętnie - uśmiechnął się nieco sztucznie. Spojrzała na niego uważnie.

-Jeżeli wolisz pojechać do siebie, to ja cię nie zatrzymuję.

- Ależ nie - zaprzeczył ze sztucznym ożywieniem. -Bardzo chętnie chwilę z tobą pogawędzę.

Mieszkanie było duże, kilkupokojowe, trochę przeładowane antykami i obrazami, porozwieszanymi dosyć beładnie.

Od razu podeszła do baru.

- Może ci pomóc?

- Nie, nie, nie trzeba. Wiem przecież, jaki koktajl najbardziej lubisz.

Po chwili kostki lodu grzechotały zachęcająco w kryształowych szklankach.

Usiadła na ogromnym, zarzuconym poduszkami tapczanie. On zagłębił się potężnym fotelu.

- Więc czego właściwie chciał Luciano? - spytała.

- Chciał rozmawiać z tobą. Dał do zrozumienia, że mu się już znudziła rola zesańca.

- Woli iść do więzienia? Wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia.

- Niewdzięczny człowiek. Tyle dla niego zrobiłam. Ale swoją drogą mógłby nam narobić kłopotu, gdyby nas opuścił. Nie jestem pewna jego dyskrecji.

Raul pociągnął spory łyk ze szklanki.

- Są różne sposoby, żeby nakłonić kogoś do zachowania dyskrecji - powiedział, a głos jego stał się nagle twardy.

Uśmiechnęła się.

- Wiem, że na tobie mogę polegać. Ale nie sądzę, żeby doszło do jakiegoś poważniejszego nieporozumienia. Mam nadzieję, że pewne rzeczy mu wyperswaduję.

Skinął głową.

- Jestem pewien, że to się ułoży. Ty masz wrodzony dar przekonywania ludzi.

Dłuższą chwilę milczeli. On palił papierosa, a ona bawiła się frędzlami swojego szala. Powiedziała:

- Usiadłeś tak daleko, że nieomal potrzebna mi jest luneta, żeby wyraźnie dojrzeć twoją twarz. Czy nie mógłbyś trochę się przybliżyć?

Zgasił papierosa, podniósł się z fotela i usiadł na tapczanie. Ogarnęła go nieodparta chęć ucieczki, byle dalej, byle dalej. Skończyć z tym wszystkim raz na zawsze. Zacząć nowe, własne życie. Z jakąż rozkoszą pobiegłby teraz na Zatybrze, żeby w podrzędnej trattorii pić liche wino z przygodnie napotkanymi obieżyświatami. Wiedział jednak, że musi trzymać nerwy na wodzy. Stawka była zbyt wysoka. Testament w każdej chwili mógł zostać zmieniony.

- Tak głupio zaplątałam te frędzle, że teraz nie mogę sobie dać rady. Pomóż mi.

Przysunął się i wziął do ręki szal. Starał się nie okazać znudzenia.

Delikatnie przesunęła dłońią po jego czuprynie.

-Jeszcze mnie dzisiaj nie pocałowałeś.

- Powiedziałeś, że jesteś zmęczona.

- Twoje pocałunki zawsze dodają mi sił. Ale może ty nie masz ochoty. Chciałabym, żebyś był ze mną zawsze zupełnie szczerzy. Pamiętaj, że te sprawy nie należą do twoich obowiązków służbowych.

Milczał. Nie znajdował słów, które w danym momencie mogłyby zabrzmieć przekonująco. Unikał jej wzroku. Ujęła go za rękę.

- A może pojawiła się w twoim życiu inna kobieta?

- Oszalałaś?!

- Czy mogę ci wierzyć?

Doszedł do wniosku, że nie ma co przedłużać tej rozmowy. Objął ją mocno i całował do utraty tchu. To była zawsze najlepsza i najpewniejsza argumentacja.

Obudziła się nad ranem. Łagodny blask zaczynał się już wkradać przez szyby okienne. Wieczorem nie myśleli o zasuwaniu zasłon i zamykaniu okiennic. Przeciągnęła się. Przyjemne rozleniwienie płynęło przez całe ciało. Tuż obok słyszała jego równy, miarowy oddech. Zamknęła oczy. Miała ochotę pospać jeszcze chwilę, ale sen przepędziły niespokojne, natrętne myśli. Dotychczas wszystko układało się pomyślnie. Nic nie zapowiadało jakichś niepożądanych komplikacji. Wiedziała jednak, że to nie może trwać wiecznie, że prędzej czy później pojawią się rysy na tak misternie wzniesionym przez nią gmachu. Największym niebezpieczeństwem był Luciano. Wprawdzie trzymała go mocno w ręku, ale ten gwałtowny, nieopanowany Sycylijczyk był zdolny do nagłych, nieprzewidzianych ekscesów, nie bacząc na grożące mu niebezpieczeństwo. Postanowiła z nim pomówić i wybić mu te historyczne fanaberie z głowy.

Przewróciła się na drugi bok i delikatnie dotknęła włosów śpiącego obok mężczyzny. Uśmiechnęła się. Wspaniały kochanek i zarazem idealny wykonawca jej najśmielszych



planów. Także Sycylijczyk, ale jakżeż niepodobny do tamtego. Spokojny, opanowany, umiejący się znaleźć w każdej sytuacji, obdarzony poczuciem humoru, z wytrwałym uporem pokonujący wszystkie trudności, zagradzające mu drogę do wytkniętego celu. Kupiła go. Nie miała złudzeń. Wiedziała, że gdyby nie jej pieniądze, to rozstanie nastąpiłoby już bardzo dawno. Jej fortuna była jednak zbyt silnym argumentem, żeby człowiek tego pokroju zdecydował się zrezygnować i odejść.

Ułożyła się na wznak i w zamyśleniu obserwowała pierwsze promienie słońca, pełzające nieśmiało po suficie. Poczula się nagle bardzo samotna.

\*\*\*

Droga pięła się pod górę. Krajobraz stawał się coraz bardziej surowy, nieprzyjazny, skalisty. W oddali, na horyzoncie widniały ośnieżone szczyty gór. Od czasu do czasu jakiś potężny ptak zrywał się z kamiennego urwiska i szybował nad przepaściami na wzór kondora.

I nagle, zupełnie niespodziewanie oaza zieleni. Ogród, strzeżony przez ujadające basowo psy i przez wysokopiennie pinie, osłaniające krzewy i kwiaty swymi płaskimi parasolami.

Masywną, żelazną bramę otworzył wysoki, szczupły mężczyzna o poranej słońcem twarzy i ogromnych czarnych oczach, gorejących niespokojnym blaskiem.

- Ciao, Luciano - zawołała wesoło, wychylając się z samochodu.

Uklonił się.

- Witam panią hrabinę - powiedział bez uśmiechu. Wysiadła i podeszła do niego.

- Coś ty dzisiaj taki nie w humorze?

- Nie mam powodu do radości.

- Czyż nie cieszy cię widok tego pięknego ogrodu? Milczał.

Wyraźnie unikał jej wzroku.

- Czy ogrodnik przychodzi regularnie? -Tak.

- Czy przynosi wszystko, co potrzeba?

- Tak. Jest bardzo sumienny.

- A Maria?

- Dobrze gotuje.

- Cieszę się, że wszystko jakoś tu się układa - powiedziała wesoło. - Ale dlaczego ty jesteś taki dziwnie ponury? Masz jakieś kłopoty?

- Czy pani chce go zobaczyć? - spytał niespodziewanie. W jednej chwili jej twarz sposepniała.

- Wiesz, że nie chcę. Po co pytasz?

- Myślałem, że... Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie, nie. Dajmy temu spokój.

- Teraz śpi. Dałem mu zastrzyk - wyjaśnił. - Był bardzo podekscytowany.

- Były po temu jakieś powody?

- Absolutnie żadnych.

Szli szeroką aleją w kierunku bielejącego wśród zieleni domu o dość dziwacznej architekturze. Coś pośredniego między willą, pałacykiem i średniowiecznym zamkiem.

- Chciałabym z tobą chwilę porozmawiać - powiedziała. Nie zareagował. Szedł posłusznie koło niej długimi, elastycznymi krokami.

- Pogoda jest tak wspaniała, że szkoda siedzieć w domu. Chodźmy do altany.

- Tak. Pogoda nam dopisuje - przyznał bezbarwnym, matowym głosem.

Altana była przestronna, ocieniona winną latoroślą. Usiedli na wygodnych fotelikach, obitych barwnym płótnem.

Wyjęła z torebki papierośnicę i położyła ją na owalnym stoliku.

- Wspomniał mi Raul, że jesteś z czegoś niezadowolony. Milczał. Siedział przygarbiony i przygryzał dolną wargę.

- Czego ci właściwie brakuje? Mieszkasz w pięknym otoczeniu, masz luksusowe wyżywienie, oddychasz wspaniałym powietrzem, nie przemęczasz się. A może brak ci dziewczyn?

- Pani doskonale wie, że mnie dziewczyny nie interesują.

- Daruj, ale chłopców sprowadzać ci tu nie będę.

- Czy pani oszalała?! - wybuchnął. - Mnie w ogóle te sprawy nie interesują.

- Więc o co ci chodzi?

Wstał i utkwił w nią spojrzenie swych ogromnych

błyszczących czernią oczu.

- Mam dosyć! Rozumie pani? Mam absolutnie dosyć!

- Czego masz dosyć, Luciano? - spytała równym, spokojnym głosem.

- Mam dosyć tego wszystkiego - wykonał szeroki ruch ręką. - Ja się tu duszę. Rozumie pani? Duszę się.

Zapaliła papierosa i przez chwilę przyglądała mu się uważnie. Pod wpływem jej wzroku skurczył się, jakby zmałał.

- Czy sądzisz, że w więzieniu będziesz miał więcej powietrza?

Usiadł i oburącz chwycił się za głowę.

-Wszystko mi jedno, wszystko mi jedno. Byłe się stąd wyrwać, byłe mieć to za sobą, byłe z tym skończyć. Już wolę więzienie.

- To ci się chyba tak tylko wydaje. Siedziałeś kiedyś w więzieniu?

- Nie. Jeszcze nie.

-A widzisz. Nie masz pojęcia o tym, co to jest więzienna cela.

- Mam dosyć! Mam dosyć! - powtarzał uparcie.

Odczekała dłuższą chwilę. Wolnym ruchem zgasiła papierosa w kryształowej popielniczce i ostrożnie dotknęła jego ręki.

- Co ci jest, Luciano? Co cię napadło?

Podniósł głowę i ogarnął ją roziskrzonym spojrzeniem.

- Czy to jest życie? Czy to jest życie?

- Uspokój się - poprosiła łagodnie. - Nie wiem, dlaczego jesteś taki zdenerwowany. Ja cię do niczego nie zmuszałam. Przypomnij sobie. Dostałbyś co najmniej dwadzieścia lat więzienia. Wybroniłam cię. Stworzyłam ci luksusowe warunki egzystencji. Masz przecież dużo czasu. Możesz pracować nad tą twoją rozprawą naukową, nocami pisać wiersze, możesz malować. Jesteś wszechstronnie utalentowany.

Wolisz gnąć w kryminale? Zastanów się.

Powoli zaczął się uspakajać.

- Będę malował - powiedział z determinacją. - Niech mi pani dostarczy papier, blejtramy, płótno, farby, pędzle. Będę malował.

Ucieszyła się.

- Dostaniesz wszystko, czego ci tylko będzie potrzeba. Już

widzę te twoje wspaniałe krajobrazy. Ale oprócz tego radziłabym ci nie zaniedbywać pracy naukowej. Jeżeli potrzebne ci są jakieś książki, to ci je dostarczę.

- A sztalugi także mi pani przywiezie?

- Oczywiście.

Najwyraźniej zapalił się do malowania. Twarz mu się rozjaśniła, oczy zabłyśły pogodnym blaskiem.

- Że też ja o tym wcześniej nie pomyślałem. Przecież tu są fantastyczne pejzaże.

- Wspaniałe - przyznała z przekonaniem. Nie przypuszczała, że tak łatwo uda jej się rozładować tę ciężką atmosferę. Była zadowolona z siebie. Zupełnie przypadkowo wpadła na genialny pomysł.

- Może nawet urządzę wystawę moich prac - fantazjował Luciano. Był typem człowieka, który bardzo łatwo przechodził od jednego nastroju do skrajnie odmiennego. Widział już się sławnym artystą, podziwianym przez tłumy znawców, zwiedzających światowe galerie.

Do poprzedniej, niemiłej rozmowy już nie powracali. Luciano był bez reszty pochłonięty perspektywą artystycznej kariery.

Omówili jeszcze szereg spraw związanych z utrzymaniem domu, spytała, czy potrzebne są jakieś lekarstwa, zastrzyki, zostawiła pieniądze na pensje dla ogrodnika i kucharki, wypytała szczegółowo o wszystkie ewentualne potrzeby, obiecała jak najszybciej wyposażyć pracownię malarską i zaczęła zbierać się do powrotnej drogi.

- Nawet pani niczym nie poczęstowałem - zasmucił się Luciano.

- Nic nie szkodzi. Nie jestem głodna.

Kiedy dojechała do Mediolanu, zapadła już noc. Zasadniczo była zadowolona z załagodzenia sytuacji, ale Luciano ciągle ją niepokoił. Kto wie, jak długo będzie chciał odgrywać rolę artysty malarza. W uszach dźwięczały jej słowa Raula: „Są różne sposoby, żeby nakłonić kogoś do zachowania dyskrecji”. To oczywiście była ostateczność. Tego nie chciała.

Pochylił się i patrzył na nieruchomą, stężałą twarz. „To był bardzo przystojny mężczyzna” - pomyślał. Pomimo że miał bardzo duże doświadczenie w tych sprawach, ciągle jednak czyjaś gwałtowna śmierć robiła na nim przygnębiające wrażenie. Ten przypadek poruszył go specjalnie. Młody człowiek, artysta... W kim mógł wzbudzić aż taką nienawiść? Komu zależało, żeby...?

Lekarz skończył wstępną obdukcję zwłok i poszedł do łazienki umyć ręce. Po chwili wrócił, zdjął białe fartuch i powiedział zmęczonym, matowym głosem:

- Pchnięcie w plecy długim, wąskim ostrzem. Prawdopodobnie została przebita lewa komora serca. Dokładne dane uzyskamy po dokonaniu sekcji.

-Te dokładne dane nie wrócą jednak życia temu człowiekowi.

Lekarz nie zareagował. Starannie pakował swoje przybory do płaskiej walizeczki.

- Czy jestem panu jeszcze potrzebny? - spytał. Górniak potrząsnął głową.

- Dziękuję, doktorze. Na razie to chyba byłoby wszystko. Po wyjściu lekarza energicznie zabrali się do roboty.

Błyskały flesze, trzaskały aparaty fotograficzne. Fachowcy od daktyloskopii mieli pełne ręce roboty. Pracownia była duża, dobrze wyposażona. Oprócz umeblowania sztalugi, blejtramy, pudełka z farbami, butelki z olejem i terpentyną, pędzle i różne inne drobiazgi. Wszystko trzeba było sprawdzić, wszędzie poszukać linii papilarnych.

Górniak zwrócił uwagę na mały stoliczek, na którym stały dwa kieliszki oraz do połowy opróżniona butelka ginu.

- Ostrożnie z tym, koledzy. Sprawdźcie bardzo dokładnie. Na pewno znajdziecie tu wyraźne odciski palców.

- Dolarowy trunek - uśmiechnął się porucznik Michałak.  
-Jaka szkoda, że nie można dotknąć tej butelki.

- Nie wygłupiaj się - ofuknął go Górniak. Nie lubił żartować

w takich sytuacjach. - Znalazłeś coś interesującego?

- Chyba tylko to...

Górniak wziął do ręki wycinek z gazety i przeczytał:

- „Francja, Włochy - samochodem, trzy miejsca wolne - wrzesień, październik. Telefonować między godziną siedemnastą a dziewiętnastą”.

-Trzeba będzie sprawdzić. Gdzie to znalazłeś?

- W jego portfelu.

-I co jeszcze?

- Właściwie nic. Same nic nieznaczące drobiazgi. Dowód osobisty, trochę złotych, trochę obcej waluty, pokwitowania pocztowe, jakiś medalik. Nic więcej.

- Wszystkie pokwitowania zachowaj. Medalik oczywiście także. Czy ta dziewczyna jeszcze czeka?

- Oczywiście. Nie pozwoliłem jej się zmyć. Jest w szoku.

- Nie szkodzi, damy jej coś na uspokojenie. Przejdzie jej.

- Chciałbyś z nią zaraz porozmawiać? -Tak.

Miała banalną twarz bez żadnego charakterystycznego wyrazu, ale za to bardzo zgrabne nogi.

- Ja przecież nie wiedziałam, nie wiedziałam, ja nic nie wiem, nic nie rozumiem...

- Proszę się uspokoić i odpowiadać na moje pytania -powiedział energicznie Górniak.

Usta jej drżały. Była bardzo blada.

- Przecież ja... Przecież ja... Nie mogę uwierzyć, nie mogę...

- Pani była modelką pana Zwolińskiego.

- Tak. Ale... ale... aleja go nie zabiłam. Górniak uśmiechnął się łagodnie.

- Nikt pani o to nie posądza. Proszę mi powiedzieć, jak często przychodziła pani do pracowni Roberta Zwolińskiego.

- Dwa... czasem trzy razy w tygodniu.

- Żyła pani z nim?

Zawahała się. Pytanie padło zbyt nagle.

- Śmiało, śmiało - zachęcał ją Górniak. - To się podobno często zdarza, że modelka i malarz...

Spuściła oczy i nerwowymi ruchami szarpała chusteczkę.

- To znaczy... Jak by tu powiedzieć... Jestem w ciąży

-powiedziała nagle głośno i wyraźnie.

- Z nim?

- Prawdopodobnie.

- Prawdopodobnie czy na pewno? Zmiesziała się i znowu ściszyła głos.

- To takie wszystko skomplikowane... Górniak machnął ręką.

- Dajmy temu spokój. Proszę mi powiedzieć, kto tutaj przychodził do pana Zwolińskiego, kogo pani tu spotykała?

-Jak ja pozowałam, to nikt nie przychodził. Bardzo rzadko zdarzało się, żebym musiała wkładać szlafrok.

- Pani pozowała do aktu?

- Tak. Dziwnie to namalował. Zresztą ja się nie znam.

- Czy pani nie zauważyła, że ktoś częściej niż inni odwiedzał pana Zwolińskiego?

- Nie pamiętam, nic już nie pamiętam, nie zauważyłam.

- Czy przychodziły tu kobiety? -Ja spotykałam tylko mężczyzn.

- Czy to byli Polacy, czy także cudzoziemcy?

- Polacy. Chociaż nie... Kiedyś jeden rozmawiał po francusku, a może nie po francusku. Trudno mi powiedzieć, nie znam języków.

- Pamięta pani, jak wyglądał?

- O, tak - nagle się ożywiła. - Wysoki, bardzo przystojny brunet. Myślałam, że to jakiś aktor filmowy.

- Tylko raz pani go widziała?

- Niestety tylko raz.

- Czy pan Zwoliński nic nie mówił na jego temat?

- Ani słowa. Zaraz mi się kazał ubrać i iść do domu. Po wstępnym przesłuchaniu Eugenii Wykosz Górniak znowu nawiązał kontakt z porucznikiem Michalakiem.

- Masz coś nowego?

- Absolutnie nic.

- A co o tym wszystkim myślisz? Michalak wzruszył ramionami.

- Co tu jest do myślenia. Bardzo cienkie i bardzo długie ostrze. Wygląda to na sztylet, na jakąś egzotyczną broń. Może Afryka, a może Ameryka Południowa? Oni tam lubią takie

przyrządy, które łatwo wchodzi między zębra, bez specjalnego wysiłku. Nie to co nasze majchry. Wydaje mi się, że ta wycieczka samochodowa może rzucić jakieś światło na sprawę.

Górniak pokiwał głową.

- Masz rację. Zaraz się do tego zabierzemy. Gdzie tu jest telefon?

- W tamtym pomieszczeniu obok.

W słuchawce odezwał się energiczny dźwięczny baryton:

- Mówi Gilner. Słucham?

- Czy pan dawał ogłoszenie w sprawie wycieczki samochodem do Francji i Włoch?

-Ja. Ale to już dawno nieaktualne. A kto mówi?

-Tu kapitan Górniak z Wydziału Zabójstw.

W słuchawce zapanowała chwila milczenia.

- Czy w tej samochodowej wycieczce brał udział niejaki Robert Zwoliński? - indagował dalej Górniak.

- Ten malarz? Tak. Czy coś się stało?

- Robert Zwoliński został zamordowany.

- Niemożliwe! - głos w słuchawce stracił na swojej pierwotnej energii.

- A jednak to fakt. Chciałbym się z panem zobaczyć. -Jestem do pańskiej dyspozycji.

Górniak taksującym spojrzeniem obrzucił siedzącego po drugiej stronie biurka mężczyznę. Masywna sylwetka, szerokie bary, nieproporcjonalnie długie ręce, zakończone mocnymi, czerwonymi dłońmi, muskularny kark, na którym osadzona była kwadratowa głowa. Twarz, zakończona silnie zarysowaną dolną szczęką, nie wzbudzała sympatii. Można go było wziąć za boksera ciężkiej wagi.

- Więc pan postanowił odbyć wycieczkę do Francji i do Włoch.

- Tak - padła lakoniczna odpowiedź.

- Ma pan tam znajomych, przyjaciół?

- Mam. Czy jest w tym coś złego? Górniak potrząsnął głową.

- Bynajmniej. Jakiego rodzaju są te pańskie kontakty zagraniczne?

- Czy muszę się z tego tłumaczyć?



Górniak pochylił się nad biurkiem i utkwił wzrok w wąskich, ciemnych oczach swojego rozmówcy, w których wyczytał czułość.

- Panie Gilner - powiedział wolnym, spokojnym głosem. - Zostało popełnione morderstwo, a ja prowadzę śledztwo w tej sprawie. Nie może się pan dziwić, że zadaję pytania. Pańskim obowiązkiem jest odpowiadać na te pytania. Chyba się rozumiemy.

-Tak jest. Przepraszam.

-Więc...? - ciągnął dalej Górniak. - Pytałem, jakiego rodzaju są te pańskie znajomości we Francji, we Włoszech.

-To proste. Prowadzę warsztat samochodowy. Wielu cudzoziemców poratowałem w potrzebie. Lubią jeździć szybko, u nich wspinałe autostrady. Na naszym terenie nietrudno o kraknę.

-Jakiego rodzaju naprawy pan przeprowadza?

- Przeważnie blacharstwo. Jeżeli chodzi o silniki, to nie jestem specjalnym fachowcem. W razie potrzeby do tych spraw przychodzi do mnie taki jeden technik. Zna się na rzeczy, ale za dużo chce zarobić, i to wyłącznie w dewizach. Teraz zresztą dolar stał się u nas walutą obiegową. Może być jeszcze funt, marka zachodnioniemiecka albo frank szwajcarski, byle nie złotówki.

Górniak już miał dosyć tych walutowych rozważań. Spytał:

- Kto, oprócz Roberta Zwolińskiego, brał udział w tej wycieczce?

-Jedno małżeństwo.

- Nazwisko?

- Canetti.

- Włosi?

- On Korsykanin, a ona Polka. Opowiadali, że poznali się w Poznaniu, na uniwersytecie. On podobno przyjechał na studia. Co tam studiował, to czort go wie. W każdym razie zupełnie dobrze mówi po polsku.

- Ale że pan miał ochotę z nieznanymi ludźmi wyruszać w taką podróż - powiedział Górniak.

Gilner poruszył potężnymi ramionami.

- Co za różnica. Najpierw są nieznajomi, a potem człowiek się zapozna i są znajomi. W towarzystwie weselej, a co najważniejsze to benzyna. Kupowali benzynę, a na taką trasę to trzeba sporo.

-I Zwoliński także kupował benzynę?

- Oczywiście. Ale on przeważnie we Włoszech. Miał liry.

- Dużo miał tych lirów?

- Całą harmonię.

-Jak przewiózł przez granicę?

- Wydaje mi się, że wcale nie przewoził.

- Nie rozumiem.

Szeroka twarz Gilnera zmarszczyła się, co miało prawdopodobnie oznaczać uśmiech.

- O ile się orientuję, to tę forszę zgarnął we Włoszech, a konkretnie w Rzymie. Jak tylko przejechaliśmy do Rzymu, zaczął mieć szeroki gest. Stawiał wino, koniaki, fundował, zapraszał. Miał tam jakieś swoje powiązania.

- Czy długo zatrzymaliście się w Rzymie?

- Chyba z tydzień. Jest tam co oglądać.

- A czy Zwoliński mówił po włosku?

- Doskonale. Jak rodowity Włoch.

- Czy był już kiedyś we Włoszech?

- Pytałem go, ale nie chciał rozmawiać na ten temat. Mówił, że jego matka była Włoszką. Pewnie żartował. On w ogóle lubił żartować.

-Jakie miasta zwiedziliście we Włoszech?

- Oprócz Rzymu Florencję, Wenecję, Sienę, Weronę. Piękny kraj. Jeszcze raz chciałbym tam pojechać.

- A włoska policja? - spytał nagle Górniak. Gilner spojrzał zdziwiony.

- Co włoska policja?

- Pytam, jak was traktowała włoska policja.

- A jak nas miała traktować? Paszporty i wizy mieliśmy w porządku.

- Nie rewidowali waszego wozu?

-Też coś? - zachnął się Gilner. - Z jakiej racji mieliby przeprowadzać rewizję.

- Różnie bywa - powiedział spokojnie Górniak. -

A czy włoscy policjanci nie mieli jakiegoś interesu do Zwolińskiego?

Gilner wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem. Nic takiego nie zauważyłem. Ale Robert bardzo często spacerował sam po mieście. Co robił i z kim się wtedy spotykał, tego nie wiem.

Następnie przeszli do pierwszego etapu tej samochodowej wycieczki. Z tego, co mówił Gilner, wynikało, że we Francji zwiedzili tylko Paryż i zaraz wyruszyli do Włoch.

- Czy w Paryżu Zwoliński także tak szastał pieniędzmi? - spytał Górniak.

Gilner energicznie potrząsnął głową.

- O, broń Boże. W Paryżu był bardzo oszczędny. Liczył się z każdym frankiem. Jadł byle co, byle taniej.

- To znaczy, że w Paryżu nie otrzymał żadnych pieniędzy.

- Na pewno nie. To był człowiek, który jak tylko poczuł w kieszeni forszę, to zaraz zaczynał szaleć.

Górniak umilkł i przez chwilę przeglądał swoje notatki.

- Niech mi pan powie, czy podczas tej waszej wycieczki nie doszło do jakiejś scysji pomiędzy Zwolińskim a tym małżeństwem.

Gilner zawahał się.

- Śmiało, śmiało - zachęcił go Górniak. - W tej sytuacji nie powinien pan niczego ukrywać.

- No cóż... Jak by to powiedzieć... Wydaje mi się, że Zwoliński i ta młoda dama... Zapewne wie pan, co mam na myśli.

- To znaczy, że Zwoliński podrywał żonę tego Korsykanina.

- O właśnie - ucieszył się Gilner. - Dobrze pan to sformułował. Odniosłem wrażenie, że Zwoliński był typem mężczyzny, który pragnie zdobyć każdą atrakcyjną kobietę.

- A ona jest atrakcyjna?

- O, tak - stwierdził z przekonaniem Gilner. - Mnie także bardzo się podobała, ale oczywiście ja nie miałem zamiaru...

- Czy między Zwolińskim a tym Korsykaninem doszło w

czasie wycieczki do awantury?

- Mało brakowało, ale obsztorcowałem ich solidnie. Nie mogłem dopuścić do tego, żeby przez jakieś idiotyczne sceny zazdrości zepsuli mi całą wycieczkę.

-I uspokoili się?

- Pozornie tak, ale co się działo poza moimi plecami, tego nie wiem. W każdym razie w mojej obecności zachowywali się zupełnie spokojnie.

- Czy wydaje się panu, że ta dziewczyna sprzyjała Zwolińskiemu, czy była zadowolona z jego zainteresowania się jej osobą?

- Na pewno tak. To był mężczyzna, który niewątpliwe podobał się kobietom.

- Czy po powrocie do Warszawy widywał się pan z nimi. Gilner potrząsnął głową.

- Nie. Nasze stosunki zupełnie się zerwały.

- A ze Zwolińskim?

Małe ciemne oczka zwężyły się jeszcze bardziej, jakby się chciały ukryć za powiekami.

- Mój kontakt z nim także się urwał. Ja, proszę pana, nie mam czasu na utrzymywanie stosunków towarzyskich. Mam dużo pracy, nawet za dużo.

Jasna blondynka o porcelanowej twarzy. Oczy niebieskie ze złotawymi błyskami, nabierające granatowej barwy w momentach spotęgowanej emocji. Usta trochę za duże, zmysłowe.

- Pani nazywa się Izabela Canetti?

- Tak. Już to powiedziałam.

- Mąż pani jest Korsykaninem.

- Pochodzi z Korsyki, ale jego ojciec był Włochem, Sycylijczykiem. Matka była rodowitą Korsykanką.

- Mówi pani w czasie przeszłym. Czyżby oboje już nie żyli?

- Zginęli w wypadku samochodowym. Ojciec Carla był rajdowcem. Tacy ludzie są zazwyczaj zbyt pewni siebie i niewiele sobie robią z przepisów drogowych.

Górniak pokiwał głową.

- Tak, to prawda. Proszę mi powiedzieć, gdzie pani poznała

swojego obecnego męża.

- W Poznaniu, na uniwersytecie. Carlo studiował prawo, potem slawistykę.

- A co ukończył?

- Chyba nic. On jest zbyt żywy, żeby ślęczeć nad książkami. Ciągłe mu się zdaje, że wybrał sobie nieodpowiednie studia. Twierdzi, że skończył prawo, ale ja wcale nie jestem pewna, czy to prawda. Jego dyplomu nie widziałam.

-I zdecydowali się państwo wyruszyć na tę wycieczkę z panem Gilnerem.

-Tak.

- Czy z Poznania przyjechaliście do Warszawy?

- Nie. Teraz stale mieszkamy w Warszawie. Moi rodzice kupili nam bardzo ładne mieszkanie. Za dolary oczywiście.

- Czym pani się zajmuje?

-Jestem nauczycielką. Mogłabym oczywiście w ogóle nie pracować. Mój ojciec jest bardzo bogaty. Ale mnie to bawi. To tak dobrze brzmi - „ciało pedagogiczne”.

- Można wiedzieć, gdzie pracuje pani ojciec?

-Jest badylarzem. Ma ogromne szklarnie niedaleko Milanówka. Wolałabym oczywiście, żeby był jakimś sławnym człowiekiem, ale mówi się trudno.

- A czy pani mąż gdzieś pracuje? Zmieszła się.

-Właśnie z tym jest pewien kłopot. Podobno bez przerw szuka jakiejś pracy, ale nie może znaleźć nic odpowiedniego.

- W naszym kraju chyba o pracę nie tak trudno - powiedział Górniak.

Zatrzepotała rzęsami.

- Carlo to trochę taki dziwny typ. Musi polubić swą pracę, a o to bardzo trudno.

Górniak uśmiechnął się.

- Bywają takie typy, szczególnie wtedy, kiedy mają bogatych teściów. Zadowolona pani z tej wycieczki do Francji i Włoch?

- O, tak. Bardzo. Trochę było przygód, ale to nie szkodzi. Lubię przygody.

- O jakich przygodach pani mówi?

- W Paryżu zepsuł nam się wóz. Trzeba go było oddać do warsztatu. Coś tam z silnikiem, gaźnik czy rozrusznik. Ja się na tym nie znam.

-I co? Czekaliście, aż zreperują?

- To by za długo trwało. Polecieliśmy do Rzymu samolotem.

- A tam?

- Robert pożyczył wóz od swojego jakiegoś kumpla.

- A propos - rzucił od niechcienia Górniak. - Czy pani wiadomo, że Robert Zwoliński został zamordowany? Pośpiesznie wyjęła chusteczkę z torebki.

- Wiem. To straszne.

- Niech pani nie płacze. Zetrze pani tusz, a to nieładnie wygląda.

Nie wytarła oczu.

- To straszne - powtórzyła.

- Co panią łączyło z Robertem Zwolińskim?

- Lubiliśmy się. To był niezwykle uroczy człowiek, przemiliły towarzysz podróży.

- Czy na tym „lubieniu” skończyło się?

Spuściła oczy.

- Nie rozumiem, co pan chce przez to powiedzieć.

- Właśnie to, o czym pani w tej chwili myśli. Chciałbym wiedzieć, czy doszło między panią a Robertem Zwolińskim do intymnego zbliżenia.

Zachnęła się.

- Też coś?! Jak pan w ogóle śmie? Jestem porządną mężatką.

- Nawet najporządniejszym mężątkom takie rzeczy się zdarzają. Ale mniejsza z tym. Proszę mi opowiedzieć o tej waszej wycieczce.

Rozpogodziła się. Najwyraźniej była zadowolona, że zmienili temat.

- Więc z Paryża polecieliśmy do Rzymu, tam Robert odszukał jakiegoś swojego przyjaciela, który pożyczył mu wspaniały wóz.

-Jakiej marki?

- BMW. Fantastyczna maszyna. Prawdziwy luksus. Jeździliśmy po włoskich miastach. Widzieliśmy

Wenecję, Florencję. Było wspaniale. Chciałabym jeszcze raz pojechać na taką wycieczkę.

- A potem?

- Wróciliśmy do Paryża samolotem, gdzie czekał już na nas zreperowany wóz Zenona. Także doskonała maszyna, nowiutki mercedes. Nie mam pojęcia, co tam się mogło zepsuć.

- Czy to prawda, że pani mąż jest Korsykaninem? - spytał nagle Górniak.

Spojrzała zdziwiona.

- Przecież już to panu powiedziałam. Ojciec Carla był Sycylijczykiem, a matka Korsykanką.

Górniak z udanym roztargnieniem przesunął dłonią po czole.

- A tak, rzeczywiście. Mówiła mi pani o tych koligacjach rodzinnych. Z książek i z filmów wiem, że zarówno Korsykanie, jak i Sycylijczycy bardzo nie lubią mężczyzn, którzy się umizgują do ich żon.

Gwałtownym ruchem odsunęła się do tyłu razem z krzesłem. Spojrzała spłoszona.

- Chyba pan nie przypuszcza, że Carlo, że mój mąż... Górniak wykonał uspakajający ruch ręką.

- Proszę się nie denerwować. Ja w ogóle nic nie przypuszczam. Ja tylko tak sobie głośno myślę.

- Pan podejrzewa, że Carlo mógłby...

- Powtarzam, że nic nie przypuszczam ani nikogo nie podejrzewam. Zupełnie niepotrzebnie tak się pani unosi. Może to przecież robić takie wrażenie, że pani sama podejrzewa swojego męża.

Zerwała się. Jej niebieskie oczy pociemniały, stały się prawie granatowe, usta drżały.

- Pan nie powinien... Pan nie ma prawa... Pan mnie prowokuje!

- Ja panią prowokuję? - zdziwił się Górniak. - Zaskakuje mnie pani. Od początku naszej rozmowy odnoszę wrażenie, że to pani mnie prowokuje, mnie i siebie jednocześnie, niech pani siada, niech się pani uspokoi i niech pani przestanie odgrywać tę niepotrzebną komedię.

Usiadła. Znowu wyjęła z torebki chusteczkę. Ręce jej drżały.

- O co panu właściwie chodzi? Czego pan chce ode mnie?

Górniak odczekał chwilę, obserwując uważnie twarz młodej kobiety.

- Chciałbym, żeby pani zdecydowała się na szczerą rozmowę ze mną.

- Co to znaczy szczerą rozmowa?

- Szczerą rozmowa to jest taka rozmowa, podczas której ludzie mówią prawdę, nie usiłując nic ukryć.

- Ja nie mam nic do ukrywania. Mówię prawdę.

- Nie jestem o tym tak stuprocentowo przekonany - uśmiechnął się łagodnie Górniak.

- Co mi pan zarzuca?

- Nic pani nie zarzucam. Chciałbym tylko, żeby pani odpowiedziała mi na parę pytań, nie rozmijając się z prawdziwym stanem rzeczy.

- Niech pan pyta. - Jej nieomal dziecinną twarz wyrażała w tej chwili zaciętość.

- Pani mąż, mając tak uroczą żonę, jest prawdopodobnie bardzo zazdrosny.

- Miał pan zadawać mi pytania, a to nie było pytanie - powiedziała niespodziewanie twardym, mocnym głosem.

Górniak znowu się uśmiechnął.

- Bardzo słuszna uwaga. A więc wróćmy do pytań. Czy pani romansowała z Robertem Zwolińskim? Poruszyła się niecierpliwie.

- Mówiliśmy już na ten temat. To są sprawy tak osobiste, że...

- Jeżeli mamy do czynienia z morderstwem, to właśnie zmuszeni jesteśmy rozmawiać o sprawach bardzo osobistych - przerwał Górniak. - Więc co właściwie łączyło panią ze Zwolińskim? Proszę mówić prawdę.

- Adorował mnie.

- Powiedzmy. Ostatecznie można to i tak określić. Czy pani знаła Zwolińskiego przed tą wycieczką?

- Nie. Absolutnie nie. Nigdy go nie widziałam.

- Spodobał się pani?

- To był bardzo atrakcyjny mężczyzna.



-I mąż pani był o niego zazdrosny.

- Ach, proszę pana! Carlo o każdego mężczyznę jest zazdrosny. To po prostu chorobliwe. Nie możemy utrzymywać żadnych stosunków towarzyskich. Od początku naszego małżeństwa nic tylko same awantury, idiotyczne sceny zazdrości.

- A czy nie ma w tym trochę pani winy?

- Mojej winy? Coś takiego? Czy to moja wina, że się podobam, że mężczyźni chętnie przestają w moim towarzystwie?

- Czy Zwoliński od samego początku waszej wycieczki „adorował” panią, jak pani to delikatnie określiła?

- Prawdę mówiąc, raczej tak. Wpadłam mu w oko.

- A pani mąż?

-Jak zwykle. Był wściekły.

- A Gilner?

- Próbował go uspakajać.

- Mam nadzieję, że nie doszło do jakichś gwałtownych scen.

- Mało brakowało, ale Carlo opanowywał się. Gliner jest potwornie silny. Carlo wiedział doskonale, że gdyby doszło do bójki, nie miałyby żadnych szans. Chyba żeby nóż...

- No właśnie... - przytaknął Górniak. - Czy pani mąż posiada jakieś interesujące noże, sztylety...

Spojrzała na niego spłoszona.

- Nie rozumiem...

- Bo widzi pani... - Górniak mówił tonem lekkim, niefrasobliwym, jakby nie przywiązywał większej wagi do wypowiedzianych słów. - Ja mam taką prywatną kolekcję białej broni, szable, rapiery, kindzały, kordelasy, sztylety. Gdyby pani mąż był w posiadaniu jakiegoś, na przykład korsykańskiego, pamiątkowego sztyletu, to chętnie bym go od niego odkupił. W mojej kolekcji nie mam nic, co by pochodziło z Korsyki.

Uśmiechnęła się.

- Dziwne ma pan hobby. Owszem, na biurku Carla leży taki zabytkowy sztylet, którego używa czasem do przycinania kartek. Wątpię jednak, żeby chciał go sprzedać. To pamiątka po jakimś jego pradziadku ze strony matki. Jeżeli panu zależy,

mogę zapytać Carla.

Górniak energicznie potrząsnął głową.

- Niech pani tego nie robi. To nieważne. Zresztą, prawdopodobnie będę miał okazję rozmawiać z pani mężem, to sam go zapytam. A panią chciałbym jeszcze zapytać, co pani robiła 20 października?

Przesunęła dłonią po czole.

- 20 października... 20 października... Nie mam pojęcia. Nie pamiętam.

- To był czwartek - podsunął Górniak.

- W czwartki zazwyczaj bywamy u moich rodziców. Tak się jakoś utarło.

- Czy 20 października także byli państwo u rodziców?

- Chyba tak. Ja na pewno byłam, bo to przecież urodziny taty. Pamiętam, że pomagałam mamie piec szarlotkę. Moja mama uwielbia szarlotkę, szczególnie z bitą śmietaną. Twierdzi, że to wcale nie tuczy.

- Czy pani mąż także był na urodzinach ojca, a raczej teścia.

Potrząsnęła głową.

- Nie. Carlo umówił się wcześniej ze znajomymi i poszedł do nich na brydża. Byłam na niego bardzo zła. Posprzecaliśmy się.

- Kiedy wrócił do domu z tego brydża?

- Bardzo późno, nad ranem. On jak zacznie grać, to nie wie, kiedy ma skończyć.

- A czy pani wie, u kogo był ten brydż?

- Nie wiem. Nie powiedział mi. Z nim to czasem bardzo trudno...

Górniak zamknął teczkę z aktami, wsunął ją do szuflady i wstał.

- Nie będę już pani zabierał więcej czasu. Dziękuję za rozmowę.

Wysoki, dobrze zbudowany, szeroki w ramionach. Twarz pociągła, śniada, o regularnych rysach. Gęsta, kędzierzawa czupryna spadała niesfornymi lokami na czoło, zasłaniając ciemne, błyszczące oczy. Tak, to był mężczyzna, który mógł się podobać kobietom.

- Pan nazywa się Carlo Canetti.

- Przecież pan wie - padła niechętna odpowiedź.

- Zawsze wolę się upewnić - uśmiechnął się dobrotliwie Górniak, nie zwracając uwagi na niezbyt sympatyczne nastawienie swojego rozmówcy. - O ile mi wiadomo, to pan studiował na poznańskim uniwersytecie.

-Tak. Medycynę, prawo, slawistykę.

- Szeroki wachlarz zainteresowań. Co pan skończył? -Nic.

- Dlaczego?

- Tak się złożyło.

-I na uniwersytecie poznał pan swoją obecną żonę. -Tak.

Rozmowa nie kleiła się, Górniak wiedział, że Korsykanie, a tym bardziej Sycylijczycy, nie przepadają za przedstawicielami policji. Początkowo chciał nawiązać z Canettim bardziej bezpośredni, życzliwy kontakt, ale patrząc na tę ponurą, mroczną twarz, zrezygnował z tego. Doszedł do wniosku, że wszystkie jego usiłowania, zmierzające do rozładowania ciężkiej atmosfery, będą bezskuteczne.

- Zdecydował się pan pojechać wraz z żoną na tę wycieczkę samochodową do Francji i do Włoch.

-Tak.

- Samochód zepsuł się wam w Paryżu.

- Podobno.

Górniak spojrzał zdziwiony.

- Dlaczego pan mówi „podobno“?

- Dlatego, że to nowy wóz, mercedes. Nie rozumiem, co tam się mogło popsuć. Zresztą ja się nie znam na samochodach.

-I do Rzymu polecieście samolotem. -Tak.

- A w Rzymie?

- Zwoliński pożyczył wóz od jakiegoś swojego znajomego. -I zwiedzaliście Włochy.

-Tak.

-Jak układały się pańskie stosunki z towarzyszami podróży?

- Z Gilnerem dobrze.

- A ze Zwolińskim? -Ja go nie zabiłem.

- A czy ktoś pana o to podejrzewa? - powiedział łagodnie

Górniak.

Canetti gwałtownymi ruchami odgarnął spadające mu na czoło włosy.

- Dostyc tej komedii! Nie jestem głupcem. Doskonale się orientuję, do czego pan zmierza. Ale jest pan w błędzie. Ja nie zabiłem Zwolińskiego! Ja go nie zabiłem!

- Często pan bywa u rodziców pańskiej żony? Canetti był zaskoczony tym pytaniem.

- U rodziców mojej żony? - powtórzył. - Raczej rzadko, staram się rzadko u nich bywać. Oni mnie nienawidzą.

- Dlaczego pan sądzi, że pana nienawidzą?

- Boja wiem. Od początku byli przeciwni naszemu małżeństwu.

- W czwartek, 20 października były urodziny pańskiego teścia. Pańska żona zeznała, że pan nie odwiedził wtedy jej rodziców.

- To prawda.

- Dowiedziałem się również od pańskiej żony, że tego dnia poszedł pan na brydża do jakichś znajomych. Czy mógłby mi pan podać nazwisko tych swoich znajomych?

Canetti poruszył się niespokojnie.

-Ja z nikim w brydża wtedy nie grałem - mruknął.

-O! - zdziwił się Górniak. - Więc okłamał pan żonę. -Tak.

- Może mi pan wobec tego powie, gdzie pan był tego wieczoru.

- To moja sprawa.

-I moja także - powiedział stanowczo Górniak.

- Chodzi panu o alibi? Nie mam alibi.

- Natomiast ma pan bardzo ładny, pamiątkowy sztylet.

- Skąd pan wie? No... tak, oczywiście, baba wszystko wypaple. Owszem, mam sztylet, aleja nie zabiłem nim Zwolińskiego. Nie możecie mi niczego dowieść.

Górniak zamyślił się. Dopiero po dłuższej chwili powiedział:

- Zwoliński w czasie tej wycieczki umizgał się do pańskiej żony.

- To był skończony łajdak - wybuchnął Canetti. -Skończony łajdak, bydle!

- Nie mówi się źle o umarłych - zauważył Górniak. -To

jednak bardzo niedobrze, że pan nie ma alibi. Musi pan zrozumieć, że mogą z tego powodu wyniknąć dla pana zupełnie niepotrzebne komplikacje.

Canetti końcem języka zwilżył wargi i zmarszczył brwi, jakby się nad czymś głęboko zastanawiał.

- Tamtej nocy byłem z kobietą - powiedział cicho. Górniak sięgnął po długopis.

- Nazwisko tej kobiety?

- Nie znam jej nazwiska. Powiedziała, że ma na imię Krystyna. Nie wiem nawet, czy to prawda. Wtedy mnie to nie obchodziło.

-I pan tak z zupełnie nieznaną kobietą...? To chyba była prostytutka.

- Ależ nie, nie - zaproponował żywo Canetti. - To

nie była prostytutka. To była dystyngowana, elegancka dama.

- Gdzie pan ją poznał?

- W filharmonii, przy kasie. Moja żona chciała pójść na jakiś tam koncert i prosiła, żebym załatwił bilety.

- A ta pani...?

- Stała przede mną w kolejce. Zaczęliśmy rozmawiać i tak od słowa do słowa...

- To było właśnie w czwartek 20 października. -Tak.

- Gdzie pan spędził noc z tą kobietą? U niej w mieszkaniu?

- Ależ skąd! Nie wpuściłaby do mieszkania nieznanego faceta. Poszliśmy do hotelu.

- Do którego?

- Do Grand Hotelu.

- Dali panu pokój?

- Och, proszę pana. W tym kraju za dolary wszystko można mieć.

- O ile się nie mylę - powiedział z uśmiechem Górniak - to dystyngowane, eleganckie damy nie włączają się po hotelach z mężczyznami spotkanymi w kolejce.

- Ma pan rację - przytaknął zgodnie Canetti - ale w życiu różnie bywa - dodał sentencjonalnie.

- Czy w hotelu podał pan swoje prawdziwe nazwisko?

- Myślę, że tak. Musiałem przecież pokazać dowód. Zresztą

dokładnie nie pamiętam. Tak byłem zaabsorbowany innymi sprawami, że to wypadło mi z pamięci.

Górniak pokiwał głową.

- Rozumiem. Czy ta pańska przygodna znajoma nie podała panu adresu lub też numeru telefonu?

- Absolutnie nie.

- To znaczy, że nie miała ochoty powtórnie się z panem spotkać.

- Na pewno miała ochotę. Kobiety w ogóle lubią się ze mną powtórnie spotykać. Powiedziała, że do mnie zadzwoni.

- Obawiam się, że będziemy mieli jednak kłopoty z tym pańskim alibi - westchnął Górniak.

- Ależ ja nie zabiłem Zwolińskiego! - wybuchnął Korsykanin.

- Przysięgam. Nie wierzy mi pan?

- Niestety w moim fachu podstawową zasadą jest to, żeby nie wierzyć ludziom - powiedział z melancholijnym uśmiechem Górniak. - Tak się składa, że w tym pokoju bardzo rzadko pojawia się człowiek, który mówi prawdę.

-Ja nie kłamię! - Canetti był coraz bardziej wzburzony. - Przysięgam na wszystko, co mam najświętszego, na pamięć moich przodków, że mówię prawdę. Ja nie zabiłem Zwolińskiego! Ja go nie zabiłem! Chociaż... przyznaję, że chwilami miałem na to ogromną ochotę.

- Ach, więc miał pan jednak ochotę zabić Zwolińskiego - podchwycił Górniak.

- Aleja go nie zabiłem! Powtarzam jeszcze raz. Ja go nie zabiłem. Musi mi pan uwierzyć.

- Po pierwsze, ja nic nie muszę - głos Górniaka stał się nagle twardy, energiczny. - A po drugie, chciałbym się dowiedzieć, czy pan zawsze mówi prawdę.

- Oczywiście.

Górniak lekko się uśmiechnął.

- Czy pan sądzi, panie Canetti, że ja uwierzyłem w tę romantyczną historyjkę o pięknej pani spotkanej w filharmonii, przy kasie? Ale zapewniam pana, że przyjdzie taki moment, kiedy pan zezna, co pan na prawdę robił w nocy z 20 na 21 października.

Canetti milczał.

\*\*\*

Nowoczesna willa niedaleko Milanówka. Starannie utrzymany ogród, drzewa owocowe, pieczołowicie zgrabione trawniki, krzaki róż zabezpieczone już słomianymi chochołami na zimę. Wszystko otoczone na zielono pomalowaną siatką.

Pani Barbara Kamińska, tęga, postawna, z mocno już posiwiałymi włosami, powitała niespodziewanego gościa uprzejmie, ale z pewną rezerwą. Wiedziała z doświadczenia, że wizyta oficera milicji nie wróży nic specjalnie atrakcyjnego.

Weszli do niewielkiego saloniku, umeblowanego jasnymi meblami, co stwarzało pogodny, wesoły nastrój.

- Pan wybaczy, panie kapitanie - powiedziała z uśmiechem pani Kamińska - ale mój mąż odbywa właśnie jesienną grypę i nie będzie mógł pana przywitać.

Górniak odpowiedział uśmiechem na uśmiech i rozłożył ręce.

- Cóż robić? Takie jest życie. Przykro mi z powodu niedyspozycji małżonka, ale sądzę, że pani nie odmówi mi chwili rozmowy.

- Oczywiście. Czym można pana poczęstować. Kawa? Herbata? Do tego kruche ciasteczka własnej roboty.

- Nie, nie - zaprotestował energicznie Górniak. -Dziękuję serdecznie, ale niech sobie pani nie robi kłopotu. Ja tylko na chwilę. Bardzo się śpieszę.

Usiadła z powrotem na fotelu i spojrzała pytająco.

- Chciałbym z panią porozmawiać na temat pani zięcia.

- Znowu coś zbroił?

- A co ostatnio zbroił? - zainteresował się Górniak.

- Miał krakę. Jeździ jak wariat. Dobrze, że mu odebrali prawo jazdy. Przynajmniej teraz jest spokój.

-Taki nieopanowany?

- Ach, proszę pana... - Pani Kamińska załamała ręce. - To straszny człowiek. Ja go się po prostu boję.

- A jednak to mąż córki.

- Prawdziwe nieszczęście. Oboje z mężem byliśmy stanowczo przeciwni temu małżeństwu, ale Iza szalała za nim. Nie dała sobie przetłumaczyć. Ja w ogóle jestem przeciwna mieszanym

małżeństwom. Inny świat, inna mentalność, inne zwyczaje. Polka powinna wyjść za mąż za Polaka. Do czego to podobne, żeby mieć męża jakiegoś tam Korsykanina.

- Czy pan Canetti jest zazdrosny o swoją żonę?

- Chorobliwie zazdrosny. Biedna Izunia nie może nawet spojrzeć na innego mężczyznę, nie może z nikim zatańczyć... Zaraz zaczynają się sceny, awantury. Niech pan sobie wyobrazi, że kiedyś nawet ją pobił.

- To przykre - powiedział z przekonaniem Górniak. - Ale istnieją przecież rozwody...

Pani Kamińska gwałtownie zamachała rękami.

- Ach, proszę pana... Gdyby Iza wystąpiła o rozwód, to on by ją chyba zabił.

- Może pani trochę przesadza.

- Nic nie przesadzam. Iza nie miałaby odwagi. Ja też bym się bała. Całe szczęście, że nie mają dzieci.

- A czy pani sądzi, że pan Canetti jest wiernym mężem? Pani Kamińska wykonała nieokreślony ruch ręką.

- Mężczyzna jak to mężczyzna - powiedziała wymijająco.

- A kobieta jak to kobieta - stwierdził sentencjonalnie Górniak.

Roześmieli się. Śmiech rozjaśniał twarz starszej pani i bardzo ją odmładzał.

- Nie wiem nic pewnego, ale nie sądzę, żeby Carlo był wiernym mężem. Ci południowcy mają bardzo żywy temperament i jeżeli nadarzy się okazja...

- Poza tym obyczajowość jest zupełnie inna. Mężczyźni wszystko wolno, ma zupełną swobodę, podczas gdy kobieta obowiązana jest siedzieć w domu, nigdzie nie wychodzić i pilnować dzieci i kuchni.

- O właśnie - westchnęła pani Kamińska. - Dlatego też odradzaaliśmy to małżeństwo Izie. Być może, że teraz żałuje, tylko nie chce się do tego przyznać.

- Czy pani zięć gdzieś pracuje? - spytał Górniak. Potrząsnęła głową.

- Nigdzie nie pracuje. Jest chyba na to zbyt leniwy, żeby się zabrać do jakiejś solidnej pracy.



- Ale wydawać pieniądze zapewne lubi.
  - O! I to bardzo.
  - Państwo zapewne pomagają finansowo córce i zięciowi.
  - Kupiliśmy im mieszkanie, umeblowaliśmy to mieszkanie i to chyba wystarczy. Oczywiście, że od czasu do czasu mój mąż daje jakieś pieniądze, ale temu jej mężowi ani grosza.
  - Więc z czego żyją?
  - Iza pracuje jako nauczycielka. Ale to przecież mizerna pensyjka. Dlatego musimy jej pomagać.
  - Wspomniała pani, że zięć ma szeroki gest.
  - To prawda. Nieraz zastanawialiśmy się z mężem, skąd on bierze pieniądze, bo zawsze ma pełny portfel, i to wypchany nie tylko złotówkami, ale i dolarami.
  - To rzeczywiście interesujące - przyznał Górniak. - Czy zięć może gra w karty?
  - Nie zauważyliśmy. Pytałam nawet o to Izę, ale ona twierdzi, że nie.
  - I córka także nie wie, skąd jej mąż czerpie dochody?
  - Nie. Zresztą w ogóle nie chce rozmawiać na ten temat. Jest ostatnio w bardzo złym nastroju.
  - Z kim kontaktuje się pan Canetti?
  - Nie mam pojęcia.
  - Musi chyba mieć jakieś swoje towarzystwo.
  - Może i ma. W każdym razie do nas żadnych swoich znajomych nigdy nie przyprowadził. A córka także nie utrzymuje żadnych stosunków towarzyskich. On sobie nie życzy. Powiedział, że przegna każdego, kto wejdzie do ich mieszkania.
  - Zrobili ostatnio piękną wycieczkę, Francja, Włochy.
  - Ale podobno jeden z ich towarzyszy podróży został zamordowany.
  - Niestety.
  - Chyba pan nie przypuszcza...? - spytała niespokojnie. - Ja, proszę pani, nigdy nic nie przypuszczam - powiedział Górniak. - Ja muszę mieć pewność.
- Wrócił do Warszawy. W komendzie czekał na niego niecierpliwie porucznik Michałak.

- Mam dla ciebie niespodziankę.

Z dużego worka plastikowego wysypał na biurko małe zgrabne torebeczki.

- Heroina - zdumiał się Górniak. - Gdzie to znalazłeś?

- Pod podłogą w pracowni malarskiej. Sprytnie sporządzona skrytka. Szkoda, że nie możemy przesłuchać artysty. Chyba żeby zorganizować seans spirytystyczny.

- Nie wygłupiaj się.

Mgła gęstą, szarą zasłoną rozpościerała się nad Sekwaną. Przenikliwe, chłodne powietrze wilgotnym powiewem wciskało się w szpary okien, osiadało na ludzkich twarzach, na parasolach, płaszczach i kapeluszach. Przechodnie przyśpieszali kroku, podnosili kołnierze, dokładnie zapinali guziki, ściskali się paskami, biegli do autobusów, do metra.

Laura, drobna, szczupła brunetka o gęstych, falujących włosach i dużych błyszczących oczach, podeszła do okna. Była zdenerwowana.

„Co się stało? Gdzie on mógł pójść?” - myślała niespokojnie. Zazwyczaj był bardzo punktualny i nie spóźniał się na obiad, a jeżeli coś go zatrzymywało w pracy, to dzwonił. Dwa razy już telefonowała na

Quai des Orfevres, gdzie odpowiadano jej cierpliwie, że pan inspektor Zwoliński już wyszedł. To było tym bardziej niepokojące, że przecież do domu miał niedaleko. Nie wziął wozu, więc o żadnej kraksie nie mogło być mowy.

Wreszcie zgrzytnął klucz zamku. Powiesił płaszcz na wieszaku i wszedł. Wysoki, smukły, robił wrażenie młodzieńca. Nikt by nie powiedział, że jest ojcem dwojga dorosłych dzieci.

Rzuciła mu się na szyję.

- Byłam niespokojna... Byłam niespokojna... Tak długo...

- Musiałem się trochę przejść - powiedział poważnie.

- Na taką pogodę...

- Musiałem to wszystko przemyśleć. - Twarz miał chmurną, skupioną.

Spojrzała na niego spłoszona.

- Co się stało?

- Robert został zamordowany. -Jezus Maria!  
Zamordowany?!

- Tak. Edward do mnie telefonował.

- Kiedy to się stało?

- 20 października.

-I dopiero teraz cię zawiadomił?

- Nie było go w Warszawie. Wyjeżdżał służbowo. Laura chwyciła się za głowę.

- Mój Boże, mój Boże. Przecież tak niedawno był tu u nas, wesoły, pogodny, zadowolony z tej wycieczki...

- Właśnie ta wycieczka... - mruknął Zwoliński. Spojrzała na niego zaskoczona.

- Czyżbyś sobie kojarzył...? Wzruszył ramionami.

- Boja wiem? W takich sytuacjach wszystko trzeba sobie kojarzyć ze zbrodnią. Robert miał idiotyczny zwyczaj uwodzenia każdej napotkanej ładnej dziewczyny. Widziałas chyba, jak emablował żonę tego Korsykanina. Nikt tego nie lubi, a Korsykanie, Sycylijczycy i w ogóle południowcy są na tym tle specjalnie drażliwi. Nie tyle zresztą to jest sprawa uczucia, miłości, ile w grę wchodzi podrażniona męska ambicja, honor. Z tymi ludźmi trzeba bardzo ostrożnie. Oni chętnie i bardzo szybko posługują się nożem.

Hiszpanie mają również ten niezbyt miły zwyczaj. Jeżeli Robert przeniósł ten flirt na teren warszawski, to...

- Och, Pawle! Ten młody człowiek nie wyglądał na mordercę. Uśmiechnął się i objął żonę.

-Jesteś bardzo kochana, ale muszę ci powiedzieć, że morderca rzadko kiedy wygląda na mordercę. Gdzie dzieci?

- Ludwik poszedł na jakąś prywatkę, a Elżunia powtarza u koleżanki historię filozofii.

-Jesteś pewna, że u koleżanki, a nie u kolegi? Pogładził się po żołądku.

- Prawdę mówiąc, jestem dosyć głodny. Od rana nic nie jadłem. A jak wiesz, nam takie usposobienie, że czym więcej zmartwień, tym większy apetyt.

Kiedy siedzieli przy stole, Laura spytała:

- Wybierasz się do Warszawy?

- Tak, oczywiście. Polecę najbliższym samolotem. Zapewne już po pogrzebie, ale muszę się włączyć do śledztwa. Ta wycieczka nadaje sprawie charakter międzynarodowy. Niewykluczone, że będę musiał pojechać do Włoch.

Wstała i naala kawę do filiżanek.

- Będę o ciebie bardzo niespokojna.
- Nie masz żadnych powodów, żebyś była niespokojna. Cóż mi może grozić?
- A jeżeli zamordowanie Roberta ma jakieś powiązanie z mafią?

Roześmiał się.

- Ponosi cię fantazja, ma chérie. Natychmiast jesteś skłonna pisać jakiś serial telewizyjny.

- Wiesz przecież, że z pisaniem już dawno skończyłam.

-I bardzo źle. Powinnaś pisać. Wzruszyła ramionami.

- Nie ma sensu. Tylu jest teraz zdolnych młodych literatów, dziennikarzy. Niełatwo się wcisnąć ze swoim maszynopisem. A zresztą prawdopodobnie niedługo zostaną babcią.

- A czyż babcia nie może pisać znakomitych artykułów? Energicznie potrząsnęła głową.

- Nie, nie. Dajmy temu spokój. Pomówmy raczej o tragicznej śmierci Roberta.

Spochmurniał i odsunął od siebie pustą filiżankę.

- O czymż tu mówić? Trzeba znaleźć mordercę i znaleźć go. Najprostsze rozwiązanie tej sprawy byłoby, gdyby ten Korsykanin z zazdrości... Ale jeżeli nie on, to może być z tym trochę roboty.

- Nie wiem, czy w Warszawie pozwolą ci brać udział w śledztwie.

- Muszą pozwolić. Po pierwsze, to był mój brat, a po drugie, jestem przecież z branży. Zresztą zobaczymy. Jestem przekonany, że się dogadamy.

Nazajutrz wcześniej niż zwykle pojechał na Quai des Orfevres. Załatwił formalności związane z nieprzewidzianym urlopem, wziął zaliczkę na poczet pensji i zatelefonował na lotnisko.

Michalak, jak zwykle, był w doskonałym humorze. Pogwizdywał, podśpiewywał, co mu nie przeszkadzało przeglądać uważnie swoich notatek. Umilkł, kiedy wszedł Górniak.

- Coś ty dzisiaj taki rozanielony?

- Bo już wiosna niedługo. Jeszcze tylko Boże Narodzenie, a

potem styczeń, luty przelecą jak z bicza strzelił i marzec. W marcu jak w garncu. Pojedzie się gdzieś na zieloną trawkę albo na ryby.

Górniak nie podzielał pogodnego nastroju kolegi. Był chmurny i zamyślony. Powiesił płaszcz na wieszaku, usiadł za biurkiem i wyjął z szuflady teczkę z aktami.

- Co z Gilnerem?

Michalak zajrzał do swojego notesu.

- Nic szczególnego. Jedynie interesujące może być to spotkanie w Gonyu.

-Jakie spotkanie?

- Wczoraj o godzinie trzynastej trzydzieści spotkał się z jakimś egzotycznym typem.

- Murzyn?

- Nie. Mulat albo raczej Arab. -Jak się nazywa? -Jeszcze nie ustaliłem.

- To na co czekasz?

- Kozłowski się tym zajmuje. Najdalej jutro będziemy mieli szczegółowe dane.

- Czyżby Gilner miał jakieś powiązanie z handlarzami narkotyków - powiedział Górniak i zamyślił się. - Ale z drugiej strony...

- Chcesz skojarzyć zabójstwo Zwolińskiego z narkotykami znalezionymi w jego mieszkaniu? - spytał Michalak.

Górniak pokręcił głową.

-To mi nie bardzo pasuje. Handlarze narkotyków nie załatwiliby faceta przed odzyskaniem towaru. Przecież tego było sporo. Ale mimo wszystko nie możemy wykluczyć jakiegoś związku tej heroiny z zabójstwem Zwolińskiego.

- Nie możemy - przyznał porucznik. Zadzwoił telefon. Górniak podniósł słuchawkę.

- Wpuścić, oczywiście, wpuścić. - Następnie spojrział na Michalaka. - Czy wiesz, kto jest w biurze przepustek? Zwoliński.

- Czyś ty oszalał?! Górniak uśmiechnął się.

- Nie denerwuj się. To nie nieboszczyk. To na pewno ktoś z rodziny.

Energiczne pukanie do drzwi.

- Proszę.

Wszedł Paweł Zwoliński sprężystym, nieomal wojskowym krokiem. Przedstawił się i wyjaśnił, że jest bratem zamordowanego Roberta, że pracuje w Paryżu, w policji

kryminalnej i że przyleciał do Warszawy, żeby ewentualnie współdziałać w śledztwie prowadzonym przez polską milicję.

- Ale że Francuzi zatrudnili cudzoziemca w policji kryminalnej - zdziwił się Górniak.

Zwoliński uśmiechnął się.

- Miałem dobre referencje i podobno mam zupełnie niezłe kwalifikacje. Jeżeli mógłbym być pożyteczny w wykryciu mordercy mojego brata, to bardzo chętnie służę panom moją pomocą.

- Miło nam powitać pana w Warszawie - powiedział uprzejmie Górniak. - Oczywiście, że chętnie skorzystamy z pańskich sugestii w tej smutnej sprawie, a przede wszystkim bardzo cenne mogą być dla nas informacje dotyczące osoby pańskiego brata.

- Co by pana interesowało?

- Może na początek zaczęlibyśmy od ogólnej charakterystyki.

Zwoliński poprawił się na krześle i wyjął z kieszeni papierosy.

- No cóż... Nie mówi się źle o zmarłych, ale z prawdziwą przykrością muszę stwierdzić, że mój brat Robert był człowiekiem bardzo lekkomyślnym-

- Na czym polegała ta lekkomyślność?

- Żył na szerokiej stopie. Zawsze brakowało mu pieniędzy, bez względu na to, ile zarabiał. Wieczne długi, pożyczki... Poza tym do przesady interesował się kobietami. Był znanym uwodzicielem, nie bacząc na to, czy to żona kolegi, przyjaciela czy profesora. Zrażał sobie oczywiście ludzi. Sądzę, że miał nawet wrogów.

- Czy mógłby mi pan powiedzieć, w jaki sposób mój brat został zamordowany?

Górniak chwilę się zawahał. Doszedł jednak widocznie do wniosku, że w tej sprawie nie musi dochowywać tajemnicy, bo powiedział:

- Pchnięcie ostrym, cienkim narzędziem w plecy.

- Sztylet?

- Na to wygląda. Zwoliński zamyślił się.

- Podczas tej wycieczki samochodowej byli u mnie w Paryżu. Zauważyłem, że Robert zbyt ostentacyjnie adorował żonę tego Korsykanina. Powiedziałem mu parę słów na ten temat.

- A on?

- Jak to on. Śmiał się. Trochę się bałem, żeby nie wynikły z tego jakieś bezsensowne komplikacje.

- Komplikacje wynikły, i to bardzo poważne - powiedział Górniak. - Nie wiadomo tylko, czy to z tego powodu.

Zwoliński rozłożył ręce.

- W tej chwili trudno coś powiedzieć. Ci południowcy są nadmiernie pobudliwi, niezmiernie uczuleni na punkcie swojego męskiego honoru i często skłonni do zemsty. Czy pan przypuszcza, że ta zbrodnia ma jakiś związek z tą samochodową wycieczką?

Górniak pokiwał głową.

- Taką ewentualność musimy brać pod uwagę. Tym bardziej, że pański brat otrzymał podobno w Rzymie większą sumę pieniędzy oraz pożyczył od jakiegoś przyjaciela czy znajomego pierwszorzędny samochód, co by oznaczało, że z terenem Włoch miał powiązania.

- To bardzo interesujące, co pan mówi - przyznał Zwoliński.

- W Paryżu zepsuł im się samochód i do Rzymu polecieeli samolotem. Co tam się mogło zepsuć w tym nowiutkim mercedesie, tego nie wiem. Nie interesowałem się zresztą wtedy tą sprawą.

- Czy pan przypadkiem nie zauważył, że pański brat miał coś wspólnego z narkotykami? - spytał ostrożnie Górniak.

Zwoliński spojrzał zaskoczony.

- Z narkotykami? Jestem zupełnie pewien, że Robert się nie narkotyzował. Czasami lubił sobie wypić, ale robił to zawsze z umiarem. Nigdy nie widziałem go pijanego. Zresztą wolał dobre wina aniżeli wódki. Mawiał, że wino podbija smak potraw, a wódka go przytępia.

- Bo widzi pan... - Górniak mimo woli ściszył głos niemal do



szeptu. - Jest taka bardzo dziwna sprawa, a mianowicie w pracowni pańskiego brata pod podłogą znaleziono znaczną ilość heroiny.

- Niemożliwe! - wykrzyknął Zwoliński.

- A jednak to fakt - Górniak miał bardzo strapioną minę. - Mnie samego to zaskoczyło.

- I to na pewno była heroina?

- Nie ulega żadnej wątpliwości. Została przeprowadzona dokładna analiza.

Zwoliński przesunął dłonią po czole.

- Niesłychane. I pan przypuszcza, że mój brat miał coś wspólnego z handlem narkotykami?

- Ja nie nie przypuszczam - powiedział poważnie Górniak. - Ja stoję wobec faktów. Jedno tylko w tej sprawie jest dla mnie niezrozumiałe. Handlarze narkotykami nie likwidowaliby swojego wspólnika, nie odzyskawszy towaru. Bo w ten sposób odcinali sobie całkowicie drogę do tej heroiny.

- Zaraz... zaraz... - Zwoliński nerwowym ruchem zapalił papierosa. - Przecież Robert nie był chyba pierwszym użytkownikiem tej pracowni.

Górniak był wyraźnie zaskoczony.

- Bardzo słuszna uwaga, bardzo słuszna. Trzeba to będzie jak najprędzej sprawdzić, kto przed pańskim bratem korzystał z tej pracowni. To może rzucić nowe światło na sprawę.

- Czy pan miałby coś przeciwko temu, żebym ja porozmawiał z kimś, kto brał udział w tej wycieczce samo-

chodowej? - spytał Zwoliński. - Oczywiście rozmowa odbyłaby się w pańskiej obecności.

- Nie mam żadnych zastrzeżeń - odparł Górniak. - A z kim chciałby pan mówić?

- Właśnie się zastanawiam. Pasowałaby mi osoba najmniej podejrzana z całego towarzystwa i jednocześnie nieprzesadnie inteligentna.

- W takim razie proponowałbym może żonę tego Korsykanina — uśmiechnął się Górniak.

- Z ust mi pan to wyjął - odwzajemnił się uśmiechem Zwoliński. - Tylko trzeba to jakoś tak zorganizować,

żeby jakoś zręcznie umotywować, dlaczego wzywamy ją bez męża.

- To się załatwi.

Nazajutrz, wczesnym rankiem młoda dama przybyła do komendy. Była bardzo elegancko ubrana i rozdawała na prawo i lewo uwodzicielskie uśmiechy. Górniak siedział za biurkiem. Zwoliński usadowił się trochę z boku.

- O! My się już znamy! - wykrzyknęła, wyciągając rękę, z której nie zdążyła ściągnąć rękawiczki. - Pan jest przecież bratem biednego Roberta. Doprawdy, tak mi przykro, tak ogromnie przykro. - Jej promienna twarz pełna wesołości i pogodnego nastroju kontrastowała nieco z tymi słowami. Najwyraźniej nie była w stanie pogрузić się w smutku.

- Pan Zwoliński przyjechał do nas z Paryża, żeby zebrać trochę informacji dotyczących tragicznej śmierci jego brata, a jednocześnie odzyskać jakieś pamiątki rodzinne i wszcząć postępowanie spadkowe - zagaił Górniak.

- Podobno ktoś go pchnął nożem - powiedziała dość obojętnie.

- Skąd pani ma tę informację? - spytał Zwoliński. Spojrzała na niego jakby trochę zaskoczona.

- Skąd? Nie wiem. Musiał mi ktoś powiedzieć, ale nie mam pojęcia kto. Zapomniałam. Po prostu nie przywiązywałam do tego żadnej wagi. Tak mi się obilo o uszy.

- Czy przed tą waszą wycieczką odwiedzała pani mojego brata w jego pracowni?

- Ale skąd. Przedtem go nie znałam.

- A po wycieczce?

- Co po wycieczce?

- Pytam, czy po wycieczce odwiedzała pani mojego brata w jego pracowni.

Nasrożyła się.

- Dziwne pytanie. Po cóż miałabym go odwiedzać?

- Nie wiem. Może, żeby wypić szklankę herbaty albo obejrzeć obrazy.

- Nigdy nie byłam w pracowni pańskiego brata. Nie wiem, co mi pan chce zasugerować.

Zwoliński uśmiechnął się.

- Absolutnie nie mam zamiaru czegokolwiek sugerować. Po prostu interesują mnie szczegóły z ostatnich chwil życia mojego brata.

- Nie jestem żadnym szczegółem z życia pańskiego brata - powiedziała z obrażoną miną.

- Czy mój brat próbował z panią flirtować?

- Był dla mnie bardzo sympatyczny.

- A czy to nie denerwowało pani męża?

- Ach, proszę pana! Jego wszystko denerwuje. To jest trudne do zniesienia.

-Taki zazdrosny. Spojrzała na niego uważnie.

- Jeżeli pan myśli, że Carlo zabił pańskiego brata, to się pan grubo myli. On tego nie zrobił.

-Jest pani pewna?

- Najzupełniej. Mogłabym przysięgać w sądzie.

- Sprawę trochę komplikuje fakt - wtrącił się Górniak

- że pani mąż nie chce powiedzieć, co robił w nocy z 20 na 21 października. Pani zeznała, że wrócił nad ranem.

- Nie pamiętam, co zeznałam.

- To jest zaprotokołowane. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Nie pamiętam.

Zwoliński spojrzał znacząco na Górniaka i powiedział:

- Mniejsza z tym. To nie ma większego znaczenia. Czy pani jest zadowolona z tej wycieczki?

- O, tak. Bardzo. To była urocza wycieczka.

- Czy przed tą wycieczką znała pani pana Gilnera?

- Nie. Dał ogłoszenie do „Życia Warszawy”. Zatelefonowaliśmy do niego i wtedy żeśmy się poznali.

- W Paryżu mieliście tylko pewne komplikacje z tym samochodem - odezwał się znowu Górniak. Roześmiała się.

- Dlaczego się pani śmieje?

- A bo to była taka przedziwna historia. Niech panowie sobie wyobrażą - nowiutki mercedes, wspaniała maszyna. Jak jechaliśmy do Paryża, silnik pracował bez zarzutu. I nagle Zenon stwierdził jakiś defekt.

- Widzę, że pani zna się na samochodach.

-Jak ktoś ma prawo jazdy, to powinien znać się na silnikach i w ogóle na tych wszystkich technicznych sprawach.

- Bardzo słusznie - przytaknął Górniak. - Więc nagle pan Gilner doszedł do wniosku, że coś jest z wozem nie w porządku.

- Właśnie. I postanowił pojechać do warsztatu.

- Do tej pory nie widzę w tej historii nic specjalnie zabawnego.

Znowu się roześmiała.

- Niech pan posłucha. Ja koniecznie chciałam pojechać z Zenonem do tego warsztatu, ale on stanowczo się sprzeciwił.

- Dlaczego?

- Powiedział, że mu będę przeszkadzać, że warsztat samochodowy to nie jest odpowiednie miejsce dla kobiet i takie tam różne rzeczy. A ja się uparłam. Namówiłam Roberta, wzięliśmy taksówkę i pojechaliśmy za Zenonem.

- A co w tym czasie robił pani mąż?

- Postanowił zwiedzić Notre Dame. On uwielbia tę powieść Wiktora Hugo o tym dziwnym dzwonniku.

- Dlaczego pani nie towarzyszyła mężowi?

- Troszkeśmy się posprzecjali, a poza tym ja nie znoszę włóczyć się po kościołach. To dla mnie żadna atrakcja. Mojemu mężowi towarzyszyła pani Zwolińska.

- To prawda - przytaknął Zwoliński. - Teraz sobie przypominam, że żona mi wspominała.

- Ale nie odbiegajmy od tematu - powiedział Górniak. - Chciałbym wiedzieć, co zdarzyło się w tym warsztacie samochodowym.

Wzruszyła ramionami.

- Nic specjalnego. Zenon był wściekły, żeśmy za nim pojechali, ale wreszcie jakoś się udobruchał. Właściciel warsztatu był bardzo uprzejmy, wszędzie mnie oprowadzał, pokazywał, tłumaczył... Dziwił się nawet, że ja tak znam się na samochodach. Zaproponował mi pracę w swoim warsztacie. Na żarty oczywiście. Następnie wsiadł do wozu Zenona, przejechał się kawałek i powiedział, że rzeczywiście coś tam w silniku stuka, że trzeba będzie wziąć mercedesa na kanał, ale że teraz jest zawałony robotą. Co najmniej tydzień musielibyśmy

zatrzymać się w Paryżu. To nie miało sensu. Ja znam Paryż i chciałam jak najprędzej pojechać do Włoch. Zdecydowaliśmy polecieć samolotem.

- Z tego, co pani mówi, wnioskuję, że Gilner dobrze zna tego paryskiego mechanika - powiedział Zwoliński.

- Oczywiście. Rozmawiali ze sobą jak starzy, dobrzy znajomi.

- Czy pani pamięta adres tego warsztatu?

- Tak. Dostałam nawet taki reklamowy bilecik z adresem i telefonem. Właściciel warsztatu zapraszał mnie i powiedział, że w razie potrzeby służy mi swoją radą i pomocą w sprawach samochodowych. Sympatyczny facet, tylko czasem trudno go zrozumieć, bo ma taki dziwny akcent.

- To znaczy?

- Taki akcent trochę podobny jak ma mój mąż, kiedy zaczyna mówić po francusku. Możliwe, że także pochodzi z Korsyki. Mówi bardzo szybko i od czasu do czasu wtrąca zupełnie niezrozumiałe słowa.

Zwoliński uśmiechnął się życzliwie.

- Niewykluczone. Może nam pani opowie jeszcze coś o tej waszej wycieczce.

Poprawiła włosy i przesunęła szminką po wargach.

- No cóż... Poleciliśmy samolotem do Rzymu, gdzie Robert pożyczył od jakiegoś znajomego samochód, i wyruszyliśmy na zwiedzanie włoskich miast.

- Czy pani widziała tego znajomego mojego brata? Potrząsnęła głową.

- Nie. Nie widziałam. Wiem tylko, że Robert nie tylko pożyczył wóz, ale także musiał zainkasować większą gotówkę, bo zaczął szastać liram i dolarami na prawo i na lewo.

- Nie pytała pani, od kogo dostał te pieniądze?

- Skądże. Nie lubię się wtrącać do cudzych spraw, mnie to nie obchodzi, skąd kto bierze forszę, nie lubię tylko ludzi z pustymi portfelami i ludzi skąpych. To mi się właśnie bardzo podobało u Roberta, że lekką ręką wydawał pieniądze. Niczego sobie nie żałował i jeszcze nam wszystkim fundował różne rzeczy, do jedzenia, do picia, robił prezenty. Powiedziałabym nawet, że trochę przesadzał. Może chciał się popisać? Nie

wiem.

- Tak... — powiedział Zwoliński i zamyślił się. — W Paryżu nie był takim milionerem. Pożyczył nawet ode mnie trochę franków.

- Oczywiście - przytaknęła z ożywieniem. - W Paryżu był bez grosza. Tę większą gotówkę otrzymał w Rzymie. Od razu humor mu się poprawił.

- Czy mój brat, przy jakiejś okazji, nie wspomniał, że grozi mu jakieś niebezpieczeństwo, że się czegoś boi?

- Nie. Nic takiego nigdy nie mówił. Przynajmniej ja nie słyszałam.

Zwoliński przysunął krzesło, pochylił się i zniżył głos prawie do szeptu.

- Proszę mi tak zupełnie szczerze powiedzieć, czy pani się narkotyzuje?

- Też coś?! - wykrzyknęła oburzona. - Co panu przychodzi do głowy. Jak pan w ogóle śmie sugerować coś podobnego?

Zwoliński był przygotowany na taką reakcję. Spytał spokojnym, cichym głosem:

-I nigdy pani nie próbowała?

Zerwała się. Ręce jej drżały, rysy twarzy ściągnęły się w niemiłym grymasie. Nagle utraciła cały swój beztroski wdzięk.

- Dostyc mam tej idiotycznej rozmowy. Żegnam panów.

Wyszła szybkim, nerwowym krokiem. W pokoju zapanowało milczenie. Po chwili Górniak spytał:

- Dlaczego pan to zrobił?

Zwoliński zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Dlatego, żeby ją sprowokować. Od początku naszej rozmowy odniosłem wrażenie, że jest pod działaniem alkoholu albo narkotyku. Podejrzywałem raczej narkotyk. Mam w tej dziedzinie trochę doświadczenia. Nadmierne ożywienie, rozszerzone źrenice, pewne nie zawsze kon-

trolowane odruchy. Jej reakcja potwierdziła moje przypuszczenia. Jeżeli ja na przykład pana zapytam pan się narkotyzuje, to pan się tak straszliwie nie oburzy.

- Oczywiście, że nie - przyznał Górniak.

- No więc właśnie. A jeżeli ta mała coś takiego sobie

zaaplikowała, to można domniemywać, że jej korsykański małżonek działa w tej branży i ewentualnie mógł mieć jakieś powiązania z moim bratem.

-I ten zastrzyk większej gotówki, jaki pański brat otrzymał w Rzymie, mógł mieć z tą sprawą coś wspólnego

- powiedział Górniak.

- Niewykluczone, chociaż nie bardzo mi to pasuje z różnych względów.

- Wraca pan do Paryża? Zwoliński uśmiechnął się.

- Przyjechałem do Warszawy, żeby dopomóc w odnalezieniu mordercy mojego brata. Na razie obracamy się w sferze przypuszczeń, hipotez, luźnych poszlak. Oczywiście, że zbyt długo siedzieć u was nie mogę. Być może, że będę dojeżdżał. Nie mogę też wykluczyć i turystycznej wycieczki do Włoch.

Następnego dnia zaprosili na rozmowę Carla Canet-tiego. Korsykanin był chmurny i nie zdradzał ochoty do beztrudnej pogawędki. Ponieważ przez dłuższą chwilę nie zadawano mu żadnych pytań, pierwszy przerwał milczenie.

- O co chodzi?

- Chcieliśmy się dowiedzieć - uśmiechnął się Górniak.

- Czy pan już znalazł jakąś odpowiednią dla siebie pracę?

- Co to za żarty?

- To nie są żadne żarty. Potrzebna nam jest ta informacja.

- Nigdzie jeszcze nie pracuję.

- To źle - powiedział strapionym głosem Górniak. -

Jest pan młodym człowiekiem, pełnym sił i energii... A może interesowałaby pana praca u nas w milicji.

- Nie interesuje mnie.

- Mamy właśnie wolny etat w sekcji do walki z narkotykami.

Może to by pana zainteresowało?

Canetti zachnął się.

- Co to wszystko znaczy? Wczoraj usiłowaliście wmówić w moją żonę, że jest narkomanką, a dzisiaj takie jakieś bezsensowne propozycje.

- Dlaczego bezsensowne? - Górniak nie tracił zimnej krwi. - Po prostu chciałem zainteresować pana pracą w milicji, ale jeżeli to panu także nie odpowiada...

-Ja się nie dam nabrać na takie prymitywne gierki -Canetti był bardzo wzburzony. Oczy mu pały. Co chwilę nerwowym ruchem odgarniał spadające mu na oczy włosy.

- Dziwny z pana człowiek - powiedział wolno Górniak. - Podobno szuka pan interesującej pracy, a z chwilą, kiedy się panu proponuje naprawdę coś interesującego, to pan się zaczyna denerwować. Ale dajmy temu spokój.

- Czy pan jest pewien, że pańska żona nie ma nic wspólnego z narkotykami? - wtrącił się do rozmowy Zwoliński.

-Jestem absolutnie pewien i wypraszam sobie podobne insynuacje.

- Pańska żona mogła zataić przed panem, że od czasu do czasu zażywa narkotyki. Mógł pan nie zauważyć -upierał się Zwoliński.

- Proszę przestać! Proszę natychmiast przestać! Dostyc mam tego.

- Od jak dawna zna pan Zenona Gilnera? - spytał Górniak, nie zwracając uwagi na podniecenie Korsykanina.

- Sto razy już mówiłem, że poznałem go teraz, podczas tej wycieczki.

- A przedtem nigdy się pan z nim nie zetknął? -Nie.

- A pana Roberta Zwolińskiego znał pan przed tą wycieczką?

-Nie.

- Czy po wycieczce bywał pan w jego pracowni?

- Nie. Nie utrzymywałem z nim żadnych stosunków. Chyba już wiele razy to powtarzałem.

- Być może - powiedział zgodnie Górniak. - Proszę mi wybaczyć, ale tak dokładnie nie przypominam sobie, co pan mówił, a czego pan nie mówił. W tej całej sprawie jedna rzecz jest zastanawiająca. Pan twierdzi, że nigdy pan nie odwiedzał Roberta Zwolińskiego w jego pracowni, a badania daktyloskopijne wykazały, że pozostawił pan odciski swoich palców właśnie w tej pracowni.

Canetti jakby się trochę zmieszał, ale trwało to ułamek sekundy. Natychmiast odzyskał pewność siebie. Miał szybki refleks.

- W tej pracowni rzeczywiście bywałem. Dobrze znałem



Gustawa Biernackiego. Przyjaźniliśmy się.

- Kto to jest Gustaw Biernacki?

- Artysta malarz. On przed Zwolińskim zajmował tę pracownię.

-I co się z nim stało?

- Wyjechał do Stanów. Od tamtej pory nie miałem od niego żadnej wiadomości.

- Więc pan twierdzi, że pozostawił pan odciski swoich linii papilarnych w tej pracowni podczas swoich odwiedzin u poprzedniego użytkownika, niejakiego Gustawa Biernackiego?

- To jest jedyne wytłumaczenie tego faktu. Górniak z powątpiewaniem pokręcił głową.

- Bardzo wątpliwe wytłumaczenie.

- A to dlaczego?

- Czy pan sobie wyobraża, że od tamtych pańskich odwiedzin nikt nigdy nie ścierał kurzu w pracowni pana Zwolińskiego?

Canetti wzruszył ramionami.

- Boja wiem. Artyści nie zawsze dbają o porządek.

- Czy nie sądzi pan, że to trochę zbyt dużo czasu upłynęło od pańskiej bytności w tej pracowni.

- A w ogóle skąd macie odciski moich palców? - zaatakował nagle Canetti. - Przecież nikt nie pobierał moich...

Górniak uśmiechnął się.

- Nie jest pan po raz pierwszy w tym pokoju. Opierał się pan o biurko, pił pan wodę, przysuwał pan sobie krzesło... Chyba wystarczy, żeby zdobyć dokładny obraz pańskich linii papilarnych.

- To prawda. Zupełnie zapomniałem, że do was tutaj należy przychodzić w rękawiczkach i ani na chwilę ich nie zdejmować.

- Radzę panu porzucić ten agresywny ton - powiedział spokojnie Górniak. - Niech pan nie zapomina, że ciągle jest pan podejrzany o zamordowanie Roberta Zwolińskiego.

-Jeszcze?!

- Niestety tak. Jak dotychczas jest pan jedynym kandydatem na mordercę.

Korsykanin zerwał się.

- Znajdźcie sobie innego kandydata. Ja mam już tego

wszystkiego dosyć. Jeżeli macie jakieś konkretne dowody, to wsadzajcie mnie do więzienia, a jeżeli nie, to nie zawracajcie mi głowy i idźcie do wszystkich diabłów. - Wszedł, trzasnąwszy drzwiami.

Górniak nie zatrzymywał go. Spojrzał na Zwolińskiego.

- No i co pan na to?

- No cóż... - Zwoliński zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. - Facet oczywiście łże, ale co się kryje za tymi wszystkimi kłamstwami, trudno zgadnąć. Jedno jest, moim zdaniem, pewne: Canetti przed tą wycieczką turystyczną znał i Gilnera, i prawdopodobnie mojego brata. Nie można też wykluczyć, że i Gilner, i Canetti trudnią się handlem narkotykami.

- Skłonny jestem podzielać pańską opinię w tej sprawie - przytaknął Górniak. - Ale ciągle jeszcze pozostaje tajemnicą zamordowanie pańskiego brata. Jeżeli ukryli towar pod podłogą w pracowni, to nie uniemożliwiliby sobie dojścia do tego towaru. Przecież nietrudno sobie wyobrazić, co się dzieje po dokonaniu takiej zbrodni.

- Więc jednak pan przypuszcza, że mój brat zajmował się handlem narkotykami.

- Nie chcę niczego sugerować... - zastrzegł się pospiesznie Górniak. - Ale musimy brać pod uwagę także taką ewentualność.

Zwoliński pokiwał głową.

- Niestety musimy brać pod uwagę także taką ewentualność - powtórzył. - Trzeba będzie także zbadać sprawę tego jakiegoś Biernackiego, o którym wspomniał Canetti - dodał po chwili.

- Czyta pan moje myśli - uśmiechnął się Górniak. - Właśnie miałem poruszyć tę sprawę. Niewykluczone, że poprzedni użytkownik tej pracowni miał jakieś powiązania z handlarzami narkotyków.

- Właśnie - przytaknął Zwoliński. - Mógł w pewnym momencie poczuć się zagrożony i uciec do Ameryki. Będę musiał to sprawdzić.

- W jaki sposób?

- Mam w Nowym Jorku serdecznego przyjaciela, który

zajmuje się narkotykami. Jest nawet w tej dziedzinie wybitnym specem. Nasza znajomość datuje się jeszcze od czasu, kiedy pracowałem w Scotland Yardzie.

- O, widzę, że pan ma za sobą bogatą przeszłość w służbie policyjnej - powiedział z uznaniem Górniak.

- To prawda. A wracając do tamtej sprawy - jeżeli się okaże, że ten Biernacki siedzi za handel narkotykami albo że został zamordowany przez mafię, to ta heroina w pracowni mojego brata będzie w jakiś sposób wyjaśniona.

Rozległo się pukanie do drzwi. Wszedł porucznik Michałak. Nie był, jak zwykle, pogodnie uśmiechnięty.

- Zmył się - powiedział ponuro.

Górniak w pierwszej chwili nie zorientował się.

- Kto się zmył?

- No jak to kto? - odparł niecierpliwie porucznik. - Gilner oczywiście. Przecież kazałeś mi go doholować do komendy.

- I nie możesz go znaleźć?

- Przepadł. Ani śladu. Zostawił wszystko, mieszkanie, garderobę, samochód w garażu. Nerwowo pakował walizkę. W pośpiechu nie zamknął ani mieszkania, ani garażu.

- Przeszukałeś mieszkanie?

- Pobieźnie.

- Znalazłeś coś interesującego?

- Właściwie nic. Tylko w wozie znalazłem to... Górniak uważnie przejrzał papiery.

- Prawo jazdy, dowód rejestracyjny wozu i podatek drogowy. Wszystko na nazwisko Roberta Zwolińskiego.

- Mój brat nigdy nie miał ani wozu, ani prawa jazdy - wtrącił się Zwoliński.

Górniak był zaskoczony. - Jak to?

- Powtarzam - powiedział z naciskiem Zwoliński - że mój brat Robert nie posiadał nigdy samochodu i nie miał prawa jazdy.

- Jest pan pewien?

- Najzupełniej. Rozmawialiśmy nawet na ten temat, jak był teraz w Paryżu.

- Ale umiał prowadzić wóz?

- Był doskonałym kierowcą, ale prawa jazdy nie miał.

- Nie rozumiem - zdziwił się Górniak.

- Zaraz to panu wytłumaczę. Robert od małego nie znosił chorobliwie wszelkiego rodzaju egzaminów. Miał pod tym względem coś w rodzaju obsesji. Cała rodzina z trudem zdołała go namówić, żeby zdał maturę. Dostał się do Akademii, ale dyplomu nie otrzymał, bo nie chciał zdawać egzaminów. Uważałem to za kompletny idiotyzm, ale nie było rady. Dlatego też nie zrobił prawa jazdy. Właściwie nie nadawał się na kierowcę. Był chyba zbyt nerwowy i nie umiał się skoncentrować.

Górniak wziął do ręki dokumenty, które Michalak położył na biurku.

- W takim razie to wszystko jest lipne. Trzeba będzie dać do ekspertyzy. Czy w tym wozie zauważyłeś coś szczególnego?

Porucznik skinął głową.

-Tak. Błotniki, zderzaki i w niektórych miejscach podłoga noszą ślady niedawnego lutowania. Błotniki są bardzo grube. Nie ulega chyba wątpliwości, że Gilner faszerował swój wóz narkotykami.

- To oczywiste - przytaknął Górniak.

- Gilner dowiedział się, że ja przyjechałem, wpadł w popłoch i uciekł.

-Trzeba natychmiast zawiadomić wszystkie punkty graniczne, porty i lotniska - powiedział Górniak. Michalak uśmiechnął się triumfująco. -Już to zrobiłem. -Jesteś genialny.

- Szkoda, że tak późno to zauważyłeś.

- Lepiej późno niż wcale. Ale żarty na bok. Gilnera musimy zdjąć za wszelką cenę. To facet inteligentny i cwany. Bardzo prawdopodobne, że na razie zadekował się gdzieś tutaj, w kraju, na jakiejś głuchej prowincji. Możliwe, że posługuje się lewymi papierami. Musimy postawić na nogi wszystkie nasze prowincjonalne komendy i komisariaty. Roześliśmy im fotografie Gilnera. Broda i wąsy nie tak szybko mu urosną. Chyba że sobie przyklei sztuczne, ale to kłopotliwe i niebezpieczne.

- Teraz już sprawa tego rzekomego defektu silnika

całkowicie się wyjaśnia - powiedział Zwoliński. - Zaraz po powrocie do Paryża skontaktuję się z tym mechanikiem, a może nawet zatelefonuję na Quai des Orfevres, żeby zajęli się tym warsztatem.

Górniak pokiwał głową.

- Popieram tę inicjatywę. W takich sprawach należy działać możliwie jak najszybciej. Niewykluczone, że Gilner już zawiadomił swojego paryskiego wspólnika. Zdaje sobie przecież doskonale sprawę z sytuacji. Pański przyjazd do Warszawy bardzo im to wszystko skomplikował.

- Wydaje mi się w każdym razie, że mojego brata można całkowicie wyłączyć z tych „mercedesowych” narkotyków. Gdyby bowiem Robert był zamieszany w tę aferę, to, po pierwsze, nie zgodziłby się na to, żeby w razie wpadki Gilner przedstawił go celnikom jako właściciela wozu, a po drugie, nie pojechałby z żoną Canettiego za Gilne-rem do tego warsztatu.

- Słuszna uwaga - zgodził się Górniak. - Uważam to rozumowanie za najzupełniej logiczne. Jeśli chodzi o pańskiego brata, to pozostałaby jeszcze sprawa tej heroiny pod podłogą w pracowni.

Zwoliński skinął głową.

- Oczywiście. Trzeba będzie rozpracować tego jakiegoś Gustawa Biernackiego, a to może się okazać nie takie proste.

- Nie wiadomo, czy w ogóle zdoła pan natrafić na jego ślad - powiedział Górniak.

Górniak razem ze Zwolińskim obejrżeli dokładnie wóz Gilnera. Nie mogło być wątpliwości. Luksusowy mercedes był bardzo pomysłowo przystosowany do przewożenia większych partii narkotyków.

- Dobrze pomyślane - stwierdził Zwoliński - ale zasadniczo to nie żadna rewelacja, nic nowego. Widziałem już dziesiątki tak spreparowanych wozów. Zapewne Gilner od dawna uprawiał ten proceder. Warto by się zorientować, z kim się tutaj kontaktował. Musiał mieć jakiegoś dostawcę, który w celach „handlowych” przyjeżdżał ze Wschodu.

- Już wydałem odpowiednie polecenia - powiedział Górniak. Pochylił się przed garażem i zaczął uważnie oglądać żwir zmieszany z błotem. - Wydaje mi się, że tu stał niejeden samochód.

- Chyba ma pan rację - przytaknął Zwoliński, obejrzwawszy ślady bieżników. - No cóż... Garaż ogromny. Może pomieścić i trzy wozy. Warto by zrobić odlewy.

- Ma pan rację - przytaknął Górniak. - To się załatwi. W tej chwili przyjechał na motorze porucznik Michalak.

- Odkopałem siostrę tego Biernackiego - powiedział, zeskakując z siodełka.

Górniak spojrzał zdziwiony. - Jak to odkopałeś?

- No przecież nie przeprowadziłem ekshumacji, tylko znalazłem tę babę. Mieszka na Lwowskiej.

Górniak roześmiał się.

- Tak to powiedziałaś, że przez chwilę rzeczywiście przypuszczałem, że przeprowadzałeś jakieś śledztwo na cmentarzu. Dobrze, porozmawiamy z tą osobą. Ale teraz mam dla ciebie zadanie bojowe.

- Słucham?

- Musisz przypilnować Canettiego. Niewykluczone, że będzie miał ochotę ulotnić się.

Michalak pokiwał głową.

- Oczywiście. Jeżeli kombinował z Gilnerem, to może mu być tutaj trochę za ciasno. Dobra. Zajmę się facetem.

- A co z tym egzotycznym turystą, z którym kontaktował się Gilner? - spytał Górniak.

- Kowalski się nim zaopiekował, na razie wszystko w porządku. Nic mu nie można zarzucić. Przyjeżdża w sprawach handlowych. Odwiedza nasze centrale. Twierdzi, że nosi się z zamiarem założenia tutaj jakiejś spółki przemysłowo-handlowej.

- Narodowość?

- Libijczyk.

- Czy wiesz, jak się nazywa? Michalak zaczął szperać po kieszeniach.

- Mam tu gdzieś zapisane. Górniak machnął ręką.

- Daj spokój. Nie szukaj. Skontaktuję się z Kowalskim. Porucznik siadł na motor i odjechał.

- Pański współpracownik wydał mi się człowiekiem sprytnym i inteligentnym - powiedział Zwoliński. Górniak uśmiechnął się z zadowoleniem,

- Michalak? To spryciarz pierwszej klasy. Niejednego cwaniaka już wyrolował. Czasem tylko trzymają się go głupie zarty, i to w najmniej odpowiednich momentach.

- Jakie plany na najbliższą przyszłość? - spytał Zwoliński.

- Proponuję, żebyśmy sobie chwilę pogawędzili z siostrą Gustawa Biernackiego, którą „odkopał” Michalak.

\*\*\*

Nietrudno było się domyśleć, że pani Michalina Biernacka nie napotkała na przestrzeni całego swojego życia mężczyzny, który zapragnąłby ją poślubić. Wysoka, bardzo szczupła, a właściwie chuda, mogła być bez specjalnej charakterystyki grać rolę baśniowej Baby-Jagi. Twarz pociągła, z wystającymi kośćmi policzkowymi, oczy wąskie, nieco skośne, haczykowaty nos zaginał się nad ledwie dostrzegalną linią zaciśniętych warg. Siwe włosy były gładko uczesane i upięte w staromodny kok. Trzymała się prosto, poruszała się szybko, z energią dragona z dawnych czasów- Spojrzała na przybyłych pytająco.

- Chcieliśmy z panią chwilę porozmawiać - powiedział

Górniak.

- Wolałabym, żeby panowie przyszli z dozorcą. Mieszkam tu sama i nie lubię wpuszczać byle kogo.

- Obejdziemy się bez dozorca - uśmiechnął się Górniak. - Piękne ma pani mieszkanie - dodał, rozglądając się po imponującym metrażu.

- Czy panowie z kwaterunku? - Basowy głos zabrzmiał energicznie. - To jest własnościowe mieszkanie.

Górniak z trudem utrzymywał powagę. Ta jędrzowata jejmość, ubrana w czarną, długą suknię, zapiętą pod szyję, robiła tak niesamowite wrażenie, że omal nie parsknął śmiechem. Wydało mu się, że nagle znalazł się w jakimś innym, nierealnym świecie.

- Nie, nie jesteśmy z kwaterunku. Jesteśmy z milicji. Zesztywniała jeszcze bardziej. Najwidoczniej jej dawne kontakty z milicją nie należały do najmiłszych.

- O co chodzi? - Ciągle była najeżona, niechętna, wrogo usposobiona. Dopiero gdy dowiedziała się, że

Zwoliński stale mieszka w Paryżu i że przyjechał specjalnie, żeby się z nią zobaczyć, jej basowy głos nieco złagodniał. Zaczęła mówić po francusku. Mówiła płynnie, bardzo szybko, z doskonałym akcentem. Widać było, że jej to sprawia ogromną przyjemność.

- Tak się cieszę, że nareszcie mam okazję porozmawiać z kimś po francusku - powiedziała, obdarzając Zwolińskiego czymś w rodzaju uśmiechu.

Zwoliński odpowiedział uśmiechem i wysilił się na szereg komplementów, wychwalając jej doskonały akcent i wspomniał znajomość języka.

Górniak nie znał francuskiego i nudził się. Raz i drugi spojrzął na zegarek, szkoda mu było czasu. Rozumiał jednak, że w ten sposób Zwoliński złagodzi wrogi nastawienie Baby-Jagi i że uczyni ją bardziej skłoną do rodzinnych zwierzeń.

Cała ta dziwna scena zaczęła się nieco przedłużać i Zwoliński także był już znużony. Postanowił przerwać konwersację i oddać inicjatywę w ręce Górniaka. Powiedział:

- Mój przyjaciel niestety nie mówi po francusku, a chciałby



panią o coś zapytać. Czy zechciałaby pani udzielić mu pewnych informacji?

Odwróciła głowę i ostro spojrzała na Górniaka, tak, jakby go dopiero teraz spostrzegła.

- Pan jest z naszej milicji?

- Tak. Oto moja legitymacja.

Z widoczną niechęcią odsunęła po blacie stolika legitymację.

- To mi jest zupełnie niepotrzebne. O co panu chodzi?

Górniak uśmiechnął się przepraszająco.

- Zechce pani wybaczyć te nasze niespodziewane odwiedziny, ale chcieliśmy się dowiedzieć czegoś o pani bracie, Gustawie Biernackim.

- Nie mam nic, ale to absolutnie nic do powiedzenia - ucięła energicznie.

- Pani brat jest malarzem.

- Nie wiem, czy jest, czy był?

- Dlaczego pani powiedziała „był”?

- Bo nie mam pojęcia, czy jeszcze żyje. Od kiedy wyjechał do Ameryki, nie napisał do mnie ani słowa.

Zresztą nie zależy mi na tym. Może pisać, może nie pisać... Wszystko mi jedno. Mnie w ogóle jest już wszystko jedno. - Jeszcze mocniej zacisnęła usta.

Zwoliński doszedł do wniosku, że musi wesprzeć swojego warszawskiego kolegę i przejść znowu na język francuski. Powiedział:

- Zdaje się, że pani brat posiadał pracownię na Nowym Mieście.

- Tak. Kupiłam mu tę pracownię. Pieniądzy oczywiście nie dałam mu do ręki. Osobiście zapłaciłam. Sporządziliśmy akt rejentalny. To była bardzo piękna pracownia, ale cóż z tego?

- Z tego, co pani mówi, wnioskuje, że pani brat nie był zbyt dobrze sytuowany finansowo - uśmiechnął się życzliwie Zwoliński, rad, że jego interlokutorka, posłyszawszy język francuski, stała się bardziej skłonna do rozmowy.

Pani Biernacka nerwowym ruchem przesunęła dłonią po swoim gładkim uczesaniu, spojrzała na Górniaka i niespodziewanie powiedziała po polsku:

-Jeżeli pana to interesuje, to z prawdziwą przykrością muszę stwierdzić, że mój brat zawsze był skończonym nieponiem.

- Czy dobrze maluje? - spytał ostrożnie Górniak, uśmiechając się zachęcająco.

Energicznie machnęła ręką.

- Wszystko jakieś takie pikassy. Ja się zresztą nie znam na tej nowoczesnej pacykaninie. Niektórzy mówili, że jest zdolny. Ale nie chodzi o jego malowanie. Jego styl życia był skandaliczny.

- To znaczy? - spytał na wszelki wypadek po francusku Zwoliński.

- Rozpustnik, pijak, podobno nawet się narkotyzował odpowiedziała po polsku, patrząc w dalszym ciągu na Górniaka. - Przynosił wstyd całej rodzinie, a trzeba panom, wiedzieć, że nasza rodzina posiada bardzo stare tradycje. Mieliśmy niejednego dygnitarza w rodzie. Pieczętujemy się czarnym krogulcem. Prawdę mówiąc, jestem zadowolony, że ten wyrodek zniknął z mojego pola widzenia.

Cała ta tyrada zaskoczyła nieco Górniaka, ale ani jednym słowem nie przerywał tych wynurzeń. Zdawał sobie sprawę, że stara panna pragnie pozbyć się ciężaru, który od dawna leżał jej na sercu. Spytał:

- Ale pani pomagała swojemu bratu?

- Początkowo tak. Wyciągał ode mnie, co tylko mógł Zabrał nawet część naszej rodzinnej biżuterii. Zapewniał mnie, że chce mieć na pamiątkę, ale jestem przekonana że wszystko sprzedał. Przyznaję, że byłam w stosunku do niego zbyt słaba. Nie potrafiłam jakoś mu się przeciwstawić. Kiedy był dzieckiem, bardzo go kochałam.

- Więc pani początkowo pomagała swojemu bratu. A potem?

- Potem to nie było potrzebne. Miał bardzo dużo pieniędzy i szastał nimi na prawo i lewo. Zapraszał gości, urządzał orgie, chodził po wszystkich najdroższych restauracjach, próbował nawet mnie robić prezenty, ale nic od niego nie przyjąłem.

- W jaki sposób stał się nagle taki bogaty? - spytał Górniak.

Niecierpliwie wzruszyła ramionami.

- A boja wiem? Nigdy mi się z tego nie zwierzył.

- A pani go nie pytała?

- Byliśmy ostatnio w bardzo złych stosunkach. Nie chciałam go o nic pytać.

-I nagle wyjechał do Stanów?

- Tak. Zupełnie się tego nie spodziewałam. Któregoś dnia do mnie zatelefonował, powiedział, że sprzedał pracownię i że wyjeżdża do Ameryki. Podobno dzwonił z lotniska. Czy to prawda, nie wiem. On przeważnie kłamał.

-I nie otrzymała pani od niego ze Stanów żadnej wiadomości?

- Ani słowa.

- Czy pani wie, kto po pani bracie przejął pracownię?

- Specjalnie się tym nie interesowałam, ale ktoś kiedyś mi powiedział, że podobno jakiś Zwoliński. Nie wiem zresztą, czy czegoś nie pomyliłam.

- Ma pani doskonałą pamięć - powiedział z uznaniem Górniak. - Mój kolega, z którym pani rozmawiała po francusku, to właśnie jego brat.

- Ach, tak? Czy pański brat także dobrze mówi po francusku?

- Mój brat mówił bardzo dobrze po francusku - powiedział Zwoliński. - Może nie tak dobrze jak pani, ale zupełnie nieźle.

- Chętnie bym z nim porozmawiała.

- Niestety to jest niewykonalne, ponieważ mój brat już nie żyje. Został zamordowany.

- O, to przykre - powiedziała dość obojętnie. Nie zdobyła się nawet na najbardziej banalne słowa współczucia.

- Został zamordowany w tej pracowni, z której korzystał pani brat - dorzucił Górniak.

- Musiał się komuś narazić - widać było, że stara panna nie interesuje się zbrodniami. Miała najwyraźniej zainteresowania wyłącznie lingwistyczne.

- Czy pan Gustaw Biernacki znał mojego brata? - spytał Zwoliński.

Wzruszyła ramionami.

- Nie mam pojęcia. Nie interesowałam się znajomościami mojego brata.

-A jednak orientowała się pani, że wpadł w złe towarzystwo - zauważył Górniak.

- Słyszałam, co ludzie o nim mówili.

- Nie zawsze, co ludzie mówią, jest zgodne z prawdą. Spojrzała na niego z wyraźną niechęcią.

- Czyżby pan chciał mnie przekonać, że niesłusznie oczerniam mojego brata?

Górniak uśmiechnął się.

- Ależ, broń Boże. Nie mam najmniejszego zamiaru o niczym pani przekonywać.

Zwróciła się do Zwolińskiego i spytała po francusku:

- Czy czytał pan coś Regine Deforges? Może Niebieski rower?

Zwoliński nieco zaskoczony rozłożył ręce.

- Żałuję bardzo, madame, ale zupełnie nie mam czasu na lekturę. Za dużo pracy.

- Czy pan tam, w Paryżu, zajmuje się morderstwami?

- To zależy - odparł wymijająco Zwoliński.

Zaczęła wodzić po pokoju zmętniałymi oczami. Pochyliła się, przygarbiła, jakby się nagle postarzała. Utraciła cały swój pierwotny wigor. Spojrzała na zegarek.

- Panowie wybaczą, ale jestem bardzo zmęczona. Wstali i podziękowali za rozmowę. Na pożegnanie Zwoliński powiedział parę uprzejmościowych zdań po francusku.

Kiedy wrócili do komendy, Górniak włączył elektryczny czajnik.

- Napijemy się dobrej herbatki - powiedział pogodnie. - Mam tu jeszcze paczuszkę darjeelingu, którą chowam na czarną godzinę. Właśnie sądzę, że ta czarna godzina nadeszła. Straciliśmy sporo czasu, a nie posunęliśmy się ani na krok.

- Tak nie można powiedzieć - zaproponował Zwoliński. - Zdobyliśmy jednak trochę informacji dotyczących

Biernackiego. Ta niesamowita staruszka powiedziała nam to i owo. Co pan o niej myśli?

- Myślę - powiedział powoli Górniak - że chyba nie powiedziała wszystkiego tego, co by mogła powiedzieć. A poza tym nie jest wykluczone, że narkotyzuje się.

Zwoliński skinął głową.

- To bardzo prawdopodobne. Tym by się tłumaczyła jej nagła

apatia. Chciała się nas jak najprędzej pozbyć, żeby sobie zaaplikować nową dawkę.

Czajnik zaczął gwizdać. Górniak podniósł się i zaparzył herbatę.

- Co u diabła? - powiedział niecierpliwie. - Bez przerwy obracamy się w kręgu narkotyków.

- Signum temporis - powiedział sentencjonalnie Zwoliński. - Ale ciągle jeszcze jesteśmy dalecy od wykrycia mordercy Roberta. Te wszystkie pogawędki niczego nam nie wyjaśniły.

Górniak energicznie potrząsnął głową.

- Niezupełnie się z panem zgadzam. Wydaje mi się, że uzyskaliśmy szereg informacji, które rzucają pewne światło na sprawę. A więc, po pierwsze, nie ulega chyba wątpliwości, że poprzedni użytkownik tej pracowni, Gustaw Biernacki, miał ściśle powiązania z handlarzami narkotyków, prawdopodobnie sam się narkotyzował i wciągnął do tego swoją siostrę, od której wyłudzał biżuterię oraz pieniądze, dopóki się nie dorobił. Prawdopodobnie ta heroina, znaleziona pod podłogą w pracowni, pochodzi z czasów jego działalności. Wynikło coś takiego, że musiał się błyskawicznie likwidować z terenu. Być może, że naraził się współnikom i bał się o swoje życie. W tej sytuacji...

- Ale co to wszystko ma wspólnego z zamordowaniem mojego brata? - przerwał mu Zwoliński.

- Otóż to... - podchwycił Górniak. - Należałoby teraz ustalić, czy pański brat znał Biernackiego i czy z nim współpracował. To sprawa dosyć zasadnicza.

- Widzę, że będę musiał wybrać się do Stanów - powiedział Zwoliński.

- Tylko czy panu udzielą tak długiego urlopu?

- Być może, że mnie wyślą służbowo. Afera zatacza coraz szersze kręgi. Nie zapominajmy o tym Korsykaninie. Niewykluczone, że on także jest w to wszystko zamieszany.

- Porucznik Michalak przypilnuje go.

- To doświadczony fachowiec. Jedyiny do tego rodzaju akcji.

- Teraz moglibyśmy porozmawiać z Kowalskim, jeżeli oczywiście pan nie jest już zbyt zmęczony i jeżeli Kowalski nie

wyruszył w teren.

- Nie jestem zmęczony - powiedział Zwoliński i zapalił papierosa.

Górniak przysunął telefon i podniósł słuchawkę. Okazało się, że sierżant Kowalski wrócił właśnie z miasta

i zaraz się zamelduje.

Po chwili rozległo się pukanie do drzwi i wszedł. Średniego wzrostu, szeroki w ramionach, o okrągłej, pucołowatej twarzy, na której dominował kartoflowaty nos, dość znacznie oddalony od klasycznych profilów greckich bogów. Zaczynał tyć i miał niejakie trudności w zapięciu marynarki. Był po cywilnemu.

Po dokonaniu wstępnych prezentacji Górniak wskazał krzesło i powiedział:

- Siadajcie, kolego. Chcielibyśmy czegoś się dowiedzieć o tym egzotycznym turyście, którego Przekazał wam porucznik Michalak.

Kowalski usiadł na brzeżku krzesła, wyprężył się służbiście i odchrząknął.

- Otóż tak, obywatelu kapitanie.

- Facet przyjechał z Libii i podaje się za Libijczyka, ale paszport ma egipski.

-Jak się nazywa?

- Ahmed Nagib.

- Gdzie mieszka?

- W Forum.

-Jak się zachowuje?

- Normalnie. Nic specjalnego nie zauważyłem. Odwiedza nasze centrale handlu zagranicznego. Podobno chce zakładać tutaj jakąś spółkę.

-Jakie języki znacie?

- Rosyjski i angielski.

- Po angielsku dobrze mówicie?

- Średnio, ale porozumieć się mogę.

- Wiecie, kto to jest Gilner?

-Jasne. Porucznik Michalak mi go pokazał.

- Czy ten egipski Libijczyk spotykał się z Gilnerem?

- Spotykał się.

- Gdzie?

- W restauracjach, w kawiarniach... Kiedyś zabrał go do swojego wozu.

—Jaki to wóz?

- Volvo. Najnowszy model. Maszyna pierwszy sort, luksus.

- Dokąd pojechali?

- Tego nie wiem. Nie miałem ani wozu, ani motoru. Nie miałem jak za nimi jechać.

-Trzeba było wziąć taksówkę. Kowalski wzruszył ramionami.

- Obywatel kapitan tak mówi, jakby nie mieszkał w Warszawie. Gdzie tu taksówki szukać. Pierońsko podrożały, ale i tak ciężko złapać.

Górniak machnął ręką.

-Trudno. Stało się. Trzeba by jakoś zawiadomić Michalaka, że ten Egipcjanin ma takie szalone volvo. Mam nadzieję, że zanotowaliście numer rejestracyjny.

- Ma się rozumieć.

- Dobrze by było - mówił dalej Górniak - żebyście nawiązali z tym facetem osobisty kontakt.

Sierżant pokiwał głową.

- Tak jest, obywatelu kapitanie. Próbowałem odstawić cinkciarza, ale nic z tego nie wyszło. Nie potrzebuje nic sprzedawać ani kupować.

- Spróbujcie przy okazji wymyślić coś innego. Ale musicie to robić bardzo ostrożnie, żeby się facet nie skapował. Pamiętajcie, że macie do czynienia z lepszym cwaniakiem.

- Orientuję się, obywatelu kapitanie

- Czy wiecie, że Gilner prysnął?

- Wiem. Szukają go po całym kraju już zawiadomione są wszystkie punkty graniczne, lotniska, porty. Trochę może mu być ciasno.

Górniak skrzywił się z powątpiewaniem.

- Moim zdaniem on już jest daleko stąd.

- Czy pan nie zauważył jakichś znaków szczególnych u tego egipskiego Libijczyka? - spytał Zwoliński. Kowalski był wyraźnie zaskoczony.

- Znaków szczególnych...? Nie. O jakie znaki szczególne panu

chodzi?

- Mam na myśli takie znaki, które czasem pomagają do identyfikacji danego osobnika, na przykład broda, wąsy, dzioby po ospie...

Kowalski chwilę się zastanawiał-

- Dzioby po ospie? Nie, nie ma. Nosi duże okulary w ciemnej oprawie i ma taką kozią bródkę. Wąsów nie zauważyłem. Ale... ale... coś sobie teraz przypomniałem. Ma okaleczone lewe ucho.

-Jak to okaleczone?

- To tak wygląda, jakby mu kto urznął nożem koniuszek ucha.

- Na dole czy na górze?

- Na dole.

- Chodzi zapewne o ten dzyndzolek - pomógł Górnjak, dotykając swojego ucha.

- O właśnie! Dzyndzolek - ucieszył się Kowalski. -Świetnie to obywatel kapitan określił.

Zwoliński uśmiechnął się.

- A oprócz tego dzyndzolek zauważył pan jeszcze coś charakterystycznego?

- Chyba nie. Śniada twarz tak jak u Araba. Dosyć krzepki, tęgi. Widać, że lubi zjeść.

- Może pan ma jego zdjęcie? Sierżant poczuł się urażony.

-Jakja rozpracowuję faceta, to zaczynam robotę od fotografowania, z przodu, z jednego boku, z drugiego boku, z tyłu. Będzie pan miał obydwie uszy jak na dłoni.

- Doskonale - pochwalił Zwoliński. - To się może bardzo przydać.

Kowalski spojrział na Górnika.

-Jakie dyspozycje, obywatelu kapitanie? Czy mam dalej inwigilować tego Araba?

- Oczywiście. Nie spuszczaście go z oczu. Chciałbym wiedzieć, gdzie bywa, w jakich lokalach, z kim się

kontaktuje, czy wyjeżdża z Warszawy, czy też porusza się tylko na tym terenie. Aha... i jeszcze jedna sprawa: postarajcie się zorientować, czy ta jego broda nie jest przyprowadzona.

Kowalski spojrział zaskoczony.



- Jak ja mam to wykonać, obywatelu kapitanie? Nie będę przecież faceta ciągnął za brodę.

Górniak uśmiechnął się.

- Takiej akcji nie sugeruję. Pozostawiam to waszej pomysłowości.

- Tak jest. Czy mogę się odmeldować? Górniak skinął głową.

- Chyba wszystko żeśmy już ustalili. Ale pamiętajcie, żebyście zawsze mieli do dyspozycji wóz albo motor. Bardzo mi zależy na tym, żeby wiedzieć, dokąd jeździ na przejażdżki pan Ahmed Nagib. I bądźcie ze mną w stałym kontakcie. Gdyby mnie nie było w komendzie, zostawiajcie dla mnie wiadomość w sekretariacie. Jak będziecie rozmawiali z sekretarką, to tego Araba nazywajcie turystą. Nie podawajcie żadnych nazwisk. Kowalski spojrzał spode łba.

- Obywatel kapitan tak ze mną rozmawia, jakbym się dopiero wczoraj narodził.

- Nie obrażajcie się - powiedział wesoło Górniak. \_ Czasami dobrze jest przypomnieć sobie niektóre reguły gry.

Po wyjściu Kowalskiego Górniak spytał:

- No i co pan o tym myśli? Zwoliński rozłożył ręce.

- Cóż tu jest do myślenia? Ciągłe jeszcze mamy za mało konkretnych faktów. Jedno tylko mogę stwierdzić-. Ten pański sierżant jest niesłychanie drażliwy.

- To bardzo sumienny i doświadczony funkcjonariusz - powiedział Górniak. - Można na nim polegać. Jest rzeczywiście trochę przewrażliwiony na punkcie swoich zawodowych kwalifikacji. Każdy ma jakieś słabostki.

\*\*\*

Podczas gdy Górniak i Zwoliński prowadzili polsko-francuską konwersację z panią Biernacką, a następnie wysłuchali raportu sierżanta Kowalskiego, Michalak wszedł na motor i pojechał na Mokotów.

Państwo Canetti mieszkali przy ulicy Naruszewicza, w niedużej willi z ogrodem. W świetle gasnącego dnia białe ściany błyszcząły poprzez pozbawione liści gałęzie drzew.

Michalak zostawił motor za rogiem i ostrożnie podszedł do willi. Tylko jedno okno było oświetlone.

Niedaleko bramy stał duży wóz.

- Volvo - mruknął do siebie. - piękna maszyna.

Przez chwilę zastanawiał się, co robić. Teraz żałował, że był sam. Powinien był sobie dokooptować kogo ze służby drogowej. Trudno. Musiał ryzykować. Biegiem dopadł motoru i wyjechał na aleję Niepodległości. Szczęście mu sprzyjało. Właśnie od strony Śródmieścia nadjeżdżał wóz milicyjny. Dodał gazu i zajechał mu drogę. Gwałtowne hamowanie. Dwóch milicjantów wyskoczyło z wozu.

- Czy pan oszalał?! Prawo jazdy proszę. - Sierżant był pąsowy z wściekłości i zdenerwowania.

Michalak błyskawicznie wylegitymował się i powiedział, o co chodzi.

- Obywatelu poruczniku... tak nie można. Przecież mogliśmy was zabić. Ale i tak...

- Odlóżmy tę rozmowę na później - przerwał niecierpliwie Michalak.

- Każda chwila droga. Kto ze mną pojedzie? -Ja - zdecydował sierżant Pawlak.

Przyjechali w ostatniej chwili. Właśnie Canetti otwierał bramę.

Sierżant zeskoczył z motoru i podszedł do Korsykanina.

- To pański wóz?

- Mój. A bo co?

- Prawo jazdy proszę.

Canetti niecierpliwym ruchem wyjął z kieszeni prawo jazdy.

Sierżant bardzo uważnie obejrzał prawo jazdy i powiedział:

- Chciałbym także zobaczyć dokumenty wozu. Chwila wahania.

- Dokumenty wozu nie są na moje nazwisko. -Jak to? Nie rozumiem.

- To proste. Kupiłem wóz na giełdzie i jeszcze nie zdążyłem załatwić tych wszystkich formalności.

- W takim razie nie może pan korzystać z tego wozu.

- Dlaczego nie mogę? To miała być taka próbna jazda.

- Nie może pan jeździć bez dokumentów wozu. Canetti wzruszył ramionami.

-Jak nie, to nie. Jakoś tu dojechałem bez problemu.

- Kupując wóz, musiał pan spisać umowę ze sprzedającym.

- Oczywiście.

- Można wiedzieć, od kogo pan kupił?

- Od niejakiego Adama Wiśniewskiego. Ale właściwie z jakiego powodu wypytuje mnie pan o to wszystko? -zniecierpliwił się Canetti.

Sierżant uśmiechnął się dobrodusznie.

- Proszę się nie denerwować, ale takie dostaliśmy polecenie. Po prostu zgłoszono nam kradzież wozu marki Volvo i teraz sprawdzamy wszystkie wozy tej marki. Czy mógłbym obejrzeć umowę kupna i sprzedaży.

- Oczywiście - Canetti wyciągnął z wozu duże arkusze papieru, złożone we czworo. - Proszę.

Sierżant przeczytał bardzo uważnie, oddał dokument, przyłożył dłoń do czapki i powiedział:

- Wszystko w porządku. Przepraszam, że pana niepokoiłem. Ale przed załatwieniem koniecznych formalności proszę nie używać wozu.

- Przyrzekam.

Sierżant wrócił do Michalaka i zdał mu relację z przebiegu rozmowy.

- Czy nie zauważyliście niczego podejrzanego? - spytał porucznik.

Sierżant potrząsnął głową.

- Chyba nie. Wszystko było tak, jak trzeba.

- Czy wydaje wam się, że poza tym facetem nikogo nie było w domu?

- Nikogo więcej nie zauważyłem. Okna ciemne... Chociaż...

- Chociaż co? - podjął szybko Michalak.

- Chociaż wydało mi się, że podczas mojej rozmowy z tym gościem zauważyłem światło latarki. Ale nie jestem pewien. Może mi się zdawało. Jak człowiek jest trochę podenerwowany, to może mu się coś przywidzieć.

Nie wyglądacie na człowieka nerwowego - uśmiechnął się Michalak.

W naszej pracy każdy robi się nerwowy - powiedział sierżant.

- Chociaż ja to najbardziej się denerwuję, jak rozmawiam z moją żoną - dodał po chwili z wesołą miną. -

Czy jestem jeszcze potrzebny, obywatelu poruczniku?

- Chyba nie. - Michałak wyjął z kieszeni papierosa i poczęstował sierżanta. - Dziękuję za pomoc. Odwiózłbym was, ale muszę tu sterceć i pilnować tego faceta.

- Nie szkodzi. Złapię jakiś autobus albo tramwaj. Od-meldowuję się.

Michałak został sam. Oparł motor o siatkę, przykrywając go opadającymi gałęziami dzikiego wina. Następnie ostrożnie zbliżył się do bramy, której Canetti jeszcze nie zdążył zamknąć. Samochód zniknął. Widocznie został wprowadzony do garażu, w willi znowu w jednym oknie paliło się światło.

Michałak nie bardzo wiedział, co o tym wszystkim myśleć. Nie wydawało mu się to prawdopodobne, żeby Canetti kupił taki luksusowy wóz za ciężkie dolary, i to od jakiegoś Wiśniewskiego. Cała ta transakcja wydawała mu się mocno podejrzana. Sprawę jeszcze komplikował fakt, że ten Egipcjanin, którego inwigilował Kowalski, także jeździł po Warszawie, a może i poza Warszawę, najnowszym modelem wozu Volvo. To dawało do myślenia. Ale co można było wymyślić, tego porucznik Michałak nie wiedział. Właśnie zastanawiał się nad tym, czy ma w dalszym ciągu sterceć przed tą willą, czy też wracać i nara-

dzić się z Górniakiem, gdy w pobliżu posłyszał warkot motoru. Od strony alei Niepodległości nadjeżdżał duży szary wóz. Volvo! Znowu Volvo. Porucznik już nie myślał o powrocie do komendy. Ukrył się obok swojego motoru

I obserwował dalszy przebieg wypadków.

Srebrzysty wóz wjechał wolno w otwartą bramę, a następnie w dół, do garażu. Po pewnym czasie światło w oknie zgasło i wszystko pogrążyło się w ciemnościach.

Michałak uruchomił krótkofalówkę i połączył się z Komendą. Na szczęście zastał jeszcze Górniaka.

- Słuchaj, Władek... Od dłuższego czasu kolęduję na Naruszewicza, przed willą Canettich. W garażu stoją dwa wozy Volvo, identyczne z tą maszyną, którą jeździ ten libijski

Egipcjanin.

Chwila milczenia.

- Słyszysz mnie? Władek! Słyszysz mnie?

- Tak, słyszę. Zastanawiam się. Boję się, żebyśmy nie zrobili jakiegoś głupstwa. Zaraz przyślę ci radiowóz z trzema ludźmi. Jakby któryś z tych wozów wyjechał z garażu, to jedź za nim. To chyba w tej sytuacji jedyne rozwiązanie. Kto przyprowadził ten drugi wóz?

- Nie wiem. Ciemno. Nie mogłem rozpoznać. Nie mogłem się nawet zorientować, czy mężczyzna, czy kobieta.

- Canetti jest w domu?

- Tak. Twierdzi, że kupił wóz na giełdzie. Pokazywał umowę sierżantowi Pawlakowi, którego tam posłałem.

- To chyba na razie wszystko. Przyjechałbym do ciebie, ale wolę nie kontaktować się z Canettim. Ty także nie powinienes się dekonspirować.

- Jasne. A co robić, jeżeli obydwie wozy wyjadą z garażu, zanim przyjedzie radiowóz?

- Musisz się kierować instynktem. Jedź za tym wozem, który ci się wyda bardziej podejrzany. Zresztą nie chcę ci niczego sugerować. Mam zaufanie do twojego „nosa”.

Michalak wyłączył krótkofalówkę i w tej chwili posłyszał otwieranie drzwi garażu. Jeden z wozów ukazał się w niezamkniętej jeszcze bramie. Porucznik wsiadł na motor i bez chwili wahania ruszył za nim. Nie dojrzał, kto siedział przy kierownicy.

Wydostali się na Woronicza, a następnie dłuższy czas jechali Puławską. Michalak w pewnym momencie zaczął się niepokoić, czy wystarczy mu benzyny. Nie mógł jednak teraz myśleć o tankowaniu. Nagle, zupełnie niespodziewanie kierowca volva zatoczył efektowny łuk, dodał gazu i ruszył z powrotem. W kilka minut znaleźli się na Naruszewicza. Dopiero teraz Michalak zorientował się, że prowadził Canetti. Wprowadził wóz do garażu, zamknął bramę i poszedł do domu.

Porucznik rozejrzał się. Tuż za rogiem stał radiowóz.

- Wyjeżdżał ktoś z tej willi?

- Nie widzieliśmy nikogo, obywatelu poruczniku -

odpowiedzieli nieomal chórem trzej milicjanci.

-I nikt tam nie wjeżdżał?

- Absolutnie nikt.

- W porządku. Możecie wracać. -Ja także nie jestem potrzebny?

Znajomy głos. W głębi radiowozu siedział sierżant Pawlak.

- Chwileczkę - powiedział Michalak, któremu nagle błysnęła genialna myśl.

Po krótkiej naradzie radiowóz odjechał, porucznik wrócił na swoje stanowisko koło winnej latorośli, a sierżant Pawlak energicznym krokiem ruszył w kierunku willi, furka była otwarta.

Canetti, zaskoczony niespodziewaną wizytą, nie ukrywał swojego niezadowolenia.

- Pan jeszcze do mnie? O co znowu chodzi? Sierżant zasalutował i uśmiechnął się życzliwie.

- Nie dotrzymał pan swojego przyrzeczenia. Umówiliśmy się przecież, że nie będzie pan korzystał z wozu przed dokonaniem koniecznych formalności.

Korsykanin niecierpliwie wzruszył ramionami.

-Ależ, panie sierżancie... Przejechałem tylko kawałek tutaj, koło domu. Chciałem się nacieszyć nową maszyną, jeszcze wypróbować.

Sierżant pokiwał głową.

- Rozumiem. Tym niemniej umówiliśmy się, a umowa jest umową. Chciałbym zobaczyć pański wóz.

- W jakim celu?

- Tak sobie, z ciekawości. Chciałbym z bliska obejrzeć taką luksusową maszynę. Chyba pan nie ma nic przeciwko temu.

Canetti niechętnym spojrzeniem zmierzył milicjanta.

- Nie bardzo rozumiem, ale jeżeli pan koniecznie chce, to proszę. Wezmę tylko klucz od garażu. - Zniknął w głębi domu.

Sierżanta ogarnął jakiś niepokój. Cofnął się na ganek i odpiął kaburę, w której tkwił pistolet.

Po chwili w drzwiach pojawił się Canetti. Klucz od garażu niósł w ręku.

- Proszę. Niech pan idzie za mną.

Zeszli w dół, do garażu. Canetti otworzył drzwi i zapalił światło.

Mocna żarówka rozproszyła ciemności, z których wyłonił się srebrzysty duży samochód, tylko jeden samochód.

Sierżant obejrzał dokładnie wóz, pogładził błotniki, zderzaki, zajrzał do wnętrza. Udawał ogromne zainteresowanie, kręcił głową z podziwem.

- Wspaniała maszyna, naprawdę wspaniała maszyna -powtarzał. - Takim czymś jeździć to jest dopiero prawdziwa satysfakcja.

Canetti czekał cierpliwie. Wreszcie spytał:

-Już pan obejrzał?

- Tak. Dziękuję. - Podciągnął pas i zapiął kaburę. Canetti uśmiechnął się.

- Ładny ma pan pistolet, panie sierżancie, można zobaczyć?

Sierżant był zaskoczony.

- A to w jakim celu?

- Tak sobie, z ciekawości. Pana interesują samochody marki Volvo, a moje hobby to broń palna, szczególnie krótka.

Sierżant spojrział badawczo na Korsykanina. Wyciągnął z kabury pistolet i wyjął magazynek.

- Proszę. Niech pan sobie obejrzy.

Canetti wziął i zarepetował. Nabój uderzył o betonową podłogę.

- Zapomniał pan o naboju w lufie. Sierżant zmieszał się.

- Rzeczywiście.

- Z tym trzeba uważać - powiedział mentorskim głosem Canetti. - Łatwo o wypadek.

Sierżant nie zareagował. Spojrzął na zegarek.

- Na mnie już czas. Dziękuję za pokazanie wozu. Do widzenia. I niech pan jednak nie jeździ, dopóki nie będzie pan miał dokumentów w porządku.

- Ależ oczywiście. Po była taka maleńka próbna przejażdżka.

Canetti odprowadził sierżanta do wyjścia i zamknął za nim furtkę.

Porucznik Michalak czekał niecierpliwie przy swoim motorze.

- Co tak długo? Już się zastanawiałem nad tym, czy nie potrzebna wam pomoc.

- Tak jakoś zeszło - mruknął sierżant i zdał relację z przebiegu wypadków, nie wspominając ani słowem o pi-stolecie. Wiedział przecież, że nie powinien był oddać broni w niepowołane ręce, i jeszcze do tego wszystkiego ten nabój w lufie.

-I twierdzicie, że w garażu stoi tylko jeden wóz? - spytał Michalak.

- Tylko jeden. -Jesteście pewni?

- Najzupełniej.

- Nie macie żadnych wątpliwości?

- Absolutnie żadnych.

- Może ten drugi wóz stoi za czymś schowany? Sierżant energicznie potrząsnął głową.

- Wykluczone. Garaż jest zupełnie pusty.

- Cholera jasna - zaklął Michalak. - Wyrolowali nas skurwysyny.

Górniak słuchał bardzo uważnie.

- Nie chcę cię martwić, Kaziu - powiedział, kiedy opowiadanie dobiegło końca - ale dałeś się zrobić w konia.

Pogoda ducha i dobry humor całkowicie opuściły Michalaka. Spoglądał spode łba i unikał wzroku przyjaciela.

- Wiem o tym lepiej niż ty - mruknął ponuro. - Ale jakie miałem inne wyjście w tej sytuacji? Nie jechać za tym korsykańskim gangsterem?

Górniak uśmiechnął się.

- Muszę cię pocieszyć, że ja także nie bardzo wiedziałbym, co robić. Okazało się, że ten wyjazd jednego wozu to była przynęta, ale równie dobrze to mogła nie być przynęta. I co wtedy?

Michalak uśmiechnął się blado.

- Pocieszasz mnie, Władek. Ale tak czy owak jestem bardzo przegrany. Pokpiłem sprawę. Nie ma co ukrywać. Trzeba mi było zatrzymać ten radiowóz albo przynaj-

mniej nie odprawiać Pawlaka. Zostałem sam i właściwie nie miałem wyboru. Liczyłem na to, że ty mi na czas przyślesz



pomoc.

- Natychmiast wysłałem radiowóz - powiedział Górniak. -Ale tamten, nafaszerowany zapewne narkotykami, musiał błyskawicznie wyjechać z garażu po twoim odjeździe. Przypuszczam, że Canetti musiał się orientować, że są obserwowani. Dlatego zainscenizował to w ten sposób.

- Znowu narkotyki - mruknął Michalak.

Górniak zapalił papierosa, wstał i przeszedł się po pokoju.

- A coś ty myślał? To jest dobrze zorganizowana szajka. Z Zachodu ściągają luksusowe wozy, ze Wschodu ci różni Arabowie ładują do nas narkotyki, następnie te wozy faszerują narkotykami i na Zachód, Francja, NRF, Szwajcaria, Belgia i czort wie dokąd jeszcze. Ciekaw jestem, co Zwoliński wyniucha w Paryżu.

-Już pojechał?

-Jeszcze nie, ale lada dzień odlatuje.

-Trzeba zawiadomić wszystkie punkty graniczne - powiedział porucznik. - Niech solidnie sprawdzają wozy marki Volvo.

Górniak pokiwał głową.

-Tak. Już to zrobiłem, wydałem odpowiednie dyspozycje. Nie sądzę jednak, żeby to coś dało. Przypuszczam, że ci handlarze narkotyków zadekują wóz w jakiejś dziurze i przeczekają, aż sprawa trochę przycichnie. Jak zdążyliśmy się już przekonać, to nie są frajerzy.

- Miałeś jakieś wiadomości od Kowalskiego?

- Tak. Dzwonił do mnie przed twoim przyjazdem. Twierdzi, że ten libijski Egipcjanin jeździ sobie spokojnie po Warszawie swoim srebrzystym volvem.

Zwoliński wrócił do Paryża. Żonie i córce przywiózł z Warszawy piękne sznury bursztynów, a synowi kilka książek o tematyce historycznej oraz album o zbiorach wawelskich. Starał się, żeby jego dzieci nie traciły kontaktu z Polską.

- No i cóż tam działałeś w ojczyźnie? - spytała Laura. Zwoliński zrobił smętną minę.

- Jeżeli mam być szczerzy, to niewiele. Sprawa mocno się komplikuje, zahacza o jakąś większą aferę związaną z handlem narkotykami.

- Chyba nie przypuszczasz, żeby Robert...? Wzruszył ramionami.

- Bo ja wiem... Po tych wszystkich przesłuchaniach trochę jestem oszołomiony i zdezorientowany. Mam nadzieję, że Robert nie był w to wmieszany, ale stuprocentowej pewności nie mam. Zresztą nie rozmawiamy teraz o rzeczach przykrych. Powiedz, jakżeście sobie dawali tu radę beze mnie.

Laura „służbiście” przedstawiła „raport” z życia rodzinnego, który wypadł dość zadawalająco. Elżunia dostała tylko jeden stopień niedostateczny z fizyki, a Ludwik spóźnił się do szkoły tylko trzy razy, co, jak na jego możliwości, było dużym sukcesem. Miał ogromny niedobór snu. Korzystając z nieobecności ojca, do późna oglądał wszystkie możliwe programy telewizyjne albo czytał książki nieodpowiednie dla młodzieży w wieku szkolnym.

Zwoliński z pewnym roztargnieniem wysłuchał tych wiadomości. Myślał o czym innym. Musiał jednak wyrazić jeszcze ubolewanie, że Michalina nie będzie przychodziła od pierwszego sprzątać mieszkania i trzeba poszukać jakiejś innej pomocy domowej.

- Jaqueline jest w takich sytuacjach nieoceniona - pocieszyła się Laura. - Ona mi na pewno kogoś znajdzie.

- Miejmy nadzieję. Istnieją zresztą jakieś biura pośrednictwa pracy.

Laura niecierpliwie machnęła ręką.

- Daj spokój. Przyślą mi jakąś złodziejkę. Pamiętasz tę Simone. Ukradła ci prawie wszystkie chustki i przeważnie zapominała wyliczyć się z pieniędzy, które dawałam jej na sprawunki.

- Cest la vie- westchnął Zwoliński.

Na drugi dzień z samego rana poszedł na Quai des Orfevres.

- Dawno już pana nie widzieliśmy - powiedział komisarz Berger po wstępnym powitaniu.

Zwoliński wyczuł nutę niechęci w głosie szefa. Nie miał jednak zamiaru usprawiedliwiać się ze swojej nieobecności. Miał już wyrobioną pozycję i wiedział, że nie tak łatwo mogliby znaleźć człowieka z jego kwalifikacjami. W krótkich, treściwych zdaniach przedstawił rezultat swego pobytu w Warszawie.

Komisarz słuchał uważnie, robiąc notatki na kartce papieru. Kiedy Zwoliński przestał mówić, bębnił przez chwilę palcami po blacie biurka, marszcząc krzaczaste brwi. Wreszcie się odezwał:

- No tak. Jeszcze tego nam brakowało.

- To znaczy? - spytał Zwoliński.

Komisarz Berger był już w tym wieku, że nade wszystko cenił sobie spokój i unormowany tryb życia.

- Paskudna afera z tymi narkotykami - powiedział, nabijając fajkę. - To ma aspekt międzynarodowy. Zwracał się już do nas w tej sprawie Interpol. Chcą, żebyśmy im dali jakiegoś człowieka ze znajomością języka francuskiego, angielskiego i polskiego. Zdaje się, że pan by się nadawał, ale z drugiej strony... My tutaj na miejscu mamy dosyć swojej roboty... Bardzo niechętnie wysyłałbym pana do Nowego Jorku, ale jeżeli przyjdą takie dyspozycje z góry...

- Co z Gilnerem? - spytał Zwoliński.

- Szukaliśmy go. Ani śladu.

- A ten warsztat samochodowy?

- Sprawdzaliśmy. Ten warsztat zmienił właściciela. Tamten sprzedał i zniknął. Nie mogliśmy go znaleźć. Zwoliński zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nozdrzami.

- To by potwierdzało moją hipotezę - powiedział po chwili. -

Przestraszył i postanowił zlikwidować się z terenu. Być może, że Gilner go ostrzegł, dowiedziawszy się, że ja przyjechałem do Warszawy. Jak to on się nazywał?

Komisarz Berger zajrzał do swoich notatek.

- Henri Clefant. Niech mi pan powie, kolego... -głos komisarza stał się łagodniejszy, bardziej familiarny. -Niech mi pan powie... czego się pan właściwie dowiedział o tym Biernackim?

Zwoliński lekko wzruszył ramionami.

-Właściwie niewiele. Rozmawiałem z jego siostrą, która nie ma o nim zbyt dobrej opinii. Nie można jednak mieć pewności, czy nie współdziałała z nim i z innymi handlarzami narkotyków, na przykład z Gilnerem. W każdym razie w pracowni mojego brata, z której przedtem korzystał Biernacki, znaleziono pod podłogą większą partię heroiny.

- Czy kojarzy pan sobie zabójstwo brata z narkotykami? - spytał komisarz Berger.

Zwoliński rozłożył ręce.

- W tej chwili trudno mi coś powiedzieć na ten temat. Robert był człowiekiem bardzo lekkomyślnym, ale nigdy bym go nie podejrzewał, że jest zdolny do współpracy z takimi kanaliami, jakimi są handlarze narkotyków. Mogli wciągnąć mojego brata, mogli go szantażować... Domysłów można snuć całe mnóstwo, ale to nic nie daje. Sądzę, że ta heroina należała raczej do Biernackiego.

-I zamiast Biernackiego zabili pańskiego brata. Mało prawdopodobne.

Zwoliński pokiwał głową.

- Całkowicie się z panem zgadzam. To mało prawdopodobne. Przede wszystkim, jeżeli wiedzieli, że w pracowni ukryta jest heroina, nie odcinaliby sobie dostępu do niej. Przecież każdemu wiadomo, co się dzieje, kiedy zostaje stwierdzone morderstwo. Po wtóre, tacy ludzie jak handlarze narkotyków są bardzo dobrze poinformowani i o jakiegokolwiek pomyłce nie może być mowy. Natomiast jest rzeczą prawdopodobną, że mój brat nie miał nic wspólnego z narkotykami i że został zamordowany z zupełnie innych powodów.

Komisarz końcami palców dotknął swoich rudawych wąsików.

- Czy pański brat miał wrogów?

- Któż ich nie ma - odparł wymijająco Zwoliński, który nie miał ochoty rozwodzić się na temat nadmiernej skłonności Roberta do kobiet.

- Czy się komuś naraził?

- Nie bardzo wiem. Przyznam się panu, że ostatnio miałem bardzo mały kontakt z moim bratem.

Komisarz Berger doszedł do wniosku, że już najwyższy czas, żeby zmienić temat rozmowy. Spytał:

-Jakie pan ma plany na najbliższą przyszłość?

- Sądzę, że byłoby rzeczą pozytywną, abym odbył krótką podróż turystyczną po Italii.

- A czy zgodziłby się pan pojechać do Nowego Jorku?

- Nie palę się do tego, żeby zadzierać z amerykańską mafią i współpracować z amerykańską policją -uśmiechnął się Zwoliński - ale jeżeli nie będzie innego kandydata... Na razie chciałbym zajrzeć do tego warsztatu samochodowego.

- Nic nie stoi na przeszkodzie.

- Na przeszkodzie może stać tylko moja żona -uśmiechnął się Zwoliński. - Prosiła, żebym chociaż dzisiaj nie spóźnił się na lunch.

- Czyżby jakaś uroczystość rodzinna?

- Urodziny mojej żony.

- O! To jest okazja do wypicia kieliszka dobrego wina. Oczywiście, że w tej sytuacji nie może pan się spóźnić na lunch. To zrozumiałe. Proszę pozdrowić małżonkę i złożyć jej w moim imieniu najserdeczniejsze życzenia.

Zwoliński jednak po krótkim namyśle zmienił zdanie. Zadzwoił do Laury i powiedział, że zatrzymują go ważne sprawy służbowe i że się spóźni.

- Nie czekajcie na mnie. Twoje zdrowie wypijemy wieczorem.

Laura nie dała poznać po sobie niezadowolenia. Była przyzwyczajona do odbierania tego rodzaju telefonów.

- Dobrze. Nic pilnego.

- Nie gniewasz się?

- Ale skąd? Co za pomysły? Przecież zgodziłam się zostać żoną Sherlocka Holmesa.

Zwoliński służbowym wozem pojechał do warsztatu samochodowego, który znajdował się na drugim końcu Paryża.

Monsieur Francois Charbon, dowiedziawszy się, że ma do czynienia z przedstawicielem policji kryminalnej, rozwinął niezwykle bogatą elokwencję, opowiadając o swym życiu, o swoich tarapatach finansowych, pokazywał prze-

różne papiery, dokumenty, twierdząc, że wszystko ma w najzupełniejszym porządku i że zawsze tak postępuje, żeby być w zgodzie z obowiązującymi przepisami i zarządzeniami.

- Nigdy nie byłem karany i nigdy nie stawałem przed sądem - dodał na wszelki wypadek.

- Nic mnie to wszystko nie obchodzi - powiedział Zwoliński, przerywając ten wartki potok słów, wypowiedzianych z widocznym podnieceniem.

Francois Charbon zwilżył końcem języka mięsiste, lekko wywinięte wargi.

- Więc czym mogę służyć panu komisarzowi?

- Nie jestem komisarzem, tylko inspektorem - sprostował Zwoliński.

- Słucham pana inspektora?

- O ile się orientuję, to pan od niedawna prowadzi ten warsztat.

- Zaledwie od kilku tygodni, a właściwie to jeszcze krócej.

- Kto był poprzednim właścicielem?

- Niejaki Henri Clemant.

- Nie wie pan, dlaczego sprzedał swój warsztat.

- Nie mam pojęcia. Wiem tylko tyle, że mu się śpieszyło, bo nie targował się. Tanio kupilem.

- Zna pan jego adres?

- Rzecz jasna. Zresztą w umowie kupna i sprzedaży musiały być podane nasze adresy. Ale go pan pod tym adresem nie znajdzie.

- A to dlaczego?

- Bo Henri wyjechał z Paryża.

- Dokąd?

- Nie mam pojęcia. Coś wspominał, że się wybiera do Australii. Ale czy to prawda...

- Pan go dobrze zna?

- Tak za dobrze to nie. Jesteśmy z jednej branży. Czasem ja mu coś pomogłem przy jakimś wozie, czasem on mnie. Ale ja nie miałem własnego warsztatu z kanałem. Tylko tak dorywczo złapałem jakąś robotę. Teraz to zupełnie co innego. To jest porządny Warsztat. Tu są wszystkie udogodnienia, a najważniejsze, że jest kanał. To przecież podstawa naszej pracy.

- Czy pan zna pana Zenona Gilnera? - spytał niespodziewanie Zwoliński, obserwując uważnie twarz swego rozmówcy.

Charbon znowu zwilżył wargi językiem i potrząsnął głową.

- Nie znam. Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

- A czy monsieur Clemant nie wspomniał kiedyś w rozmowie tego nazwiska?

- Nie przypominam sobie. Zwoliński zapalił papierosa.

- Czy mógłbym zwiedzić pański warsztat? - spytał.

- Naturalnie. Proszę uprzejmie.

- Ale może pan jest bardzo zajęty. Nie chciałbym przeszkadzać w pracy.

- Ależ nie, nie... Właśnie zarządziłem przerwę. Pracujemy od szóstej rano. Trzeba dać ludziom trochę odetchnąć. Zresztą dla pana inspektora zawsze mam czas.

- Dziękuję.

Poszli zwiedzić warsztat. Najdłużej zatrzymali się koło kanału. Zwoliński szedł na dół.

- Pan ma oczywiście spawarkę.

- Rzecz jasna - odkrzyknął z góry Charbon. - Jakżeby bez spawarki... Dlaczego pan pyta?

- Nic... Tak sobie.

Obejrzał dokładnie cały kanał i już miał wejść na górę, gdy nagle zwrócił uwagę na brudną szmatę, leżącą w kącie na ziemi. Podniósł ją i ostrożnie rozwinął. Następnie zwinął pieczolowicie i wsunął do kieszeni.

- Co pan tak ogląda? - zainteresował się Charbon.

- Nic... Tak sobie popatrzyłem - odparł Zwoliński i wyszedł z kanału. - Ilu pan ludzi zatrudnia?

- Na razie trzech. Jak mi się interes rozkręci, to może jeszcze jednego albo dwóch zatrudnię. Zobaczą. Chciałbym zainstalować drugi kanał... Wszystko będzie zależało od tego, czy będę miał klientów, i to dobrych klientów. Najlepsi są Amerykanie. Oni się nie targują. Płacą i chcą szybko i solidnie.

- Czy pan wszystkich swoich obecnych mechaników zaangażował już po objęciu tego warsztatu, czy też któryś z nich pozostał z dawnej ekipy?

- Henri zatrudniał Marcella Ponettiego, którego przejąłem razem z warsztatem. To doskonały fachowiec i, co jest bardzo ważne, po prostu kocha samochody.

- Włoch?

- Tak. Sycylijczyk. Ale nad wyraz spokojny. Nie urządza żadnych awantur i nie nosi noża.

- To jakiś nietypowy Sycylijczyk - uśmiechnął się Zwoliński. — Przez parę lat mieszkałem w Rzymie i jeżeli na Stazione Termini wybuchała awantura, bijatyka i przyjeżdżała policja, to było wiadomo, że przybyli w odwiedziny do rodziny Sycylijczycy.

- Tak, tak... To bardzo wojowniczy naród - przytaknęła Charbon. - Lepiej im się nie narażać i nie liczyć na ich poczucie humoru.

- A tamtych dwóch to pan na nowo zaangażował? - spytał Zwoliński.

- Tak. Ci, którzy pracowali u poprzedniego właściciela warsztatu, nie doszli ze mną do porozumienia.

- Dlaczego?

Charbon wzruszył ramionami.

- Boja wiem. Jakoś nie mieli ochoty u mnie pracować.

- Zna pan ich nazwiska i adresy?

- Nie. To znaczy... nazwiska znam, ale adresów nie. Nie chcieli zostać u mnie, to się nie interesowałem.

Zwoliński paroma uprzejmymi zdaniem zakończył rozmowę z właścicielem warsztatu samochodowego i wrócił na Quai des Orfevres.



Szeffa już nie zastał. Przekazał do laboratorium ścierkę znalezioną w warsztacie, załatwił kilka pilnych telefonów, zadzwonił do Laury, włożył płaszcz i wyszedł. Mógł pojechać służbowym wozem, ale chciał się przejść. Czuł potrzebę ruchu. Zresztą na rue des Ecoles było niedaleko.

Nie zauważył nawet, że się już ściemniło. Nad Sekwaną znowu rozsnuwała się mgła. „Czyżby Paryż powoli zamieniał się w Londyn?” - pomyślał i uśmiechnął się. Lubił mgłę. Stwarzała taki tajemniczy, nierealny nastrój. Nagle w mroku zamajaczyła ciemna postać.

- Czy mogę prosić o ogień? - Głos niski, schrypnięty. Zwoliński instynktownie cofnął się o krok, wyjął z kieszeni zapalki i rzucił.

- Trzymaj.

W tej chwili posłyszał suchy trzask sprężynowego noża. Nie miał przy sobie pistoletu. Błyskawicznie lewą ręką pochwycił uzbrojoną rękę napastnika, wykręcił ją gwałtownie, a prawą pięścią trzasnął w szczękę. Tamten zatoczył się i upadł, ale natychmiast poderwał się i zniknął w zamglonym mroku.

Zwoliński przez pewien czas stał w postawie obronnej, a widząc, że nikt go nie atakuje, ruszył w kierunku domu. Był bardzo z siebie niezadowolony. Po takim ciosie nie powinien był się podnieść. „Tracę formę -myślał ze złością. - Stanowczo tracę formę.” Dotychczas jego sierpowe były bezbłędne i „usypiały” przeciwnika na czas dłuższy. Postanowił od jutra wrócić do zaniedbanej codziennej gimnastyki i

potrenować z dobrymi sparingpartnerami boks, judo i karate. Mając w perspektywie zmierzenie się

z sycylijską, a może i z amerykańską mafią, nie mógł pozwolić sobie na zaniedbanie swojej kondycji.

- Na strzelnicę także warto by pochodzić - mruknął, rozglądając się uważnie, czy nie dostrzeże w mroku sylwetki napastnika.

Ulica była zupełnie pusta. Najwidoczniej nikt nie miał ochoty spacerować o tej porze we mgle.

Laura powitała go z promiennym uśmiechem. Żadnych wymówek. Żadnych dąsów. Tak bardzo cenił w niej tę pogodę

ducha i ten jakiś filozoficzny stosunek do świata i ludzi.

- Wybacz, że przychodzę bez kwiatów w dniu twoich urodzin, ale nie napotkałem po drodze żadnej uroczej kwiaciarki.

Spojrzała na niego z wesołym błyskiem w ciemnych oczach.

- Chyba wiesz, że nie przepadam za „uroczymi” kwiaciarkami, od których kupujesz kwiaty. Zresztą obejdzie się bez kwiatów. Mamy rybę po grecku, a w lodówce czeka butelka Chablis z odpowiednią datą na etykiecie. Trochę się bałam, że może postanowiłeś zanoć na Quai des Orfevres.

Roześmiał się.

- Takim służbistą nie jestem. A propos, monsieur Berger, mój szacowny szef, prosił, żeby ci przekazać od niego serdeczne pozdrowienia oraz życzenia z okazji urodzin.

- Bardzo to miło z jego strony. Podziękuj szefowi. Mam nadzieję, że się nie pochwaliłeś, które to już moje kolejne urodziny.

Udał oburzonego.

- Cóż ty sobie wyobrażasz? Czy do tej pory nie zorientowałaś się, że masz do czynienia z człowiekiem dyskretnym i taktownym, jak przystało na gentlemana ze Scotland Yardu.

- To może gentleman ze Scotland Yardu zasiądzie do stołu?

- Bardzo chętnie. Przyznaję, że jestem piekielnie głodny. A gdzież to młodzież?

- Bujają gdzieś po świecie, jak to oni. Muszę ci się przyznać, że nie chcę się specjalnie wypytywać, żeby nie zmuszać ich do kłamstw.

-Trzeba jednak jakoś ich kontrolować. W dzisiejszych czasach tak łatwo o złe towarzystwo.

-Ja mam zaufanie do swoich dzieci, a o złym towarzystwie już nieraz żeśmy rozmawiali. Powinni niedługo nadejść.

- Zapomnieli o twoich urodzinach?

- Ależ nic podobnego. Zaraz po szkole przyszli z kwiatami. Złożyli mi życzenia. W każdym razie czekać na nich nie będziemy. Siadamy do stołu.

Zwoliński jadł z ogromnym apetytem.

- Wyborna ta ryba - powiedział z pełnymi ustami. -I to

Chablis znakomicie do niej pasuje. Brawo ta pani. Piję zdrowie urodzinniczki.

- A ja piję zdrowie mojego kochanego Sherlocka Holmesa - uśmiechnęła się Laura.

Rozmawiali wesoło, pogodnie, żartowali, przekomarzali się. Patrząc na nich, można było sądzić, żeto dwoje zakochanych w sobie narzeczonych trąca się kieliszkami. Zwoliński ani słowem nie wspomniał o przygodzie we mgle. Nie chciał straszyć Laury.

Pociechy nadciągnęły dopiero pod koniec biesiady. Oboje byli porządnie głodni. Nie czekając, zasiedli do stołu, ale Elżunia zaraz się poderwała, żeby pomóc matce. Pojawiły się na stole nowe potrawy oraz tort i nowa butelka wina. Trzeba było przecież wspólnie wypić zdrowie maman. Nastrój był „szampański”, jak to określił Ludwik, chociaż bez szampana się obyło.

Nazajutrz, zaraz po śniadaniu, Zwoliński pośpieszył na Quai des Orfevres. Poranek był chłodny, ale pogodny. Wieczorna mgła zniknęła bez śladu, a zza chmur zaczynało wyglądać słońce.

Badania laboratoryjne wykazały ślady heroiny na ścierce, którą Zwoliński zabrał z warsztatu. Sprawa zaczynała się ostatecznie wyjaśniać.

Komisarz Berger uważnie wysłuchał opowiadania o warsztacie samochodowym i o nożowniku, który zniknął we mgle. Gładził w zamyśleniu swoje idealnie przystrzyżone wąsiki, z których najwyraźniej był bardzo dumny, i powiedział:

- Możemy chyba zaryzykować twierdzenie, że natrafiliśmy na gang handlarzy narkotyków, którzy przemycają swój towar, ukryty w luksusowych samochodach. Trzeba będzie zwrócić uwagę na wszystkich punktach granicznych. Może zaprosimy do pomocy psy, które wywęszą narkotyki, chociaż przez blachę to nie zawsze się uda. Ale czasami jakiś ślad... Czy jest pan skłonny kojarzyć sobie ten napad z pańską bytnością w warsztacie samochodowym?

Zwoliński wzruszył ramionami.

- Boja wiem... Sądzę, że nie można tego wykluczyć.

- Radzę panu nosić broń.

-Ja także wpadłem na ten pomysł - uśmiechnął się Zwoliński.  
- Dałem mój pistolet do przeglądu i naoliwienia. Dawno go nie używałem. Będę musiał w wolnych chwilach pochodzić na strzelnicę. Kiedyś zupełnie dobrze strzelałem. Zdobyłem nawet pierwsze miejsce na jakichś zawodach, ale wychodzi się z wprawy.

- Tak, tak... Wychodzi się z wprawy - powtórzył machinalnie komisarz. - Byłoby chyba rzeczą pożyteczną, gdyby pan przesłuchał tego Sycylijczyka.

Zwoliński skinął głową. -Już po niego posłałem.

Wysoki, dobrze zbudowany. Gęste, kręcone włosy i śniada twarz, wyrażająca głęboką melancholię i zniechęcenie, nieliczące z młodym, zdrowym mężczyzną.

- Pan nazywa się Marcello Ponetti.

- Tak. - Głos niski o przyjemnym, łagodnym brzmieniu.

- Pan jest Sycylijczykiem?

- Tak. Pochodzę z Sycylii. Urodziłem się w Palermo.

-I zawędrował pan aż do Paryża?

- W poszukiwaniu pracy, panie inspektorze. Na Sycylii trudno o pracę.

-Jest pan z zawodu mechanikiem samochodowym. -Tak.

- Pracuje pan obecnie w warsztacie pana Francois Charbona.

-Tak.

- Zadowolony pan z tej pracy?

- Mnie każda praca odpowiada, bylebym tylko mógł dobrze zarobić.

- Przedtem pracował pan u pana Henri'ego Clemanta.

-Tak - odpowiedział cierpliwie Sycylijczyk. Robił takie wrażenie, jakby przywykł do przesłuchiwań w komendach policji. Zwoliński nie wyczuwał w nim zdenerwowania ani najmniejszego niepokoju

- Pan Henri Clemant sprzedał swój warsztat. -Tak.

- Dlaczego?

- Nie wiem. Nie pytałem go o to.

- Czy interes mu nie szedł?

- Myślę, że interes szedł mu dobrze. Miał dużo klientów.

- Bogatych klientów?

- Byli i bogaci. Zresztą ja im tam do portfeli nie zaglądałem.  
- Po wozach można się zorientować, czy klientela zamożna, czy skromna.

- Luksusowy wóz niczego nie dowodzi. Może być kradziony. Zwolińskiego zaskoczyła ta „fachowa” uwaga.

- Bardzo słusznie. Może być skradziony - przyznał. -Jakie wozy przeważnie reperował pan w tym warsztacie?

- Różne. Cadillaki, fordy, fiaty, volva i różne inne.

- A mercedesy?

- Mercedesami ostatnio szef osobiście się zajmował.

- Dlaczego?

- Tego nie wiem. Nie pytałem go o to.

- Mielicie takiego klienta, który nazywa się Gilner? -Ja się nazwiskami klientów nie zajmuję. Mnie to nie obchodzi.

Zwoliński wyjął z portfela fotografie, które otrzymał od Górniaka.

- Poznaje pan tego człowieka?

Ponetti wziął ostrożnie do ręki zdjęcie, jakby się bał je stłuc, i przyjrzał mu się uważnie.

- Coś... jakby znajoma twarz, ale nie jestem pewien. Tylu ludzi przewija się przez warsztat. Trudno tak się dokładnie każdemu przyglądać.

- Przyjechał szarym mercedesem.

- Możliwe. - Głos Sycylijczyka brzmiał coraz większym zmęczeniem i apatyczną rezygnacją.

Zwoliński nie miał jednak zamiaru kończyć tej rozmowy. Wyjął fotografię Ahmeda Nagiba. Ponetti nagle się ożywił.

- O! Tego Araba to sobie doskonale przypominam. Przyjechał czarnym mercedesem.

-I pan się zajmował jego wozem?

- Nie. Jak już powiedziałem, mercedesami zajmował się szef.

Zwoliński wyjął papierosy, poczęstował Sycylijczyka i sam zapalił. Chciał stworzyć bardziej familiarny nastrój.

- Niech mi pan powie, monsieur Ponetti, czy zetknął się pan kiedyś z narkomanami?

- Tak. Jeszcze jak byłem na Sycylii. A i tu w Paryżu widziałem takich oszołomionych. Przeważnie młodzież.

- Właśnie. Przeważnie młodzież - powtórzył Zwoliński. - Mam dorastającego syna i bardzo się boję, żeby nie wpadł w złe towarzystwo.

W oczach Ponettiego błysnęło zdziwienie. Widać było, że jest zaskoczony tymi osobistymi zwierzeniami.

- Chłopakowi trzeba wytłumaczyć - powiedział po chwili - ale nie sposób go upilnować. Musi sam mieć na tyle rozsądku, żeby...

- O ten rozsądek zawsze najtrudniej - uśmiechnął się Zwoliński. - A swoją drogą to straszni zbrodniarze ci handlarze narkotyków.

Ponetti milczał. Nietrudno było wyczuć, że nie ma specjalnej ochoty rozmawiać na ten temat.

- Te przekłete narkotyki - mówił dalej Zwoliński. -Przywożone są do Paryża ze Wschodu, przez Rumunię, Bułgarię, Czechosłowację...

-I przez Polskę - uzupełnił Ponetti.

-I także przez Polskę - przytaknął Zwoliński, którego zaintrygowały słowa Sycylijczyka. „Dlaczego mu u diabła przyszła Polska do głowy?” - pomyślał, głośno zaś powiedział: - Ci handlarze narkotyków to straszni zbrodniarze. Moim zdaniem w stosunku do nich należałoby stosować najwyższy wymiar kary.

Ponetti wzruszył ramionami. Na jego pociągłej twarzy malowało się bezmierne znużenie.

-Ja się na tym nie znam. To należy do sędziów. Moja specjalność to silniki samochodowe, a nie prawo.

- Przewożą narkotyki wszystkimi możliwymi środkami transportu - mówił dalej Zwoliński. - Statki, samoloty, pociągi, samochody... A propos. Czy podczas swojej wieloletniej pracy w warsztatach samochodowych spotkał się pan kiedyś z próbą przemykania narkotyków w błotnikach, w zderzakach, w karoseriach?

Twarz Sycylijczyka nie wyrażała już apatii i zniechęcenia. Pojawiła się czujność. Ciemne oczy zabłysły.

- Nigdy nie miałem nic wspólnego z narkotykami. -Łagodny, melancholijny głos zabrzmiał twardo i

zdecydowanie.

- Nie twierdzę, że uprawiał pan kiedykolwiek ten brudny proceder - uśmiechnął się Zwoliński. -Chciałbym się tylko zorientować, gdzie handlarze narkotyków mogą w samochodach ukrywać swój towar.

- Pan inspektor sam już sobie odpowiedział na to pytanie. Błotniki, zderzaki, karoseria... - Głos Ponettiego znowu stał się bezbarwny, apatyczny.

- To znaczy, że najpierw trzeba by skonstruować specjalny schowek w błotniku, następnie wypełnić go narkotykami i zalutować.

Sycylińczyk wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pewnie tak. Nie znam się na tym. Zwoliński nie dawał za wygraną. Spytał:

- Czy podczas pańskiej pracy, kiedy jeszcze właścicielem warsztatu był monsieur Henri Clemant, nie zauważył pan czegoś, co mogło się panu wydawać podejrzanę?

Ponetti spojrzał zdziwiony.

- Nie rozumiem.

Zwoliński przyjrzał się uważnie twarzy Sycylińczyka. „Możliwe, że to bardzo zdolny aktor” - pomyślał.

- Cały czas przecież rozmawiamy o przemycaaniu narkotyków w samochodach - powiedział z pewnym zniecierpliwieniem. - Pytałem, czy podczas swojej pracy w tym warsztacie nie zetknął pan się z czymś, co mogłoby

wskazywać na to, że w danym samochodzie przewożono narkotyki.

Sycylińczyk potrząsnął głową.

- Powiedziałem już, że nie interesuję się narkotykami ani sposobami ich przemykania.

Zwoliński do reszty stracił cierpliwość. Uderzył pięścią

o blat biurka.

- Panie Ponetti... - Głos energiczny, zdecydowany. -Chyba dość długo rozmawiałem z panem grzecznie i łagodnie, jak z człowiekiem kulturalnym. Ale to się już skończyło. Teraz pogadamy zupełnie inaczej. Jeżeli nie zacznie pan mówić, stanie pan przed sądem.

- Przed sądem? Za co? Dlaczego?

- Dlatego, że jest pan podejrzany o współpracę z handlarzami narkotyków.

-Ja? Narkotyki? Ależ panie komisarzu... To jakieś nieporozumienie.

- Żadne nieporozumienie. Mamy na to dowody...

- Dowody? Jakie dowody?

- Po pierwsze, twierdził pan, że pan nie zna Zenona Gilnera, a to nieprawda. Gilner został już aresztowany i jego zeznania zostały zaprotokołowane.

W jednej chwili pozornie łagodna, apatyczna twarz zmieniła swój wyraz. Rysy ściągnęły się gwałtownie, oczy zabłyśły złym blaskiem, wargi drżały, odsłaniając nierówne, pożółkłe od nikotyny zęby.

- Niczego mi nie dowiedziecie! Niczego mi nie dowiedziecie. Ja nie mam nic wspólnego z narkotykami.

Nie dam się w to wrobić.

- Może się pan uspokoi - zaproponował Zwoliński -w ten sposób do niczego nie dojdziemy.

- Pan chce we mnie wmówić, że ja handluję narkotykami! - wybuchnął Ponetti. - Ale ja na to nie pozwolę, nie pozwolę. Nie mam nic wspólnego z tą całą aferą.

- Z jaką aferą? - podchwycił Zwoliński. Sycylijczyk zmieszał się.

-To znaczy... Mam na myśli narkotyki.

- Powiedział pan przed chwilą, że nie ma pan nic wspólnego z tą aferą - upierał się Zwoliński. - Chciałbym wiedzieć, jaka to afera.

Sycylijczyk nerwowym ruchem przesunął dłonią po źle wygolonej twarzy.

\_ Mnie to nie obchodziło, co robił Henri Clemant.

- A co takiego robił?

\_ Można było mieć pewne podejrzenia. -Jakie podejrzenia? W związku z czym?

- Do niektórych wozów nie dopuszczał żadnego z pracowników. Sam brał na kanał.

- Sądzi pan, że to były wozy nafaszerowane narkotykami?



ponetti wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Ja niczego nie widziałem. Wolę się nie wtrącać do nie swoich spraw. Ale w związku z tym, co pan inspektor mówił, można by przypuszczać... Zresztą nie chcę niczego sugerować.

— Możemy chyba wysnuć logiczny wniosek, że Henri Clemant jest członkiem gangu przemytników narkotyków - powiedział Zwoliński.

ponetti milczał. Nietrudno było odgadnąć, że nie ma najmniejszej ochoty angażować się w tę tematykę. Zwoliński chwilę odczekał i mówił dalej:

- To jest afera zakrojona na skalę międzynarodową. Niewykluczone, że maczają w niej palce wysoko postawione osobistości. Powiązania z mafią są nieomal pewne. Wcale się nie dziwię, że pan nie ma ochoty rozmawiać na ten temat. Czy znał pan niejakiego Zenona Gilnera?

-Już pan mnie o to pytał. Nie znałem i nie znam żadnego Gilnera.

— Doskonale pamiętam, że pana o to pytałem —

uśmiechnął się Zwoliński. - Ale ponieważ znacznie się panu pamięć poprawiła... No więc jak? Znał pan Gilnera? Sycylijczyk poruszył się niespokojnie.

-Trudno powiedzieć, że znałem. Spotkałem się z nim parę razy.

- Rozmawialiście?

- Zamieniliśmy parę słów.

- Na jaki temat?

- O, tak... ogólnie. Już nie pamiętam. Może o pogodzie.

- A o czym rozmawiał z Gilnerem Henri Clemant? Ponetti zrobił obrażoną minę.

- Nie mam w zwyczaju podsłuchiwać, panie inspektorze.

- To się panu chwali - Zwoliński znów się uśmiechnął. - A niech mi pan powie w takim razie, kto u was w warsztacie ma zwyczaj podsłuchiwać.

- Nie wiem.

Zwoliński zmarszczył brwi i wbił ostre spojrzenie w oczy Sycylijczyka.

- Bo jestem przekonany, że ktoś podsłuchał moją wczorajszą rozmowę z panem Francois Charbonem.

-Ja nie słyszałem żadnej rozmowy. Nie interesuję się tym, z kim szef rozmawia i o czym.

- Czy pan zawsze nosi zegarek na prawym ręku? - spytał niespodziewanie Zwoliński.

Sycyliczyk spojrział zdziwiony. Widać było, że nie spodziewał się takiego pytania.

- Tak... jakoś... Przyzwyczałem się.

- Zazwyczaj ludzie noszą zegarek na lewej ręce.

- To prawda - przyznał Ponetti. - Ale mnie jakoś tak wygodniej.

- Czy mógłbym zobaczyć pański zegarek?

- Bardzo proszę. - Zdjął z ręki zegarek i podał przez biurko. Bransoleta szeroka, metalowa, ozdobiona brelokiem.

-To zapewne jakaś pamiątka - uśmiechnął się Zwoliński.

- Wygrałem w kości od jednego marynarza - mruknął Ponetti i wyciągnął rękę po zegarek.

Zwoliński przez chwilę trzymał brelok w zaciśniętej pięści, a następnie posunął po blacie biurka zegarek i powiedział energicznym rozkazującym głosem:

- A teraz pokaż ten nóż!

Sycyliczykowi krew uderzyła do głowy. Zerwał się gwałtownie.

-Jaki nóż?! - głos zmieniony, schrypnięty.

- Sprężynowy - odpowiedział spokojnie Zwoliński. -Ten, którym miałeś ochotę załatwić mnie w ciemnej ulicy.

-Ja?!

- Tak. Ty. Marcello Ponetti, w imieniu prawa aresztuje cię.

Sycyliczyk w pierwszym odruchu skoczył do drzwi, ale w drzwiach stało już trzech policjantów. Szczęknęły kajdanki.

\*\*\*

Komisarz Berger nie był zadowolony.

- Obawiam się, panie kolego, że nie mamy dostatecznych dowodów, aby zatrzymać tego człowieka w areszcie i zaproponować prokuratorowi sporządzenie aktu oskarżenia.

Zwoliński poruszył się niecierpliwie.

- W tego rodzaju sytuacjach nigdy nie ma stuprocentowo pewnych dowodów, ale...

- Chwileczkę - przerwał mu komisarz. - Na czym opiera pan swoje przypuszczenie, że Ponetti podsłuchiwał pańską rozmowę z właścicielem warsztatu?

- To proste. Podczas mojej wizyty w warsztacie obecni byli tylko właściciel Charbon i Ponetti. Pozostali dwaj pracownicy mieli przerwę i poszli na miasto. Poza tym to się jakoś dziwnie zbiegło z tym napadem na mnie.

- Podejrzewa ich pan o tak głupie działanie? - uśmiechnął się sceptycznie komisarz.

- Nóż wcale nie jest takim głupim działaniem - upierał się przy swoim Zwoliński. - Ciemno, mgła... Cicha, mokra robota. Lepsze to niż strzelanina.

- No cóż... - westchnął komisarz. - Zobaczymy. Moim zdaniem źle się stało, że pan aresztował tego Sycylijczyka. Ścisła obserwacja mogłaby dać lepsze rezultaty.

Zwoliński skinął głową.

- To prawda. Przyznaję, że trochę mnie poniosło. Ale kiedy zobaczyłem, że facet nosi na prawym ręku zegarek i poczułem w garści ten brelok, który wbilem sobie wtedy w dłoń, to nie mogłem inaczej...

- Rozumiem i nie mam o to do pana pretensji. Nie możemy jednak mieć pewności, czy to ten sam brelok. Zdarzają się czasem takie zbiegi okoliczności.

- W tym wypadku chyba trochę za dużo tych zbiegów okoliczności - zauważył z pewnym zniecierpliwieniem Zwoliński. - Zegarek na prawej ręce, brelok, który wcisnął mi się w dłoń, wreszcie gwałtowna reakcja tego Sycylijczyka na wspomnienie o nożu.

- Tak. To wszystko jest rzeczywiście bardzo zastanawiające - powiedział zgodnie komisarz. - Jeżeli jednak Ponetti ma jakieś powiązania z Gilnerem i z całym tym gangiem, to byłby się chyba zlikwidował z terenu razem z poprzednim właścicielem warsztatu.

- Może chcieli mieć swojego człowieka, żeby się orientować, w jakim kierunku posuwa się śledztwo w tej sprawie.

- To jest prawdopodobne - przytaknął komisarz. - Będzie pan musiał solidnie wymagować tego Sycylijczyka.

Następne dni upływały Zwolińskiemu na „maglowaniu” Marcella Ponettiego, który okazał się nadspodziewanie twardym orzechem do zgryzienia. Do niczego się nie przyznawał, wszystkiemu zaprzeczał, zdecydowanie twierdził, że o niczym nie wie, o żadnych narkotykach nie ma pojęcia i w ogóle nic go nigdy nie łączyło z handlarzami narkotyków. Stanowczo też zaprzeczał, że wtedy wieczorem napadł z nożem na inspektora.

- To dlaczego tak ześ się zdenerwował, jak kazałem ci pokazać mi nóż? - spytał Zwoliński.

- Byłem podniecony, oszołomiony tym wszystkim. Nie jestem przyzwyczajony do tego rodzaju przesłuchiwań.

- A do jakiego rodzaju przesłuchiwań jesteś przyzwyczajony?

- Pan mnie łapie za słówka, panie inspektorze! - wybuchnął Sycylijczyk. - Ja w ogóle nie jestem przyzwyczajony do przesłuchiwań. Ja nigdy nie miałem do czynienia z policją.

- To się jeszcze okaże - powiedział spokojnie Zwoliński. - Zajmiemy się dokładnie twoim życiorysem.

- Nic się nie okaże, absolutnie nic. Jestem czysty. Nie byłem karany.

- Powiedziałeś: „Jestem czysty”. To bardzo fachowe określenie, używane właśnie przez tych, którzy byli karani lub którzy mieli często do czynienia z policją.

Ponetti wzruszył ramionami.

- Tak się mówi, ale to nic nie znaczy. Powtarzam, że nie byłem karany i nigdy nie byłem aresztowany niewinnie.

Te codzienne, wielogodzinne przesłuchania były męczące. Zwoliński skonany wracał do domu. Miał już tego wszystkiego powyżej uszu.

Laura zauważyła, że z mężem dzieje się coś niedobrego.

- Co ci jest? — spytała. — Jesteś taki zdenerwowany, przemęczony.

Machnął ręką.

- Nic mi nie jest. Po prostu nam dużo pracy, i to takiej ciężkiej, niewdzięcznej.

Podeszła do fotela, na którym siedział, i objęła go za szyję.

- Mój ty biedaku. - Nagle drgnęła. - Co ty nasz pod marynarką? Pistolet?

Zmieszał się.

-Tak. To najnowsze zarządzenie komisarza. Wszyscy na służbie musimy nosić broń. - Był wściekły na siebie, że zaraz po powrocie do domu nie poszedł do swojego pokoju i nie pozbył się tej „armaty”.

Laura przyjrzała mu się uważnie.

- Ty coś przede mną ukrywasz. Zachnął się.

- Czego ty chcesz ode mnie? Co ukrywam? Komisarz kazał mi nosić pistolet, to noszę. Nie ma w tym nic nadzwyczajnego.

Delikatnie wzięła go za rękę.

- Posłuchaj mnie, Pawle... Od dłuższego czasu wyczuwam, że coś się dzieje niedobrego. Jaka ty niebezpieczną sprawę prowadzisz? Powiedz.

Zwoliński uśmiechnął się i pogładził żonę po głowie.

- Wszystkie sprawy prowadzone przez policję kryminalną są mniej lub więcej niebezpieczne. Ale nie niepokój się, kochanie. Nic mi nie grozi.

Weszła Elżunia i rozmowa na ten temat urwała się. Któregoś wieczora, kiedy kończyli obiad, zadzwonił telefon. Odebrała Laura.

- Do Ciebie - powiedziała, patrząc na męża. W słuchawce posłyszał dźwięczny, kobiecy głos.

- Czy pan inspektor Zwoliński? -Jestem przy aparacie. Słucham?

- Ma pan uroczą żonę, śliczną córeczkę i wspaniałego syna. Może byłoby dla nich lepiej, gdyby pan przestał interesować się tą sprawą, którą się pan teraz zajmuje. Jestem panu bardzo życzliwa i dlatego zatelefonowałam.

- Kto mówi?

Ostrożnie wysunął się spod kołdry i zaczął się ubierać, chciał jak najszybciej wyjść z tego pokoju, mieć daleko za sobą to mieszkanie, ten dom, tę ulicę. Od jakiegoś czasu coraz częściej ogarniało go uczucie zniechęcenia, apatii, rezygnacji. Miał tego wszystkiego dosyć. Zmęczyły go kłamstwa, nieustanne odgrywanie komedii, udawanie, lawirowanie. Zawiązał krawat i obejrzał się za siebie.

Spała. W pokoju było bardzo ciepło. Odrzuciła kołdrę i leżała zupełnie naga. Przez dłuższą chwilę patrzył na to wędnące, nieubłagane niszczone przez czas, ciało.

- Dlaczego mi się tak przyglądasz?

- Podziwiam twoje boskie kształty.

Przykryła się gwałtownym, energicznym ruchem.

- Kłamiesz.

Odruchowo poprawił węzeł krawata.

- Dlaczego tak mówisz?

- Dlatego, że wiem. Dlatego, że widziałam twoje spojrzenie.

Nie po raz pierwszy tak na mnie patrzysz.

- Zdaje ci się.

Podniosła się i leżała oparta na łokciu.

- Nic mi się nie zdaje. Nie zapominaj, że nie jestem niedoświadczonym podlotkiem. Niejeden mężczyzna obdarzał mnie swoim spojrzeniem. Aż za dobrze znam spojrzenia mężczyzn. Mnie nie oszukasz.

- Jesteś zdenerwowana. Potrząsnęła głową.

- Wcale nie jestem zdenerwowana. Jestem zupełnie spokojna. - Pośpiesznie włożyła pidżamę i poprawiła włosy.

- Siadaj. Nie znoszę, jak ktoś tak nade mną stoi. Posłusznie przysunął sobie krzesło i usiadł. - Jesteś zdenerwowana - powtórzył.

Narzuciła szlafrok, wsunęła stopy w pantofle i zaczęła chodzić po pokoju.

- Posłuchaj mnie, Raulu. - Jej głos był lekko schrypnięty.

Wyczuwało się w nim hamowane podniecenie. -Już dawno chciałam odbyć z tobą tę rozmowę, tak jakoś nie było okazji. Poza tym staram się zawsze unikać przykrych rozmów.

- To bardzo rozsądne z twojej strony - uśmiechnął się niezbyt szczerze.

- Przychodzi jednak taka chwila, kiedy sprawę trzeba postawić jasno - mówiła dalej, nie przestając przemierzać pokoju szybkimi krokami. - Ty mnie już nie kochasz.

- Ależ ja cię kocham - zapewnił. -I zawsze kochać cię będę. - Nie zabrzmiało to zbyt przekonująco. Zatrzymała się przed nim i utkwiała spojrzenie w jego oczach.

-Jesteś kiepskim aktorem, kochany. - Nagle się roześmiała. -Jesteś bardzo kiepskim aktorem. Ale mnie jest z tobą dobrze i wygodnie mi jest wierzyć w to, co mówisz. Chciałabym tylko, żebyś wiedział, że ja nie jestem taka naiwna, jak ty sobie wyobrażasz.

- Czego ty właściwie chcesz ode mnie?! - wybuchnął. - Czy nie dam ci dowodów mojej miłości? Uśmiechnęła się.

-Jako kochanek jesteś bez zarzutu. Nie przeczę. Ale zresztą... Dajmy temu spokój. Uważaj tylko, żebyś się nie związał z jakąś młodą dziewczyną, bo wtedy...

- Ani mi to w głowie.

- To mnie cieszy. Powiedz mi, jak nasze sprawy.

- Montuję tę wystawę w Nowym Jorku. Wszystko jest na dobrej drodze-

- Brawo. Jesteś pod każdym względem nieoceniony.

- Więc już nie masz do mnie żalu?

- Nie mam żadnego żalu. Pocałuj mnie.

Postarał się, Żeby pocałunek wypadł przekonująco. Robiła wrażenie zadowolonej.

-Jakie masz plany na dzisiejszy wieczór? - spytał.

- Muszę napisać parę listów. Jeżeli chcesz się przespacerować, to idź. Zostaw mnie samą. Czasami samotność dobrze robi na system nerwowy. Zadzwoń do ciebie albo ty do mnie. Ciao.

Chętnie skorzystał z tego „urlopu”. Łóżko albo samochód, czasem kino, jakaś restauracja i znowu łóżko. To było

monotonne i dosyć męczące. Czuł potrzebę ruchu. Zostawił wóz na Parioli i szedł przed siebie długimi, elastycznymi krokami. Ta dzisiejsza scena, zakończona pozornym pojednaniem, poważnie go zaniepokoiła. Robił sobie wyrzuty, że ostatnio trochę lekceważył Renatę, że nie był takim kochankiem, jakiego ona pragnęła. Stał się zbyt nonszalancki, zbyt pewny siebie. Przestał się wysilać, aby starannie wyreżyserowywać każdy ruch, każdy gest, każdy uśmiech, każdy pocałunek. To się mogło źle skończyć, a stawka była duża. Wprawdzie trzymał ją mocno w rękę i w każdej chwili mógł doprowadzić do skandalu, ale po pierwsze, jego los także zależał od jej dyskrecji, a po drugie, zakochana i porzucona kobieta może działać w sposób zupełnie nieobliczalny. A przecież cały swój olbrzymi majątek zapisałajemu i tylko jemu. Po jej śmierci będzie milionerem, miliarderm, bogaczem, którego stać będzie na kupienie sobie wyspy na Pacyfiku. Po jej śmierci. Czy takiej kobiecie jak Renata warto dożyć tej chwili, kiedy żaden mężczyzna nie spojrzy na nią z podziwem. Czy nie lepiej dla niej byłoby, aby odeszła, nie czekając późnej starości. Nie, nie, to wykluczone. Zbyt są ze sobą związani, żeby natychmiast nie powstały podejrzenia. Machnął ręką i przyspieszył kroku.

- Idiotyczne myśli chodzą mi po głowie - mruknął. Nie był także pewien, czy i jej nie przychodzą do głowy takie „głupie myśli” i czy się należy nie zabezpieczyła. Wiedziała przecież, z kim ma do czynienia i do czego jest zdolny jej „najdroższy”.

Poczuł zmęczenie. Kupił w napotkanym po drodze kiosku „Il Messaggero” i wsiadł do autobusu. Przejechał parę przystanków i doszedł do wniosku, że jednak woli iść piechotą. Wsiadł. W ten sposób znalazł się niebawem w pobliżu Piazza del Popolo. Kawiarnia. Usiadł, skinął na kelnera i zamówił kawę i kieliszek koniaku. Prawie nigdy nie używał alkoholu. Uważał, że w jego sytuacji powinien mieć umysł jasny i szybki refleks. Ileż to razy od tego szybkiego refleksu zależało jego życie. Tego dnia jednak chciał się odprężyć, zapomnieć, rozluźnić napięte jak struny nerwy. Wyjął z kieszeni „Il Messaggero” i zaczął przeglądać ogłoszenia. To była lektura,



która go najbardziej interesowała.

W pierwszym momencie zobaczył tylko nogi. To były długie i bardzo zgrabne nogi. Na pewno nie należały do zreumatyzowanej staruszki. Podniósł oczy znad gazety i oniemiał. Dziewczyna była rzeczywiście prześliczna. Twarz rafaelowskiej Madonny, okolona gęstymi, puszystymi włosami koloru miedzi. Duże niebieskie oczy, patrzące jakby z pewnym zdziwieniem na świat i ludzi. Wysoka, szczupła, ale nie chuda. Czerwony sweterek opinał się niezbyt dyskretnie na dobrze rozwiniętej klatce piersiowej.

- Czy pan Raul Pavani?

Patrzył na nią zdziwiony, zaskoczony. Znał się przecież na kobietach, bardzo dobrze się znał. Ta nie wyglądała na prostytutkę. Absolutnie nie. Więc...?

Odłożył gazetę i powiedział: -Jest pani dobrze poinformowana.

- Widziałam pańskie zdjęcie w jakimś czasopiśmie i dlatego...

- Może pani usiądzie? - zaproponował. Usiadła.

- Poza tym widziałam pana na wystawie obrazów. Ten Castiglioni to wielki artysta.

- Czy pani jest dziennikarką?

- Nie. Jestem malarką. To znaczy... początkującą malarką.

- Ach, tak...

- Nazywam się Graziella Kanetto. Moje nazwisko oczywiście nic panu nie mówi.

- Nie wątpię, że niebawem to nazwisko będzie znane na całym świecie - powiedział uprzejmie.

- Z pana pomocą. Uśmiechnął się.

- Zdaje mi się, że pani ma ochotę zaangażować mnie w charakterze swojego impresaria.

- Bardzo bym chciała, ale jest pewna trudność. -Jaka trudność?

- Nie mam pieniędzy.

Pokiwał głową, a na jego twarzy pojawił się melancholijny smutek.

- To rzeczywiście nieco komplikuje sprawę. Żeby wy-

lansować jakiegoś artystę, śpiewaka, aktora, malarza, muzyka niezbędna jest reklama, a reklama, jak wiadomo, dużo kosztuje, nawet bardzo dużo.

- Wiem - westchnęła i podniosła oczy ku niebu, jakby stamtąd spodziewała się jakiejś pociechy. -Niestetyja nie jestem bogata.

Podobała mu się tak, jakjeszcze żadna dziewczyna mu się nie podobała. Poza tym działała na jego zmysły. Szedł

od niej jakiś magiczny fluid, który wprawiał go w oszołomienie. Postanowił zaryzykować.

- A może zaczęlibyśmy od obejrzenia pani prac? - powiedział i momentalnie przestraszył się tej

inicjatywy, która mogła bardzo poważnie skomplikować mu życie. Ale było już za późno, żeby się wycofać. Podchwyciła jego propozycję.

- Chciałby pan odwiedzić moją pracownię?

- A gdzie się znajduje pani pracownia?

- Na Zatybrzu, w takiej małej, wąskiej uliczce.

- Pojedziemy taksówką. -Jeżeli pan ma ochotę. Pojechali.

W podświadomości dzwoniły dzwonki na alarm, ale nie potrafił się oprzeć. Ta dziewczyna działała na niego jak narkotyk. W taksówce siedzieli blisko siebie. Zapach jej ciała przyprawiał go o zawrót głowy. Jeszcze nigdy czegoś takiego nie przeżywał. W stosunku do kobiet zawsze był wyrachowany, zimny, cyniczny.

Pracownia mieściła się w starym, mocno sfatygowanym, obdrapanym domu. Po brudnych, pamiętających dawne czasy, schodach weszli na czwarte piętro. Trochę się zasapał, bo dziewczyna szła szybko.

Pomieszczenie było nieduże, niezbyt nadające się na pracownię malarską. Na środku dominował szeroki tapczan, zarzucony barwnymi poduszkami. Obrazy wisiały na dawno niemalowanych ścianach. Jeden zaczęty stał na sztalugach. Wszystko to jakaś żalosna czkawka po impresjonizmie. Artystka stanowczo była o wiele bardziej atrakcyjna aniżeli jej twórczość. Poczul zakłopotanie.

- No... i co pan na to? - spytała. Odchrząknął. Zaszło mu w

gardle.

- Niektóre prace bardzo interesujące. - Znowu odchrząknął. - Trzeba by może to i owo skorygować, ale...

Podeszła do niego blisko i spojrzała mu w oczy.

- Nie myśl, że przyprowadziłam cię tu po to, żeby ci pokazywać te kicze - powiedziała niespodziewanie. - Podobaś mi się. Od dawna cię obserwuję. Bardzo mi się podobasz. O takim mężczyźnie jak ty zawsze marzyłam. - Objęła go za szyję i mocno pocałowała w usta.

Był oszołomiony, zaskoczony. W głowie mu huczało. Pośpiesznie zaczął ją rozbierać. Nie broniła się.

\*\*\*

Upłynęło parę dni. Raul żył w ciągłym oczekiwaniu, w nieustannym niepokoju. Instynktownie wyczuwał, że zrobił jakieś horrendalne głupstwo, że ta niesamowita przygoda może mieć dla niego fatalne następstwa. Nie umiał jednak odgadnąć, o co tu chodzi, po co ona to zrobiła. Był wściekły na siebie, że pozwolił się tak z miejsca omotać tej dziewczynie i poprowadzić za rękę jak małe dziecko. Jego, który zawsze dominował nad kobietą, który mocno trzymał inicjatywę w garści i nigdy nie tracił głowy. Po raz pierwszy stracił głowę. Odurzyły go jej oczy, jej zmysłowe, pełne wargi, jej tycjanowskie włosy, zapach jej

ciała. Nie potrafił się oprzeć, nie potrafił się opanować, przejąć inicjatywę w swoje ręce. Obiecała zadzwonić, ale nie zadzwoniła, a w tej jej pracowni nie było telefonu. Jak ją odnaleźć? Przed oczami stawały mu strzępy fragmentów tamtego wieczoru. Ich rozstanie wydawało mu się jakieś dziwne. Była chłodna, obojętna, zamyślona. Na pytania odpowiadała niechętnie, półsłówkami. Czyżby zawiódł ją jako kochanek? Nie mógł uwierzyć w taką ewentualność. Znał swoją wartość w tej dziedzinie. Nie spotkał jeszcze kobiety, która nie byłaby zaspokojona. Więc co? Pojawiła się, uwiodła go i zniknęła. Co się za tym kryje? To nie mógł być tylko kaprys początkującej malarki. Zaczynał się coraz bardziej niepokoić. Złe sypiał. Budził się w nocy spocony, zdenerwowany. Postanowił pojechać na Zatybrze.

Tęga, nieżyczliwa kobieta, której twarz zdradzała

zamiłowanie do wina, a może nawet do grapy, odłożyła gazetę i spytała schrypniętym głosem:

- Czego pan szuka?

Wyjaśnił, że szuka pracowni malarskiej, która znajduje się na czwartym piętrze.

- Ani na czwartym, ani na trzecim piętrze żadnej pracowni nie ma i nigdy nie było.

- Mam na myśli pracownię malarską - upierał się Raul.

- Niech mi pan głowy nie zawraca, jak mówię, że nie ma, to nie ma. Jeszcze by tego brakowało, żeby tu się malarze pętali. Dostyc mamy tu pijaków. Wystarczy.

Raul sięgnął do kieszeni i Wsunął banknot do tłustej ręki swojej niechętnej interlokutorki.

- Parę dni temu przyjechałem tu z młodą, bardzo ładną dziewczyną, która pokazała mi swoją pracownię malarską na czwartym piętrze.

Pogardliwie machnęła ręką.

- Kurwa.

- Wątpię - próbował oponować Raul.

- A ja nie wątpię, ale wiem - zirytowała się stara. - Jak mówię, że kurwa, to kurwa.

- Ale malarka.

- Taka z niej malarka jak ze mnie tancerka na linie.

- Mieszka tu, na tym czwartym piętrze?

- U nas lokatorzy się zmieniają. Raz mieszka ta, potem znowu inna. Wszystko zależy od pana Filipa.

- Kto to jest pan Filip?

- Mężczyzna.

- Domyślam się, ale czym się zajmuje?

- A panu co do tego? Czy pan może z policji? - spytała podejrzliwie.

- Nie, nie jestem z policji i pan Filip wcale mnie nie interesuje.

- To bardzo dobrze dla pana.

Raul nie dopytywał się, dlaczego to dla niego bardzo dobrze. Wiedział, że i tak niczego się nie dowie.

- Czy pani ma klucz od tej „pracowni malarskiej” na

czwartym piętrze?

- A jeżeli mam, to co?

Nowy banknot powędrował do czerwonej, tłustej dłoni.

- Chciałbym zajrzeć na to czwarte piętro.

-Ja tam po tych schodach nie polizę. Za stara jestem. Z kolei trzeci banknot zmienił właściciela.

- Niech mi pani da ten klucz. Skoczę na górę i zaraz wrócę. Chcę tylko tam zajrzeć.

Wyjęła klucz z kieszeni fartucha i powiedziała:

- Ma pan. Tylko niech pan długo nie siedzi, bo jakby pan Filip przyszedł, to...

- Niech pani będzie spokojna. Zaraz wracam. Szybko pobiegł po stromych, niewygodnych schodach.

Gnała go ciekawość i jednocześnie niepokój. Musiał wyjaśnić tę sprawę, stanowczo musiał wyjaśnić. Co spodziewał się zobaczyć w tej niby „pracowni malarskiej”, nie wiedział, ale musiał sprawdzić, czuł potrzebę działania.

Klucz działał. Drzwi otworzył bez trudu. Na pozór nic się tu nie zmieniło. Tapczan, zarzucony poduszkami, stał na swoim miejscu, pomieszczenie było zarzucone najrozmaitszymi rupieciami tak jak wtedy, zniknęły tylko obrazy i sztalugi. Najwidoczniej nie były już potrzebne do uzupełnienia „artystycznej” scenerii.

Rozejrzał się bardzo uważnie, ale nie znalazł nic godnego uwagi, nic takiego, co by mogło rzucić jakieś światło na tamtą dziwną przygodę. Starannie zamknął drzwi na klucz i wolno zszedł na dół.

- No i co? - spytał Cerber w niezbyt czystej spódnicy.

Raul wzruszył ramionami i oddał klucz. Już nie miał zamiaru wdawać się w rozmowę z tym zapijaczonym babskiem.

- No i nic. W porządku. Dziękuję.

- Za „dziękuję” wina nie dają - mruknęła niezadowolona.

Oddalił się szybkim, nerwowym krokiem.

Następne dni upłynęły bez większych wrażeń. Pogodził się z myślą, że Graziella raz na zawsze zniknęła z jego życia i wrócił do swoich codziennych zajęć, nie zaniedbując oczywiście hrabiny, której okazywał wyjątkowo dużo czułości i

zainteresowania. Doszło do tego, że zaczęła przyglądać mu się podejrzliwie.

- Coś ty się nagle zrobił taki miły? - spytała. Ofiarował jej jeden ze swoich najbardziej czarujących, uwodzicielskich uśmiechów.

- W stosunku do ciebie chyba zawsze jestem miły.

- Chyba nie zawsze. Na przykład ostatnio...

Nie chciał, żeby zaczęła wspominać. Nie miał siły na tego rodzaju rozmowy.

- No wiesz... Każdy człowiek bywa od czasu do czasu w złym nastroju.

Spojrzała mu w oczy.

- Czy ty mnie zdradzasz? Zachnął się.

- Co za pomysły. Co ci przychodzi do głowy?

-To, co każdej doświadczonej kobiecie. Zachowujesz się tak jak mąż albo kochanek, który zdradza. Wzruszył ramionami.

- Z tobą to naprawdę trudno dojść do ładu. Raz masz mi za złe, że jestem oschły, obojętny, niesympatyczny. A kiedy okazuję dużo prawdziwego uczucia, kiedy jestem czuły, serdeczny, wtedy podejrzewasz mnie o zdradę. Przedziwna jesteś.

- Nie jestem „przedziwna”, tylko znam mężczyzn. Do tej pory powinieneś się był o tym przekonać.

- Dajmy spokój tym psychologicznym rozważaniom - powiedział.

Podeszła do niego i położyła mu ręce na ramionach.

- Posłuchaj, Raulu. Wiesz, że jestem bardzo mocno uczuciowo z tobą związana, że jesteś jedynym mężczyzną, którego tak pokochałam. Mam do ciebie zaufanie, chcę mieć. Bez tego nie mogłabym żyć.

Ale uważaj. Nie próbuj zawieść tego zaufania. Gdybyś mnie zdradził, nigdy bym ci tego nie darowała, zemściłabym się. Zabiłabym ciebie i ją.

- A artystyczna kariera twojego syna? - zaryzykował. Spojrzała na niego ostrym, gorejącym wzrokiem.

- Milcz!

Zrozumiał, że przeholował. Zaczął ostrożnie, bardzo

delikatnie załagadzać sytuację. Nie było to łatwe. Została boleśnie ugodzona i trzeba było dużego wysiłku i zręcznego lawirowania miłymi słowami, żeby jakoś zatuszować ten nietakt. Wreszcie jednak doprowadził do tego, że rozstali się we względnej zgodzie, chociaż czuł, że tamto jeszcze nie zostało zapomniane.

I znowu wracał do siebie na piechotę. Był wściekły. Zdawał sobie sprawę, że przestaje panować nad nerwami, że nie kontroluje należycie tego, co robi i co mówi. Zawsze był zimny, opanowany, niepoddający się chwilowym nastrojom, a teraz... Nieustanna zależność od tej starzejącej się kobiety ciążyła mu coraz bardziej. Za wszelką cenę pragnął się od niej uwolnić, ale za każdym razem przychodziła refleksja. Czyż mógł machnąć na to wszystko ręką i zrezygnować z takiej olbrzymiej fortuny? To byłoby największe głupstwo, jakie mógł zrobić. Będzie kiedyś bogaczem. Marzyły mu się podróże, luksusowe samochody, jachty, piękne młodziutki dziewczyny. Trochę cierpliwości. Przecież ludzie nie żyją wiecznie. A nawet zanim

otrzyma ten spadek, to nie żyje mu się najgorzej. Musiał przyznać, że hrabina hojną ręką łożyła na jego utrzymanie, na jego rozrywki, na jego przyjemności, najego eleganckie ubrania, bieliznę, na najrozmaitsze drobiazgi. Nie, nie była skąpa. Nigdy niczego mu nie odmówiła. Była tylko zazdrosna. Najwyraźniej bała się, że znajdzie sobie młodszą. I niewiele brakowało... Obraz tamtej dziewczyny znowu stanął mu przed oczami. To było miłe wspomnienie, miłe, ale zarazem i niepokojące. Ciągle gubił się w domysłach, co to wszystko właściwie znaczyło. Bo pieniędzy przecież od niego nie wzięła. Nawet nie ośmieliliby się jej zaproponować. Więc co? Instynktownie czuł, że coś mu zagraża. Nie mógł się domyślić przyczyny tego zagrożenia. Aż pewnego wieczoru...

Późno wrócił do domu. Miał za sobą ciężki dzień. Był zmęczony. Zdjął krawat i skierował się do łazienki, żeby przygotować sobie kąpiel. Zadzwęczał dzwonek. „O tej porze? Któż to może być, do diabła?” Rozległo się dzwonienie jeszcze bardziej natarczywe. Poszedł otworzyć.

W drzwiach stał wysoki, elegancki mężczyzna, ubrany według

najnowszej mody. Nad niskim czołem falowała płowa, kędzierzawa czupryna. Twarz, na pierwszy rzut oka, nie wzbudzała uczucia sympatii. Lekko wystające kości policzkowe, szeroki, mięsisty nos i jasnoniebieskie oczy, pozbawione tęczywek, przypominające dawno minione czasy, kiedy to Europa była zdominowana przez gestapo.

- Czy pan Raul Pavani?

- Tak. Czego pan sobie życzy?

- Chciałbym z panem chwilę porozmawiać.

- Nie znam pana.

- Moje nazwisko nic panu nie powie. Zresztą mogę podać jakiegokolwiek nazwisko. Nie będzie mnie pan chyba legitymował.

- Nie mam zwyczaju rozmawiać z nieznanymi - powiedział energicznie Raul, przeczuwając, że te odwiedziny nie wróżą nic dobrego.

Przybysz zmrużył oczy.

- Ze mną będzie pan rozmawiał, signor Pavani.

- A to niby dlaczego?

- Dlatego, że to chodzi o syna hrabiny Castiglioni. Raul zmieszał się.

- Nie rozumiem.

- Zaraz pan zrozumie. Ale może mnie pan wpuści do mieszkania. Taka rozmowa przy otwartych drzwiach jest trochę krępująca. Cała kamienica nie musi wiedzieć, o czym rozmawiamy.

Raul szerzej otworzył drzwi i powiedział:

- Niech pan wejdzie.

Dziwny gość wszedł energicznym, wojskowym krokiem i rozejrzał się po pokoju.

- Ładnie ma pan urządzone mieszkanie - powiedział.

- Czy przyszedł pan po to, żeby podziwiać urządzenie mojego mieszkania? - spytał Raul.

- Niezupełnie. - Rozsiadł się w fotelu i zapalił papierosa.

- Więc czego pan chce? O co chodzi?

- Czy pan zawsze jest taki nieuprzejmy dla swoich gości? Raulowi krew uderzyła do głowy. Miał nieodpartą



ochotę chwycić draba za klapy i wyrzucić go za drzwi. Pohamował się jednak. Nie mógł przecież wszczynać bójki. Nie wiedział, w jakim celu ten typ przyszedł do niego. Co się za tym kryje? Wspomnił coś o hrabinie i ojej synu. Trzeba cierpliwie doczekać się wyjaśnienia tej sprawy. Podszedł do baru,

stojącego w rogu pokoju.

- Niech pan nie szuka pistoletu - posłyszał za plecami niski, basowy głos. - Ja jestem bardzo szybki.

Raul odwrócił się. Zobaczył wyszczerzone zęby w nieprzyjemnym uśmiechu.

- Chciałem pana poczęstować jakimś drinkiem - powiedział.

- Obejdzie się bez drinka. Niech pan siada. Zapewne jest pan zaintrygowany moimi odwiedzinami. Ale niechże pan wreszcie siada.

Raul usiadł i spojrzał pytająco w tę arogancką, bezczelną twarz.

- Przyznaję, że pragnąłbym się dowiedzieć, czemu zawdzięczam pana nieoczekiwaną obecność w moim mieszkaniu, panie... panie...

- Dla pana nazywam się Carnot, Emil Carnot. Nie twierdzę, że to jest moje prawdziwe nazwisko, ale to przecież nie ma żadnego znaczenia. Chodzi tylko o to, żeby ułatwić naszą rozmowę.

- A więc, signor Carnot, może wreszcie dowiem się, o co chodzi.

Tamten zgasił papierosa i odsunął od siebie popielniczkę.

- Przede wszystkim pragnę uniknąć niepotrzebnych nieporozumień, które mogłyby przedłużyć naszą rozmowę. Dlatego pragnę panu zakomunikować, że jesteśmy doskonale zorientowani.

Raul nie ukrywał zdziwienia.

- Nie bardzo rozumiem. Kto jest zorientowany i w jakiej sprawie?

- Jesteśmy zorientowani we wszystkim, co dotyczy pana, hrabiny Castiglioni i jej syna. Zapewniam pana, że to nie bief. Zbieraliśmy informacje bardzo długo i bardzo starannie. Znane nam są wszystkie szczegóły. Wiemy nawet, że pani hrabina

Castiglioni sporządziła testament na rzecz pana.

Raul wzruszył ramionami.

- A gdyby nawet, to cóż z tego wynika?

- Wynikają z tego różne rzeczy. Choćby i to, że jest pan absolutnie zależny od kaprysu starzejącej się kobiety, która w każdej chwili może sporządzić nowy testament, zapisując swój ogromny majątek na cele dobroczynne. Sądzę, że byłoby dla pana rzeczą niezwykle wygodną, gdyby pan w krótkim czasie mógł zdobyć duże pieniądze i całkowicie uniezależnić się od tego testamentu.

Raul milczał. Nie miał pojęcia, do czego zmierza ten człowiek.

- Mamy dla pana pewną konkretną propozycję - ciągnął dalej Carnot. - Wydaję mi się, że jest to propozycja bardzo korzystna, która w krótkim czasie uczyni z pana bardzo bogatego człowieka. Przy czym nie musi pan rezygnować z testamentu hrabiny Castiglioni. Czy pan mnie słucha uważnie.

- Słucham, ale ciągle jeszcze nie wiem, do czego pan zmierza.

- Pan organizuje wystawy obrazów. Obecnie organizuje pan wystawę obrazów w Nowym Jorku.

- Jest pan dobrze poinformowany.

- Te obrazy wyruszą w podróż w ramach?

- Oczywiście.

Bładoniebieskie oczy zwięzły się.

- A gdyby te ramy tak skonstruować, żeby można coś tam wsunąć do środka.

Raul poczerwieniał.

- Pan oszalał! Chce mnie pan zrobić w przemyt narkotyków. To nie ze mną takie numery. Dostyc mam już tej idiotycznej gadaniny. Proszę wyjść! Proszę natychmiast opuścić moje mieszkanie albo wezwę policję.

Niebieskie, wyblakłe oczy nie zmieniły swojego wyrazu.

- Mam wrażenie, że ciągle jeszcze pan mnie nie docenia. - Każde słowo wypowiedane było wolno, z mocnym akcentowaniem. - Nie wyjdę z tego mieszkania, dopóki nie powiem tego, co mam do powiedzenia. I niech mnie pan nie straszy policją, bo to ja mogę pana straszyć.

- A to jakim sposobem?

- To bardzo proste. Wystarczy, że dam sensacyjną notatkę do prasy dotyczącą pana, hrabiny Castiglioni i jej syna. To przecież niebywała sensacja i afera kryminalna. Nie jestem pewien, czyby panu to wyszło na zdrowie. A i pani hrabina także nie byłaby zachwycona. Jeżeli jednak ten argument nie trafia panu do przekonania, to mam jeszcze coś w zapasie. - To mówiąc, sięgnął do kieszeni i wyjął sporą kopertę. - Niech pan to sobie obejrzy.

Raul wyrzucił na stolik zawartość koperty i zdrętwiał. Tego się nie spodziewał. Fotografie, kolorowe fotografie. On i ta dziewczyna zupełnie nadzy, w pozach niebudzących żadnych wątpliwości. Parokrotnie jego twarz była ujęta w zbliżeniu.

- No i co pan na to, signor Pavani? Gustowne widoczki, nieprawdaż? Nie muszę chyba zaznaczać, że zniszczenie tych zdjęć nic nie da. Mamy negatywy.

Raul milczał. Był tak oszołomiony, że słowa nie mógł z siebie wydobyć. W głowie mu buczało. Jakby z bardzo daleka słyszał to, co mówił szantażysta.

- Sądzę, że byłoby dla pana korzystniej, gdyby pani hrabina Castiglioni nie obejrzała tych artystycznych zdjęć. Mogłoby to ją do pana niechętnie usposobić. Być może, że i z tym spadkiem byłyby poważne komplikacje.

-Ile?

- Co ile?

- Ile pan żąda za te negatywy?

Niemіły uśmiech nie schodził z wąskich warg.

- Pan się myli, signor Pavani. Pan jest w błędzie. Ja od pana nie chcę żadnych pieniędzy. Ja tylko pragnę pana namówić, żeby pan zechciał przystąpić do naszej spółki, której akcjonariusze są bardzo bogatymi ludźmi. I pan także, mam nadzieję, dojdzie wkrótce do dużej fortuny. Nie sądzą, żeby pan nie był skłonny nie skorzystać z na-

szej oferty. Majątek pani hrabiny Castiglioni także jest nie do pogardzenia. Argumenty, które panu przedstawiłem, są chyba dostatecznie przekonujące. No więc jak, signor Pavani, czy możemy na pana liczyć? Jeśli pan wyrazi zgodę, to szczegóły

techniczne, dotyczące tych ram, omówimy sobie spokojnie i bez zdenerwowania. Raul odchrząknął i odetchnął głęboko.

- Ta propozycja spadła na mnie tak niespodziewanie, że muszę to przemyśleć.

Człowiek, podający się za Emila Carnota, wsunął do kieszeni fotografie, wstał i powiedział:

- Daję panu czterdzieści osiem godzin do namysłu. Zadzwoń do pana. Jeśli pan odmówi, zaczniemy działać, a tym naszym działaniem nie będzie pan zachwycony. Chyba nie muszę tego jaśniej tłumaczyć. I jeszcze jedno. Niech panu nie przyjdzie do głowy kontaktować się z policją. Jest pan jeszcze za młody na to, żeby rezygnować z życia.

Wyszedł, nie kiwnąwszy nawet głową na pożegnanie.

Raul został sam. Był na wpół przytomny. Wszystko to wydało mu się takie nierealne, że nie mógł uwierzyć, że to się w ogóle zdarzyło. Nieco chwiejnym krokiem podszedł do baru, wypił kieliszek koniaku, usiadł i zapalił papierosa. Próbował się opanować, próbował zebrać myśli, zastanowić się nad sytuacją. Wstał i znowu podszedł do baru.

Dopiero drugi kieliszek koniaku doprowadził go do jakiej takiej równowagi umysłu. Usiadł w fotelu i zapalił nowego papierosa. Zaczął się zastanawiać. Sytuacja właściwie była beznadziejna. Albo zacznie współpracować z handlarzami narkotyków, albo wszystko diabli wezmą. Wszystko to, na co w życiu liczył, zostanie w jednej chwili przekreślone. Wiedział doskonale, jakie to straszliwe ryzyko związanie się

z takim gangiem czy też może z mafią. Nie ludził się - w razie wpadki wszystko zwałą na niego i pójdzie na wiele lat do więzienia. Walka z handlarzami narkotyków na całym świecie zaostrzała się coraz bardziej. Tutaj nie można było liczyć na żadne okoliczności łagodzące. A jeżeli hrabina zobaczy te zdjęcia, to koniec, zerwie z nim definitywnie i oczywiście sporządzi nowy testament. Co robić? Wstał i wypił trzeci kieliszek koniaku. Poczul lekki zawrót głowy. „Nie ma sensu się upijać - pomyślał. - To do niczego nie prowadzi.” Nerwowymi krokami zaczął chodzić po pokoju. Policja? Porozumieć się z policją? Nonsens. Kto mu uwierzy, że otrzymał taką

propozycję? Jakie ma na to dowody? Żadnych. Poza tym, gdyby nawet policja wszczęła dochodzenie, to tamci go zastrzelą. To są przecież ludzie, którzy się nie liczą z nikim i z niczym. Są zdolni do wszystkiego. Porozmawiać z hrabiną? Przyznać się? Kajać się? Nie, nie, to nie wchodzi w rachubę. Jedynym ratunkiem byłoby odzyskanie tych przeklętych negatywów. Ale jak to zrobić? Nie wiedział przecież ani kto, ani gdzie. Nie wiedział absolutnie nic o tych ludziach, którzy wiedzieli o nim wszystko. Potrzebował pomocy. Zaczął przypominać sobie wszystkich swoich dawnych znajomych ze świata przestępczego. Na kartce papieru notował nazwiska. Wreszcie zatrzymał się przy jednym: Alberto Gamato, znany w swoim środowisku pod pseudonimem Lupo. To był jedyny człowiek, z którym warto było porozmawiać. Chytry, sprytny, mający duże rozeznanie w różnych sferach. Niewykluczone, że coś go łączyło z mafią. Nie zwlekając, wyruszył na poszukiwanie dawnego kumpla.

Alberto szczerze się ucieszył.

- Raul! - wykrzyknął radośnie. - Dio niO; Chepiacere di rivederti. Da tanto tempo che non ci vedia.no. Vieni, vieni, caro amico.

Po wstępnych owacyjnych powitaniach Alberto wprowadził swojego gościa do mieszkania.

- Chodź, chodź, rozgość się. Co za niespodzianka. Siadaj. - Zrzucił jakieś skrzynki ze sfatygowanego fotela. - Siadaj. Nie krępuj się. Co za niespodzianka. Wiem, że się teraz obracasz w wyższych sferach towarzyskich. Napijesz się czegoś? Mam niezłe wino i doskonałą grapę.

- Dziękuję. Nic nie będę pił. Jestem już po alkoholu. Wystarczy. - Raul rozejrzał się po zagraconym pokoju. - Sam jesteś w mieszkaniu?

Alberto popatrzył na niego uważnie.

- Na razie jestem sam. Masz do mnie jakąś sprawę, sekretną sprawę?

- Tak jakby.

Alberto wstał, dokładnie zamknął drzwi i okno, następnie przysunął sobie krzesło i usiadł.

Raul przez chwilę zastanawiał się, czy to, co robi, ma jakiś sens, ale właściwie to była dla niego jakaś szansa. Tak mu się przynajmniej zdawało.

- No to mów, co masz na wątrobie - przynaglił go Alberto.

Raul w krótkich słowach opowiedział swoją przygodę z piękną dziewczyną i dzisiejszą rozmowę z handlarzem narkotyków. Kiedy skończył, Alberto przesunął dłonią po lysej czaszce i powiedział:

- Głupia sprawa, bardzo głupia sprawa, caro amico. Ale nawet jeżeli te zdjęcia pójdą do prasy, to co ci to właściwie szkodzi?

-Jak to co mi szkodzi? - oburzył się Raul. - Jestem związany z bardzo bogatą damą, która darzy mnie uczuciem i która ma zamiar zapisać mi w testamencie duże pieniądze. Rozumiesz więc, że te fotografie...

Alberto pokiwał głową.

- To cię wrobili w paskudną historię, porca miseria. -W tobie jedyna nadzieja. Tylko ty mógłbyś mi pomóc!

- A to w jaki sposób?

-Trzeba im odebrać te zdjęcia i negatywy. Alberto roześmiał się.

- Czy wymagasz ode mnie, żebym uczynił cud?

- Sprawy pozornie niemożliwe po przemyśleniu mogą nabrać realnych kształtów. Ty przecież jesteś świetnie wprowadzony w pewne środowiska. Szybko się zorientujesz. Pewne poszlaki mamy. Choćby to mieszkanie na Za-tybrzu i ta zapijaczona dozorczyńni.

- Ile na to przeznaczasz? - spytał rzeczowo Alberto. Raul zdawał sobie sprawę, że §ra idzie o dużą stawkę.

- Sto tysięcy dolarów.

Alberto nie robił wrażenia zachwyconego wysokością wynagrodzenia.

- No cóż... Koszta mogą być duże. To bardzo precyzyjna robota, koronkowa robota. Nikt zresztą nie może dać gwarancji, że to się uda.

- Sto pięćdziesiąt tysięcy dolarów - powiedział Raul. Alberto trochę się ożywił.

- Może zaczniemy od początku.

- To znaczy?

-To znaczy może byś mi dokładnie opisał tę piękność, która cię uwiodła.

Raul możliwie dokładnie odmalował obraz pięknej dziewczyny, która podeszła wtedy do niego w kawiarni i z którą pojechał na Zatybrze-

Alberto słuchał uważnie, aż wreszcie wykrzyknął.

- Lola! Dio mio\ Lola! Tylko ta kurwa mogła cię tak omotać.

- Znasz ją?

- No chyba że ją znam. podejrzewam, że ma jakieś powiązania z mafią.

- To dobrze czy źle?

- Raczej dobrze. Ona kocha dolary. Jak jej odpalimy odpowiednią sumę, to może—

- Potrzebna ci będzie zaliczka?

- Przydałaby się.

- Dam ci czek.

- Dobra.

Na drugi dzień po tej rozmowie Raul pojechał na Pa-rioli, do hrabiny. Nie chciał, żeby myślała, że ją zaniedbuje, może znalazł sobie inną. Starał się odgrywać rolę czulego, stęsknionego kochanka. Próbował ją rozneglizować, ale sprzeciwiła się stanowczo.

- Zostaw.

- Co się stało?

-Jesteś nieszczerzy. Udajesz. Zgrywasz się.

- Nic podobnego. Co cię napadło?

- Nie kłam. Znamy się nie od dzisiaj i mnie tak łatwo nie oszukasz. Masz już mnie dosyć. Znalazłeś sobie inną, młodszą, bardziej atrakcyjną.

- Oszalałaś? Możesz wynająć detektywa, żeby mnie śledził. Przekonasz się.

- Niewykluczone, że to zrobię.

- Bardzo proszę.

Wieczorem Raul w fatalnym nastroju wrócił do siebie. W sytuacji, w jakiej się znajdował, nie mógł zdobyć się na szczere

zapały miłosne. Wszystko to było sztuczne, robione, odgrywane. Nie potrafił się skupić. Myślał o czym innym. Myślał o tym facecie, który ma do niego zatelefonować.

Zadzwoił dzwonek. To nie był telefon. Poszedł otworzyć. Nie było nikogo, tylko przed drzwiami stało spore, solidnie zapakowane pudło. Wziął nóż, przeciął sznurki i rozwinął papier. W pudle leżała na ligninie skrwawiona głowa Alberta.

Zadzwoił telefon. W słuchawce posłyszał znajomy basowy głos.

- Czy pan akceptuje naszą propozycję? -Tak.



Za pierwszym razem tego nie spostrzegł. Tyle było zamieszania, tyle roboty ze wstępnym organizowaniem śledztwa, że ten szczegół uszedł jego uwagi. Dopiero podczas trzeciego przeszukiwania pracowni zainteresował się tym kawałkiem zmiętej gazety, leżącym w kącie pomiędzy najrozmaitszymi rupieciami, wchodzącymi w skład artystycznego nieładu. Ostrożnie podniósł i rozwinął. Gazeta była włoska: „Il Messaggero” z 18 października. Tłuste plamy świadczyły o tym, że zapewne zawinięto w nią jakieś artykuły spożywcze. Może pizza, a może zapiekanka tak rozpowszechniona obecnie w Warszawie.

Po powrocie do komendy Górniak natychmiast przekazał zatłuszczoną gazetę do zbadania daktyloskopijne. go. Nie omylił się. Odciski palców pozostawione na „U Messaggero” pokrywały się z liniami papilarnymi, znalezionymi na butelce i jednym kieliszku. Na drugim odciski swoich palców pozostawił Robert Zwoliński.

- No i co ty na to? Michalak wzruszył ramionami.

- No cóż... Nie tak trudno się domyśleć, że Zwolińskiego odwiedził jakiś Włoch, który przyniósł butelkę ginu i zagrychę zawiniętą w gazetę.

- Włoską gazetę niekoniecznie mógł mieć ze sobą Włoch - zauważył Górniak. - Obecnie wielu Polaków odbywa wycieczki do Italii.

- To prawda - zgodził się Michalak. - Ale moim zdaniem istnieje bardzo duże prawdopodobieństwo, że to właśnie był Włoch.

- Wobec tego mam dla ciebie bojowe zadanie - uśmiechnął się Górniak.

Michalak westchnął.

- Zdaje się, że wpadłem.

- Wszystko na to wskazuje. Z tego wynika, że nie należy zbyt skwapliwie wyrywać się ze swoim zdaniem. Ale żarty na bok.

Trzeba będzie zidentyfikować wszystkich Włochów, którzy w tym czasie przebywali w Warszawie. Czeka cię sporo roboty.

- Jak postawisz taką dolarową butelkę ginu, to się załatwi - powiedział ze śmiertelną powagą Michalak.

- To ci już nasza czysta wyborowa nie wystarcza? Michalak skrzywił się.

- Ani ona taka czysta, ani wyborowa. To było dawniej. Czasy się zmieniają, a z nimi i wódka.

- Nie zaczynaj filozofować - uśmiechnął się Górniak. - Bierz się za tych Włochów.

- Nie możemy przecież wszystkich Włochów przebywających czasowo czy stale w Warszawie podejrzewać o zamordowanie Zwolińskiego - zauważył porucznik.

- Wszystkich nie - powiedział Górniak. - Wytypujemy sobie takich bardziej pasujących do tej sprawy.

- A co z tym Korsykaninem?

Na razie nie ma ich w Warszawie. Wyjechali oboje nie wiadomo dokąd. Ona nawet swoim rodzicom nie powiedziała, że ma zamiar wyjechać. Wysłałem mu wezwanie, żeby natychmiast po powrocie zgłosił się do nas.

Michalak skrzywił się sceptycznie.

- Obawiam się, że się nie zgłosi. Niewykluczone, że go w ogóle już nie zobaczymy.

- Nie bądź takim pesymistą.

- Nie jestem pesymistą. Jestem realistą. Po tym numerze z wozami Volvo...

Górniak machnął niecierpliwie ręką.

- Na razie nie będziemy sobie tym głowy zawracać. Pośpiesz się z tymi włoskimi turystami i nieturystami. Zwoliński wspominał, że wybiera się do Włoch. Dobrze by było, żebym zdołał przedtem porozumieć się z nim i dostarczyć mu trochę danych.

Porucznik Michalak z wrodzoną sobie energią zabrał się do rozpracowywania „makaroniarzy”, jak pogardliwie nazywał potomków autora Boskiej komedii. Częściowo uporał się z tym stosunkowo szybko. Takie hotele jak Victoria, Forum, Europejski, Polonia, Warszawa dość dokładnie prowadzą

ewidencję gości zagranicznych. Oprócz hoteli źródłem informacji było także lotnisko i punkty graniczne.

Okazało się, że Włochów, przebywających w Warszawie w czasie, kiedy został zamordowany Robert Zwoliński, była spora gromadka.

- Nie bierzemy pod uwagę pracowników ambasady oraz tych Włochów, którzy z tych czy z innych powodów na stałe przebywają w Polsce - powiedział Górniak.

Michalak pokiwał głową.

- To prawda. Ale tak na mój nos, to jeżeli Zwolińskiego zamordował cudzoziemiec, to chyba ktoś przyjezdny.

- Każda teoria jest dobra, która ułatwia naszą robotę - uśmiechnął się Górniak. - Sądzę jednak, że jest dużo racji w tym, co mówisz. Ja chyba także typowałbym na mordercę kogoś przyjezdnego. Zwoliński miał jakieś powiązania z terenem Włoch, czego najlepszym dowodem są te duże pieniądze, które otrzymał w Rzymie podczas tej wycieczki. Coś tam kombinował i mógł się komuś narazić.

- Mafia - powiedział Michalak. Górniak potrząsnął głową.

- Nie zaczynajmy pisać scenariusza filmowego. Coś mi się zdaje, że masz ochotę spreparować jakiś sensacyjny serial telewizyjny.

- Niewykluczone, że to zrobię.

- Ale dopiero po zakończeniu sprawy - zastrzegł się Górniak.

Michalak roześmiał się.

- Nie bój się, Władziu. Nie mam takich literackich aspiracji. Chociaż... może kiedyś, jak przejdę na emeryturę...

Górniak wspólnie z Michalakiem przejrzał listę włoskich kandydatów na mordercę, podkreślając czerwonym ołówkiem tych mogących wzbudzać jakieś podejrzenia. Były to zresztą rozważania najzupełniej teoretyczne, niemające cienia jakichkolwiek realnych podstaw. Do Polski przyjeżdżało bardzo wielu pseudoturystów oraz pseudo-handlowców, którzy w nowej sytuacji politycznej pragnęli zorientować się w terenie i ewentualnie zorganizować jakiś mniej lub więcej legalny dorywczy interes. Każdy z tych ludzi mógł być potencjalnym zabójcą Zwolińskiego.

Ponieważ zamordowany malarz posiadał niewątpliwie jakieś kontakty na terenie Italii, Górniak ograniczył się do obywateli włoskich, pomijając, przynajmniej na razie, innych cudzoziemców. Przy pomocy porucznika Michalaka sporządził prowizoryczną listę osób, przebywających w czasie popełnienia zbrodni w Warszawie, i zatelefonował do Paryża. Szczęśliwym zbiegiem okoliczności zastał na Quai des Orfevres Zwolińskiego, który bardzo się ucieszył.

- Serdecznie panu dziękuję, panie kapitanie. To, co pan mówi, ogromnie mnie zainteresowało. Te informacje mogą być dla mnie niezwykle cennym materiałem. Za trzy dni odlatuję do Rzymu. Mam nadzieję, że uda mi się rzucić trochę światła na tragiczną śmierć mojego brata. I jeszcze będę miał taką prośbę do pana. Być może, że będzie mi potrzebny materiał daktyloskopijny, zebrany w pracowni Roberta.

- Nie ma żadnych przeszkód, panie inspektorze - zapewnił Górniak.

- W razie potrzeby natychmiast przekazemy panu potrzebne materiały. I jeszcze jedna sprawa. Czy zna pan niejakiego Zenona Gilnera.

- To ten, który zorganizował tę wycieczkę samochodową? - Tak.

- Poznałem go w Paryżu. Niezbyt ciekawy typ.

- Ja również nie jestem nim zachwycony - przyznał Górniak.  
- Zapewne pan się już w tym orientuje, ale

tak na wszelki wypadek chciałbym przypomnieć, że Gilner ma niewątpliwe powiązania z handlarzami narkotyków. Zresztą przecież wtedy razem oglądaliśmy jego wóz.

- Oczywiście - przytaknął Zwoliński. - Ale dobrze, że mi pan to przypomniał. Jeszcze raz bardzo serdecznie dziękuję za pomoc i za współpracę. To, co mi pan powiedział, może się w pewnym momencie okazać bezcenne. Życzę powodzenia i do zobaczenia w Warszawie albo w Paryżu. Do widzenia.

Górniak odłożył słuchawkę i spojrzał na Michalaka. -No... niewykluczone, że nasza robota nie pójdzie na marne.

- Słono będzie kosztować taka pogawędka z Paryżem - zauważył rzeczowo porucznik.

- Nie ty będziesz płacił - zapewnił go Górniak. Upłynęło parę dni. Wczesnym rankiem pojawił się w komendzie Michalak. Był wyraźnie podekscytowany.

I- Co się stało? - spytał Górniak. - Zdaje się, że będziemy wiedzieli, co Canetti robił w nocy 20 października. - A to jakim sposobem? - Moja szwagierka nam pomoże. - Twoja szwagierka? - Właściwie żona mojego brata.

- Streszczaj się - zniecierpliwił się Górniak. Michalak odchrząknął, jakby przygotowywał się do dłuższego przemówienia.

- Zaraz wszystko zrozumiesz. Otóż wczoraj wieczorem była taka mała uroczystość rodzinna, chrzciny. Mojemu bratu urodził się syn. Z tej okazji urządzili takie małe przyjęcie...

- Streszczaj się - powtórzył Górniak.

- Chwileczkę. - Michalak zapalił papierosa. - Otóż na tę uroczystość rodzinną przyjechał z Gdańska brat mojej szwagierki, który pracuje w służbie drogowej. Opowiedział interesującą nas historię. 20 października patrolował razem z dwoma innymi szosę. W pewnym momencie nadjechał wóz Volvo z niedozwoloną szybkością. Zatrzymali go. To znaczy chcieli go zatrzymać, ale im uciekł.

- Numery rejestracyjne? - spytał Górniak.

- Zanotowali. Zgadzą się z numerami wozu, którym jeździ Canetti.

- Nie gonili go?

- Próbowali, ale nic z tego nie wyszło. Dogonić volvo na takim starym służbowym gracie to nie takie proste.

- Z tego wynika, że Canetti wracał wtedy z Gdańska.

- Na to wychodzi.

-I miał jakieś poważne powody, żeby tego nie powiedzieć, chociaż bardzo mu było potrzebne alibi.

- Kombinuje coś poważnego i wolał być podejrzanym o zamordowanie Zwolińskiego, aniżeli powiedzieć, że był w Gdańsku - powiedział Michalak.

Górniak zamyślił się i zapalił papierosa.

- Tak. To dosyć dziwna i tajemnicza sprawa. Byłbym skłonny podejrzewać narkotyki.

Michalak pokiwał głową.

- Z ust mi to wyjąłeś. Jeżeli miał w wozie dużą partię, to trudno się dziwić, że wpadł w panikę i uciekał przed milicją.

- Ale dlaczego rozwijał taką szybkość, żeby się narazić patrolowi milicyjnemu.

- Może musiał dostarczyć towar na określoną godzinę. Górniak zgasił papierosa i odchrząknął. Zaszło mu w gardle.

- Coś mi tu nie gra. Jest zbyt doświadczonym cwaniakiem, żeby popełniać takie błędy. A poza tym nie mamy żadnej pewności, że za kierownicą siedział właśnie Canetti. Mógł wóz komuś pożyczyć. Przecież go nie wylegitymowali.

- Z Gdańska dali cynk do Warszawy i odebrano mu prawo jazdy. Podobno nie zaprzeczał, że to on prowadził wóz.

- Z wielu różnych powodów mógł wziąć winę na siebie - zauważył Górniak. - Ale nie komplikujmy sprawy. Najlepiej by było, żebyśmy mogli porozmawiać sobie z panem Canettim. Ale gdzie go szukać?

- Szukajcie, a znajdziecie - powiedział sentencjonalnie Michalak.

- A może ty zająłbyś się szukaniem? - zaproponował Górniak.

Michalak westchnął.

- Ostatnio mam przedziwnego pecha. Każda moja złota myśl obraca się przeciwko mnie. Jak ty sobie właściwie wyobrażasz poszukiwanie tego cholernego Korsykanina?

- To już twoja sprawa - uśmiechnął się Górniak. - Na ogół jeżeli ktoś ma coś na sumieniu, to wyjeżdża albo do Sopotu, albo do Zakopanego. Tak się to jakoś dziwnie utarło.

- Mówisz o prymitywnych przestępcach, jakiś złodziejasek, jakiś włamywacz. Canetti to zupełnie inna klasa. Zresztą nie mamy pewności, czy oni oboje nie prysnęli już za granicę.

- To niewykluczone - przyznał Górniak. - Zresztą to także można sprawdzić.

- W przybliżeniu, ale to zabrałoby nam bardzo dużo czasu.

- Masz rację. W takim razie zacznijmy od Zakopanego. Ale porucznik Michalak nie zdążył wyruszyć w góry,

kiedy nagle zupełnie niespodziewanie pojawił się w komendzie Carlo Canetti.

Tym razem Korsykanin uległ dziwnej metamorfozie. Stracił całą swą dawną pewność siebie, cały dawny tupet, a nawet arogancję. Był cichy, spokojny, uprzedzająco grzeczny.

- Otrzymałem wezwanie i przyszedłem - powiedział, wyjmując z kieszeni pomięty papier.

- Gdzież pan się podziewał tyle czasu? - spytał Górniak.

- Byliśmy oboje z żoną w Zakopanem.

- Ładnie się pan opalił - uśmiechnął się Górniak, rezygnując chwilowo z urzędowego tonu.

Canetti odwzajemnił się bladym uśmiechem.

- Pogoda była niezła, tylko śniegu mało. Jedynie na Kasprowym... A ponieważ moja żona nie jest zbyt dobrą narciarką, więc raczej opalaliśmy się na Gubałówce.

- Zdziwiło nas to trochę, że nikt nie wiedział, dokąd państwo wyjechali, nawet rodzice pańskiej żony.

- Żona posprzeczała się z rodzicami i postanowiła zrobić im na złość. Zaproponowała, żebyśmy gdzieś wyjechali, nic nikomu nie mówiąc, żebyśmy na jakiś czas zniknęli.

- Czy można wiedzieć, na jakim tle powstały te rodzinne niesnaski? - spytał Górniak.

Canetti skrzywił się.

- Ach, bo są takie niesmaczne sprawy. Rodzice mojej żony koniecznie chcą, żeby się ze mną rozeszła. Górniak udał zdziwienie.

- A cóż mogą panu mieć do zarzucenia pańscy teściowie?

- Właściwie to nie bardzo wiem, o co im chodzi. Chyba mają pretensje o to, że nie pracuję na żadnej stałej po-

sadzie. To są ludzie starej daty. Nie mogą zrozumieć, że ktoś może nie znosić stałych posad.

- Trzebajednak z jakiegoś źródła czerpać fundusze na utrzymanie - zauważył Górniak. - I lepiej, żeby to źródło nie kolidowało z kodeksem karnym.

Korsykanin wyprostował się na krześle.

- Co pan chce przez to powiedzieć?

- Nic, nic... - uśmiechnął się Górniak. - To taka luźna

dygresja. Zresztą nie na ten temat chcieliśmy z panem porozmawiać. Mam wrażenie, że zdobyłem dla pana alibi.

- Dla mnie alibi? — zdumiał się Canetti.

- 20 października, to jest w dniu, kiedy został zamordowany Robert Zwoliński, był pan w Gdańsku i w nocy z 20 na 21 października wracał pan swoim wozem do Warszawy.

Opalona twarz Korsykanina pobladła.

- To nie było takie trudne do ustalenia — mówił dalej Górniak. - Rozwinął pan niedozwoloną szybkość i patrol milicyjny usiłował pana zatrzymać, ale pan im uciekł. Tak się niefortunnie dla pana złożyło, że zdążyli zanotować numery rejestracyjne pańskiego wozu.

Canetti skinął głową.

- Wiem. Gdańsk zawiadomił Warszawę i zapłaciłem mandat oraz odebrano mi prawo jazdy. Ale, tak dla ścisłości, czy pan jest pewien, panie kapitanie, żeto właśnie ja siedziałem wtedy za kierownicą? Przecież mogłem pożyczyć komuś wóz. Nikt mnie nie legitymował.

- Słuszna uwaga - przyznał Górniak. - Czy pan chce przez to powiedzieć, że wtedy na gdańskiej szosie nie pan siedział przy kierownicy?

- Tego nie twierdzę. -Więc...?

Korsykanin uśmiechnął się.

- To także była taka luźna dygresja. Pragnąłem uświadomić panu, że często pozory mylą. Górniak wzruszył ramionami.

- Nie potrzebuje mi pan tego uświadamiać. Odnoszę wrażenie, że miałby pan ochotę wziąć mnie na przeszkolenie.

- Nie mam aż takich aspiracji, panie kapitanie.

- To mnie cieszy - Górniak poprawił się na krześle i zapalił papierosa. - Ale żarty na bok. Może porozmawiamy teraz o konkretnych sprawach.

- To znaczy?

- Chciałbym się dowiedzieć, co pan wtedy robił w Gdańsku?

- Odwiedzałem znajomych.

- Tylko niech mnie pan nie próbuje przekonywać, że pojechał pan do Gdańska na brydża - uśmiechnął się Górniak.



- Nie mam zamiaru.

- To bardzo rozsądnie z pańskiej strony. Ale w dalszym ciągu nie wiem, w jakim celu pojechał pan wtedy do Gdańska. Musi pan zrozumieć, że w dalszym ciągu jest pan podejrzany o zamordowanie Roberta Zwolińskiego i że bardzo przydałoby się panu alibi. Pragnę panu w tym pomóc, ale musi się pan zdecydować na szczerą rozmowę ze mną. Jeżeli pan był w Gdańsku, to zapewne z kimś się pan tam spotykał i ten ktoś może to poświadczyć.

Twarz Korsykanina pociemniała, tak jakby mu krew nabiegła do głowy.

- Chce pan znać prawdę?

- Miałbym na to ogromną ochotę - powiedział spokojnie Górniak.

- Więc dobrze, powiem. - Głos zmieniony, schrypnięty. - Tamtej nocy, kiedy wracałem z Gdańska, miałem pełen wóz narkotyków, przeważnie heroiny.

- Czy być może? - zdziwił się łagodnie Górniak.

- Nie wierzy mi pan?

- Dlaczegoż miałbym panu nie wierzyć? Przecież to miała być szczerą rozmowa.

-I nie może pan się dziwić, że w tych warunkach nie mogłem ryzykować zetknięcia z milicją - mówił dalej Canetti. - Zamiast zatrzymać się i zapłacić mandat, nacisnąłem na gaz i uciekłem. Nie wytrzymałem nerwowo.

-I gdzie pan zdeponował ten swój „towar”? - spytał Górniak.

- Nigdzie. Kiedy wjechałem na teren Warszawy, wóz odebrał ode mnie jeden facet.

- Kto taki?

- Nie wiem. Nie widziałem nawet jego twarzy. Był zamaskowany.

-I niezajomemu człowiekowi powierzył pan taki cenny ładunek? - zdziwił się Górniak.

- Miał przy sobie znak rozpoznawczy. Zresztą to było umówione.

- Rozmawiał pan z nim?

- Nie zamieniliśmy ani słowa. -Jak on wyglądał?

- Wysoki, szczupły, w ciemnym płaszczu.  
- Młody? Stary? Jakie pan odniósł wrażenie?  
- Raczej młody. Miał szybkie, bardzo zwinne ruchy.  
- Dokumenty wozu były na pańskie nazwisko - zauważył Górnjak. - Mogła tego zamaskowanego człowieka zatrzymać milicja i co wtedy?

Canetti machnął pogardliwie ręką.

- To najmniejszy kłopot. Na pewno miał dokumenty na swoje nazwisko, a numery rejestracyjne zmienił błyskawicznie.

Górnjak przyglądał się bardzo uważnie swojemu rozmówcy. Zupełnie nie mógł się zorientować, co tu jest grane. Nie był oczywiście skłonny wierzyć stuprocentowo we wszystko to, co usłyszał. Ale z drugiej strony...

- To, co pan przed chwilą zeznał, zostało zarejestrowane na taśmie - powiedział po chwili milczenia. - Z tego moglibyśmy sporządzić oficjalny protokół. Czy pan byłby skłonny podpisać taki protokół?

- Oczywiście.

- Doskonale. Zajmiemy się tym. I jeszcze chciałbym wyjaśnić pewną sprawę. Jak to było z tymi dwoma samochodami Volvo w pańskim garażu. Najpierw były dwa wozy, a potem się okazało, że jest tylko jeden.

Canetti skinął głową.

- Bo tak było w istocie. Ten drugi wóz, który odjechał, został nafaszerowany heroiną. Zapewne już od dawna kursuje teraz po ulicach Paryża albo Rzymu.

- Wtedy z Gdańska jechał pan także wozem Volvo, ale to nie był ten wóz, który pan kupił na giełdzie samochodowej.

-Nie. Ktoś mi go pożyczył na tę jedną noc.

- Kto? Jak się nazywa?

Canetti zrobił jakiś nieokreślony ruch ręką.

- Nie mam pojęcia. W tej branży, w której działałem, nie wymienia się nazwisk.

- Czy mógłby pan coś bliższego powiedzieć na temat pańskich współpracowników, pańskich mocodawców?

-Nie.

- Nie chce pan czy pan nie może?

-I jedno, i drugie.

- W porządku. - Górniak nie nalegał. Wiedział, że to miałyby się z celem. - Wobec tego może teraz zajmujemy się zredagowaniem pańskich zeznań.

-Jestem gotów.

Górniak usiadł przy maszynie i uruchomił magnetofon. Nie chciał tej roboty zlecać maszynistce.

Kiedy wszystko już było gotowe, Canetti przeczytał i podpisał.

- Żadnych zastrzeżeń? - spytał Górniak.

- Żadnych.

- Może chciałby pan jeszcze coś dodać?

- Nie mam nic do dodania.

- Wobec tego może pan już jechać do domu. Sądzę, że w najbliższym czasie wezwie pana prokurator. Twarz Korsykanina wyrażała nieklamane zdumienie.

- Nie aresztuje mnie pan?

-Jeszcze nie - uśmiechnął się Górniak. - Dlaczegoż to pan się tak śpieszy?

Canetti był wyraźnie zakłopotany.

- Sądziłem, że po tym, co zeznałem, odeśle mnie pan do więzienia, a przynajmniej do tymczasowego aresztu.

Górniak pokręcił głową.

- Nie tak łatwo dostać się do więzienia. Być może niejeden miał ochotę posiedzieć sobie w ciepłej celi i korzystać z państwowego wikt. Nie, proszę pana, do więzienia tak zaraz się nie idzie. Musimy pewne rzeczy sprawdzić, ustalić... A przede wszystkim musi być wyrok sądu.

Korsykanin nie ukrywał swego rozczarowania.

- Myślałem...

Górniak spojrział na niego uważnie.

- Czy pan się czegoś boi? Jeżeli tak, to damy panu ochronę.

Korsykanin energicznie potrząsnął głową.

- Dziękuję, sam potrafię się bronić.

- Niech się pan zastanowi - nalegał Górniak. - Jeżeli to wszystko prawda, co pan tu przed chwilą zeznał, i jeżeli naraził się pan tym swoim współnikom, to może grozić panu poważne

niebezpieczeństwo.

- Potrafię się obronić - powtórzył Canetti.

- Jak pan uważa. W każdym razie proszę być z nami w stałym kontakcie. Nasz numer telefonu pan zna.

- Oczywiście.

Canetti wstał, uklonił się i wyszedł. Górniak spojrzał na Michalaka.

- No i co o tym myślisz? Porucznik wzruszył ramionami.

- A bo ja wiem. To wszystko robi na mnie dosyć niesamowite wrażenie. Albo facet prowadzi jakąś niesłychanie skomplikowaną grę, albo rzeczywiście jest w strachu i koniecznie chciał, żebyś go zapudlił. Trudno zgadnąć.

- Czy uważasz, że powinniśmy przydzielić mu kogoś, żeby go pilnował?

- Chyba nie. Po pierwsze, nie mamy żadnej pewności, czy facet nie łże, a po drugie, jakbyśmy tak chcieli obstawiać wszystkich, co się tam czegoś czy kogoś boją, to nie wystarczyłoby nam ludzi do tej roboty.

Górniak w zamyśleniu pokiwał głową.

- Tak. Dziwna historia, bardzo dziwna historia. Nigdy bym się nie spodziewał, że Canetti złoży takie zeznanie. Cały czas robił na mnie wrażenie człowieka bezwzględniego, zdecydowanego na wszystko.

- Zmyłkowy Korsykanin - powiedział Michalak. Górniak jeszcze raz uważnie przeczytał protokół z zeznania.

- Bo jeżeli to jakaś patologia... Jeżeli cała ta sprawa jest wytworem chorej wyobraźni...

- Canetti ani przez chwilę nie zrobił na mnie wrażenia wariata - zaproponował porucznik. - Jeżeli jednak naraził się członkom mafii, to nie chciałbym być w jego skórze.

- Muszę poradzić się z naszym kierownictwem, a także porozmawiać z prokuratorem - zdecydował Górniak. - Uważam, że należy wziąć tego dziwnego Korsykanina pod obserwację, a jednocześnie, w miarę możliwości, zapewnić mu bezpieczeństwo.

Upłynęło parę dni. Canetti nie odbierał telefonu ani nie zareagował na wezwanie prokuratora. Sierżant

Kozłowski, który miał za zadanie obserwować willę Canet-

tich, codziennie składał identyczny raport.

-I nikogo nie zauważyliście? - pytał Górniak.

- Nikogo. Nikt nie wychodził ani nie wchodził, nikt nie przyjeżdżał. Dom jak niezamieszany.

-I ani razu nie widzieliście ani Canettiego, ani jego żony?

- Ani razu.

„Co, u diabła, mogło się z nimi stać?” - rozmyślał Górniak.

Wreszcie postanowił zabrać się osobiście do wyjaśnienia tej sprawy.

- Pojedziesz ze mną do Milanówka?

-Jeżeli jesteś spragniony mojego towarzystwa, to pojedę - odparł Michalak.

Tym razem również przyjęła ich pani Kamińska.

- Mój mąż jest bardzo zajęty - wyjaśniła. - Przyjechała jakaś komisja z Warszawy i prosił, żebym ja z panami porozmawiała. Oczywiście jeżeli to będzie konieczne, to go poproszę.

- Na razie porozmawiamy sobie z panią - powiedział Górniak. - Czy pani córka jest u państwa?

Skinęła głową.

- Tak. Leży chora, ma wysoką temperaturę. Lekarz nie wyklucza zapalenia płuc. Przepisał jakiś antybiotyki.

- A państwa zięć, pan Canetti?

- O, jego to już bardzo dawno nie widzieliśmy. P<sup>o</sup>osprzecali się i Iza przeniosła się na jakiś czas do nas.

- Czy można wiedzieć, o co się posprzecali?

- Tego nie wiem. Nie chciała mi powiedzieć. Powtarzała tylko, że Carlo jest niemożliwy i że w końcu chyba się z nim rozejdzie.

-I nie wie pani, co się dzieje z panem Canettim?

- Nie mam pojęcia. Chyba jest w domu, na Naruszewicza.

- Właśnie że tam go nie ma i nie możemy natrafić na jego ślad.

- To może gdzieś wyjechał.

- Właśnie. Czy mogłaby pani spytać córki, czyjej mąż wybierał się w jakąś podróż?

- Dobrze, spróbuję, jeżeli Iza nie śpi. Po tych antybiotykach jest jakaś taka senna, a może to gorączka. Wstała i

wewnętrznyymi schodami poszła na pierwsze piętro. Po chwili wróciła.

- Spytałam. Iza twierdzi, że Carlo nigdzie się nie wybierał, przynajmniej nic jej na ten temat nie mówił. On zresztą lubi być taki tajemniczy. Nigdy nikogo nie informuje o swoich planach. Zdarzało się, że nagle gdzieś zniknął, wyjeżdżał i nawet Izie nie mówił, dokąd jedzie. To ją ogromnie denerwowało.

- Wcale się nie dziwię - powiedział z przekonaniem Górniak.  
- Miałbym do pani taką prośbę. Pani córka zapewne ma klucze od mieszkania na Naruszewicza.

- Oczywiście.

- Chcielibyśmy pożyczyć od niej te klucze.

- A to w jakim celu? - zdziwiła się pani Kamińska.

- Widzi pani... jest taka sprawa, że w czasie naszej ostatniej rozmowy pan Canetti czuł się jakiś słaby, zmęczony... A ponieważ obiecał, że przez jakiś czas nie będzie wyjeżdżał z Warszawy, obawiamy się, czy czasami nie zasłabł, czy nie potrzebuje pomocy lekarskiej. Obecnie tyle jest wypadków zawałów...

- Ma pan rację - przytaknęła pani Kamińska. - Warto to sprawdzić. - Znowu poszła na górę. Po chwili wróciła z kluczami. - Iza bardzo się zaniepokoiła - powiedziała, wręczając klucze Górniakowi. - Prosiła, żeby panowie jak najprędzej zatelefonowali, jak się czuje Carlo.

- To jednak małżonek nie jest jej tak zupełnie obojętny - uśmiechnął się Górniak.

- No... wie pan... W małżeństwie różnie bywa. Czasami trudno się zorientować, jak to wszystko naprawdę się układa. Iza wyszła za mąż z wielkiej miłości, a że potem...

- Rozumiem, rozumiem - przerwał Górniak. — Nie będziemy już pani zabierać czasu. Klucze oddamy, jak tylko to będzie możliwe.

Nie zwlekając, wrócili do Warszawy i pojechali na Naruszewicza.

Willą była zamknięta. Żadnego znaku życia. Otworzyli furtkę, a następnie dostali się do mieszkania. Owionął ich zaduch dawno niewietrzonego pomieszczenia. Otworzyli okiennice i

okna. Zaczęli się rozglądać, przechodząc z jednego pokoju do drugiego. Nikogo nie znaleźli, ani żywego, ani martwego.

- Nie szkodziłoby przeszukać ten lokal - powiedział Górniak. Michalak pokiwał głową.

- To samo sobie pomyślałem. No to bierzemy się do roboty. Górniak powstrzymał go ruchem ręki.

- Nie możemy tak działać. Mogłyby z tego wyniknąć grube nieprzyjemności. Nie mamy żadnych podstaw.

- Ale mamy klucze od mieszkania - zauważył Michalak.

- To żaden argument. Pamiętaj, że w każdej chwili może pokazać się Canetti, i co wtedy?

- Wtedy powiemy mu, że jego żona bardzo go kocha i tęskni w okolicach Milanówka.

- Przestań się wygłupiać.

- Wcale się nie wygłupiam - oburzył się porucznik.

- Stwierdzam tylko fakt. Pragnę także nadmienić, że zapomnieliśmy o jednej dosyć zasadniczej rzeczy.

- Co masz na myśli?

- Garaż.

- Służnie - przytaknął Górniak. - Musimy zajrzeć do garażu. Mam nadzieję, że któryś z tych kluczy pasuje.

Poszli do garażu. Jeden z kluczy, które otrzymali od pani Kamińskiej, pasował.

Zapalili światło i zobaczyli srebrzysty wóz, volvo.

- To znaczy, że Korsykanin wozem nigdzie nie wyruszył - powiedział Górniak.

- W każdym razie nie tym - zauważył logicznie Michalak. Pokręcili się chwilę po garażu, zajrzeli w każdy kąt i wyszli. Po chwili już siedzieli w swoim fiacie.

- Odwieziemy te klucze? - spytał porucznik. Górniak potrząsnął głową.

- Z tym chwilę się wstrzymamy. Z komendy zadzwonimy do pani Kamińskiej i powiemy, że nie znaleźliśmy zięcia.

- Ani zdrowego, ani chorego, ani umarłego - uzupełnił Michalak. - Chociaż o nieboszczykach lepiej nie wspominać, przynajmniej na razie.

- Myślisz, że...?

- Myślę, że facet albo już nie zalicza się do żywych, albo się zmył z terenu tak gruntownie, że nikt go nie znajdzie, nawet własna żona.

- Mam wrażenie, że w obydwu wypadkach teściowie byliby zachwyceni - powiedział Górniak. - Marzą tylko o tym, żeby w jakikolwiek sposób pozbyć się zięcia.

Michalak zapalił papierosa i zaciągnął się dymem. -Ale mam wrażenie, że córeczka ciągle majeszcze słabość do lekkomyślnego Korsykanina.

- Może jej odpowiada jako mężczyzna, a może wciągnęła się w narkotyki i bez niego nie bardzo umiałyby sobie poradzić.

- To także jest prawdopodobne.

Na drugi dzień po tej rozmowie wyjaśniło się tajemnicze zniknięcie. W okolicach Otrębusów, w lesie, znaleziono zwłoki Canettiego, znajdujące się w stanie zaawansowanego rozkładu. Siedział, a raczej leżał w taksówce. Lekarz stwierdził postrzał w tył głowy.

Przed Górniakiem siedział staruszek o długich, spadających mu na ramiona siwych włosach.

-To pan znalazł tego trupa?

- Tak jest. Ja. Kiedyś byłem gajowym i lubię włóczyć się po lesie, nawet i wtedy, kiedy pogoda nieszczególna. Wychodzę sobie z psem i tak łązę. Wspominam dawne czasy. Bo kiedyś, proszę pana, to lasy nie tak były strzeżone jak dzisiaj. Dzisiaj to o to nikt nie dba. Nie ma ani prawdziwych leśniczych, ani prawdziwych gajowych. Dzisiaj byle chłystek wjeżdża do lasu na motorze, zaproszy ogień i gotowe. A ile to się bespańskich psów i kotów włóczy po lasach. Zwierzynę niszczą.

- No dobrze - przerwał Górniak. - To zapewne pański pies znalazł tę taksówkę.

Stary skinął głową.

- A faktycznie to Medor. Czujny pies, dobry ma węch.

- Pan mieszka w Otrębusach.

- Tak jest. W Otrębusach. Mam taką lichą chałupinę. Jakoś tam żyję. Tylko ugotować muszę sobie sam, bo żona mi umarła.

- Dziwne, że pan dopiero teraz znalazł tę taksówkę. Bo jak pan tak stale chodzi po lesie...



- Właśnie że ostatnio nie wychodziłem, bo trochę chorowałem. Przeziębilem się. Buty mam kiepskie i przemoczyłem nogi. Teraz nawet o buty trudno. Nawet jak kto ma pieniądze, to butów nie dostanie, albo jak dostanie, to nic niewarte. Bo kto to widział, żeby buty z plastiku robić. But musi być z porządnej skóry, chrom, boks albo chociaż giemza. Chociaż giemza to tylko na takie eleganckie buciki. Bo widzi pan...

- Dobrze, już dobrze - przerwał Górniak, który zaczął tracić cierpliwość. - Niech mi pan jeszcze raz opowie, jak to pan znalazł tę taksówkę ze zwłokami. Jak to było?

Były gajowy przesunął dłonią po siwych włosach.

- Ano... zwyczajnie było, proszę pana. Wyszedłem sobie z moim pieskiem na spacer, a ponieważ przez kilka dni siedziałem w domu, postanowiłem pójść trochę dalej w las i poszedłem. Miałem już wracać, a tu nagle Medor zaczął ujadać i skoczył w krzaki. Potem zawył. Zdziwiony poszedłem za nim i zobaczyłem tę taksówkę.

- Dotykał pan tej taksówki? Otwierał pan drzwiczki?

- Uchowaj Boże. Zajrzałem tylko przez okienko, zobaczyłem, że leży trup, i ile sił w nogach pobiegłem na milicję.

- Czy przedtem widział pan kiedyś zamordowanego?

- Nie wiem nawet, jak wyglądał.

Górniak wyjął z szuflady fotografię Canettiego, którą otrzymał od pani Kamińskiej, i podał ją gajowemu. Stary pogładził wąsy i potrząsnął głową.

- Nigdy kogoś takiego tutaj nie widziałem. Ja w ogóle mało się z ludźmi stykam. Wolę mieć do czynienia ze zwierzętami jak z ludźmi. Ludzie porządnie zalali mi sadła za skórę, mam psa, mam dwa koty, mam króliki, gołębie, to mi wystarcza.

Górniak odłożył długopis i wsunął notatki do teczki.

- Może pan jechać do domu. Czy chciałby pan, żeby pana odwiedzić?

- Dziękuję serdecznie, ale pochodzę sobie trochę po Warszawie, a później pojedę kolejką albo autobusem. Poradzę sobie - dodał, podkreślając energicznie wąsa.

Stary gajowy uklonił się i wyszedł. Wszedł Michałak.

- Przesłuchałem tego taksówkarza. O kradzieży taksówki zameldował na Wilczej.

- Gdzie mu ją ukradli?

- Twierdzi, że przed Grand Hotelem. -Jak to się stało?

- Podobno poszedł do hotelu, do toalety. Jak wrócił, taksówki już nie było.

Górniak z niedowierzaniem pokręcił głową.

- Wierzysz w tę wersję?

- A co mam robić? Mogło tak być, a równie dobrze mogło tak nie być. Świadców na to nie mam. Niejedna taksówka stoi przed Grand Hotetelem. Czekają na walutowych klientów.

- Mało prawdopodobne, bardzo mało prawdopodobne - powtórzył Górniak - ale oczywiście możliwe.

- Gdyby taksówkarz był zamieszany w to morderstwo, to nie posługiwałby się swoim wozem - zauważył Michalak. - A gdyby nawet, to zrobiłby jakąś machlojkę z numerami rejestracyjnymi i z dokumentami wozu.

Górniak potarł dłonią czoło.

- Przedziwna sprawa. Dlaczego akurat zamordowali tego faceta w taksówce?

- Mogli przenieść ciało do taksówki - powiedział Michalak. - A taksówką posłużyli się najprawdopodobniej w tym celu, żeby nam utrudnić śledztwo.

- To bardzo możliwe - zgodził się Górniak. - Taksówka, Otrębusy - to wszystko dla zatarcia śladów.

Nazajutrz dostarczono wyniki badań daktyloskopij-nych. Odciski palców, znalezione na taksówce, zgadzały się z liniami papilarnymi pozostawionymi w mieszkaniu i w garażu Zenona Gilnera.

- Znowu ten skurwysyn Gilner - zaklął Górniak. - To on jednak ciągle działa na naszym terenie.

Michalak skrzywił się z niesmakiem.

- Odnoszę wrażenie, że obywatel kapitan zaczyna zatracać swoją wytworną polszczyznę.

Górniak machnął ręką.

- A bo mnie cholera bierze. Ten bandzior grasuje tu bezkarnie, a my jesteśmy zupełnie bezsilni.

- Przypuszczalnie występuje pod innym nazwiskiem i trochę się ucharakteryzował.
- Byłem przekonany, że już dawno wyjechał za granicę.
- Najwidoczniej jego mocodawcy życzą sobie, żeby działał na naszym terenie.

Górniak trzasnął pięścią o blat biurka.

- Musimy go odszukać. Musimy energicznie zabrać się do tego. Nasz kraj nie jest taki duży, żeby można było długo się ukrywać, nawet występując pod zmienionym nazwiskiem i legitymując się fałszywymi dokumentami. Załatwił tego Korsykanina i nie jest wykluczone, że to on zamordował Roberta Zwolińskiego.

Michalak pokiwał głową.

- Wszystko jest możliwe. Ale nawiązując do sprawy tej ostatniej zbrodni, ciągle jeszcze nie daje mi spokoju ta taksówka. Nie rozumiem, dlaczego zastrzelili go w taksówce.

- Moim zdaniem do taksówki wsadzili już trupa - powiedział Górniak. - Canetti nie wsiadłby do taksówki prowadzonej nie przez taksówkarza. To by mu się wydało zbyt podejrzane. Zastrzelili go z małej odległości, bo kula została w mózgu. Najprawdopodobniej stało się to w jakimś zamkniętym ponieszczeniu, może w garażu. Potem wsadzili trupa do taksówki i zawieźli do lasu w Otrębusach.

Michalak był sceptycznie nastawiony do takiej wersji.

- Nie wydaje mi się to wszystko prawdopodobne. Bo po pierwsze, kradzież tej taksówki była, jeśli oczywiście taksówkarz mówi prawdę, całkowitą improwizacją. Nikt nie mógł przewidzieć, że właśnie w tym momencie taksówkarz pójdzie do toalety. A po drugie, wiezienie taksówką trupa to zbyt duże ryzyko.

- Taksówkę podobno skradziono wieczorem - zauważył Górniak.

- No to co z tego? W każdej chwili mógł ich zatrzymać patrol milicyjny.

- Wobec tego pozostaje jedna ewentualność, a mianowicie, że innym wozem pojechali do lasu, tam kropnęli Canettiego, a

następnie wrócili do Warszawy i podgranzdżili taksówkę, do której władowali w Otrębusach trupa, żeby skomplikować sprawę i zmusić nas do takiej właśnie rozmowy.

Michalak wątpiaco potrzęsnał gowa.

- Ta teoria takze nie przemawia mi do przekonania. Nietrudno się było domysleć, że taksówkarz zgłosi kradzież swojego wozu. W tych warunkach jechać do Otrębus skradzioną taksówką to dosyć ryzykowne przedsięwzięcie. Wszystkie dokumenty na inne nazwisko...

- Wymyśl coś mądrzejszego - zdenerwowal się Górniak.

Porucznik bezradnie rozłozyl ręce.

- Ba... To nie takie proste. Zresztą od myślenia to jesteś tutaj ty. Ja występuję w charakterze siły pomocniczej.

-I siła pomocnicza takze od czasu do czasu może ruszyć gowa.

Michalak usmiechnal się.

- Ruszam gowa, jak mogę, ale niewiele z tego wychodzi. Zadzwonil telefon.

Górniak podniósł słuchawkę i przez chwile trzymal ją przy uchu.

- Tak, tak - powiedzial. - Rozumiem.

- Co się stalo? - spytal Michalak, widzac zmienioną twarz szefa.

- Taksówkarz się powiesil.

- Albo go powiesili.

- Albo go powiesili - powtórzyl Górniak.

Zwoliński odbył wyczerpującą rozmowę z komisarzem Bergerem.

- Rozumiem pana niepokój — powiedział komisarz. — Ale to jest dla pana ogromna szansa. Po przeprowadzeniu tej akcji ma pan okazję wejść do Interpolu. Nie przeczę, że rozpoczyna pan niebezpieczną walkę z bezwzględnym i nieprzebijającym w środkach przeciwnikiem. Żeby jednak coś w życiu osiągnąć, czasami trzeba zaryzykować.

- Niewątpliwie - przytaknął Zwoliński. - Gdybym był sam, nie wahałbym się ani chwili, ale mam rodzinę. Już mi grozili...

Komisarz skinął głową.

- Wiem. Mówił mi pan. Mogę jednak pana zapewnić, że otoczmy pańską rodzinę troskliwą opieką. Oddeleguję specjalnie przeszkolonych ludzi, którzy dzień i noc będą czuwali nad bezpieczeństwem pańskiej żony i pańskich dzieci. Pod tym względem może pan być najzupełniej spokojny.

- Więc mam lecieć do Rzymu? - spytał Zwoliński.

- Tak. W pierwszej kolejności rozejrzy się pan na terenie Italii. Niedawno otrzymałem poufne wiadomości, że ten międzynarodowy gang posiada swoje agendy w Rzymie, w Mediolanie, w Neapolu i w Palermo. O ile dobrze pamiętam, to kiedyś wspominał pan o swoich kontaktach z włoską policją.

- To prawda - przytaknął Zwoliński. — Mam tam serdecznego przyjaciela, który pracuje w Rzymie w policji kryminalnej, w specjalnej sekcji wyspecjalizowanej w walce z narkotykami.

- No widzi pan - ucieszył się komisarz. - To się przecież fantastycznie składa. Będzie pan miał znakomite oparcie dla swojej działalności. Niezależnie od tego nasze władze nawiążą kontakt z włoską policją oraz z włoskim Ministerstwem Spraw Wewnętrznych i będzie pan tam miał zapewnioną daleko idącą pomoc. A po spenetrowaniu terenu włoskiego przetrzuci się pan do Nowego Jorku.

- Ale właściwie do czego ja jestem potrzebny policji włoskiej i amerykańskiej? - spytał Zwoliński. - Chyba oni beze mnie potrafią sobie jakoś poradzić.

Komisarz uśmiechnął się.

- Zasadniczo pytanie najzupełniej logiczne. Ale zdaje się, że panu już wspominałem, że Interpol

potrzebuje specjalisty od narkotyków, który władałby biegle językiem włoskim, francuskim, angielskim i polskim. Pan spełnia te wszystkie wymagania. I dlatego... Jestem przekonany, że pan sobie doskonale poradzi i że nie będzie żadnych poważniejszych komplikacji.

Zwoliński potrząsnął głową.

- Mam wrażenie, że pan komisarz stał się nagle ogromnym optymistą. Ja osobiście uważam, że komplikacje na pewno będą, i to bardzo poważne.

Komisarz znowu się uśmiechnął.

- Usiłuję dodać panu odwagi i namówić pana do nawiązania tej współpracy z Interpolem. Myślę, że się pan jednak zdecyduje.

- Jutro dam wiążącą odpowiedź - powiedział Zwoliński. - Muszę porozmawiać z moją rodziną.

- Ależ oczywiście, oczywiście - przytaknął skwapliwie komisarz. - Nie ma takiego szalonego pośpiechu. Do jutra możemy z tym poczekać. I jeszcze raz podkreślam, że pańska rodzina pozostanie tutaj pod moją osobistą opieką.

Wieczorem odbyła się narada rodzinna.

- Muszę z wami poważnie pomówić - zaczął Zwoliński. - Zaproponowano mi ścisłą współpracę z Interpolem.

- Narkotyki! - wykrzyknął Ludwik.

- Nie przerywaj - zgromił go ojciec. - Zebrałem was tutaj w tym celu, żebyśmy się wspólnie naradzili, czy mam przyjąć tę propozycję.

- Błagam cię, Pawle, nie mieszaj się do Interpolu - powiedziała zdecydowanie Laura. - To są bardzo niebezpieczne sprawy.

- Ale co też mama? - odezwał się znowu Ludwik. - Oczywiście, niech tata pracuje w Interpolu. To pasjonujące.

- Myślę, że to dla taty wielka szansa - wtrąciła się do rozmowy milcząca do tej pory Elżunia. - To nie jest, mamusiu, takie niebezpieczne, jak się zdaje. Nie należy tych rzeczy wyolbrzymiać.

- Akcja, do której mam być delegowany, przedstawia niejaki niebezpieczeństwo - powiedział oględnie Zwoliński. -Ale to niebezpieczeństwo groźniejsze jest dla was aniżeli dla mnie. Dlatego zdecydowałem się na tę szczerą rozmowę z wami. Proszę was oczywiście o zachowanie całkowitej tajemnicy. To wszystko, co tutaj powiemy, nie powinno wyjść poza ściany tego pokoju, nikt, absolutnie nikt, nie może się dowiedzieć, o czym żeśmy tu mówili. Czy mi to przyrzekacie?

- Przyrzekamy - zawołali zgodnym chórem Ludwik i Elżunia.

- Błagam cię, Pawle, nie mieszaj się do Interpolu - powtórzyła Laura. -I bez tego już przeżyłam niejedną bezsenłą noc.

- Co nam może zagrażać? — spytała Elżunia.

- Z powodu mojej działalności mogą chcieć się mścić na was.

- Mafia! - wykrzyknął znowu Ludwik, a ciemne oczy mu zabłyśły.

- Przestań - zmitygował syna Zwoliński. - Mafia, nie-mafia, ale o was się boję. Akty terroru są w tej chwili na porządku dziennym.

- Tato! - Ludwik był najwyraźniej podekscytowany. -Nie potrzebujesz się o nas bać. Oboje trenujemy boks, judo, karate. Pamiętaj, jak w zeszłym tygodniu Elżbieta rozłożyła tego pijaka, który ją zaczepiał.

- Bo był pijany - uśmiechnął się Zwoliński.

- Z trzeźwym także by sobie poradziła. Nie ma strachu.

-I z dwoma bym sobie poradziła - odezwała się Elżbieta. -Jestem bardzo szybka.

- Przestańcie się przechwalać - zgromiła dzieci pani Laura. - Nie czas teraz na to. Ojciec mówi o zbyt poważnych sprawach.

- Musiałem wam to wszystko powiedzieć - ciągnął dalej Zwoliński - żeby was ostrzec i żeby was uwrażliwić na ewentualne niebezpieczeństwo. A więc przede wszystkim nie wolno wam nawiązywać żadnych przygodnych znajomości, pod

żadnym pozorem nie wsiadajcie do obcego wozu, choćby to wam proponował niezwykle miły pan albo urocza pani. Pamiętajcie, że w tego rodzaju sytuacjach zawsze działają ludzie wytworni, dobrze wychowani, o ujmujących manierach, wzbudzający zaufanie.

- Zmyłkowe oprychy - uzupełnił Ludwik.

- O właśnie - przytaknął Zwoliński. - Bardzo dobrze to określiłeś. Przesztyca nigdy nie wygląda na przestępcę. Nie wolno dać się zwieść pozorom. Nie wpuszczajcie także nikogo obcego do domu, choćby ten ktoś twierdził, że ma dla was jakąś wiadomość ode mnie. Nie przyjmujcie również żadnych paczek.

- Na miłość boską, Pawle - powiedziała Laura. - Czy musisz się w to mieszać? Czy nie może pozostać wszystko tak, jak było?

Zwoliński z przepraszającym uśmiechem spojrział na żonę.

- Widzisz, kochanie... oczywiście, że mógłbym nie przyjąć tej propozycji. Nikt mnie nie zmusza, nikt nie

wywiera na mnie żadnej presji. Ale to dla mnie ogromna, życiowa szansa. Zdajesz sobie chyba sprawę, co to znaczy wejść do Interpolu. Jeżeli wywiążę się z powierzonej mi misji, to nie jest wykluczone, że Interpol zaangażuje mnie jako swojego agenta. To jest kariera na skalę międzynarodową.

- Ależ oczywiście! - wykrzyknął z zapalem Ludwik. -Mamo! Nie odradzaj tacie. My chcemy, żeby tata pracował w Interpolu.

- Tak, tak - poparła brata Elżunia. - Chcemy, żeby tata pracował w Interpolu.

- No cóż... - powiedziała cicho pani Laura. - Widzę, że na naradzie rodzinnej zostałam przegłosowana.

Do późna w nocy Zwoliński rozmawiał z żoną.

- Nie należy przesadnie tych spraw demonizować -mówił spokojnym, łagodnym głosem. - Wiesz, że jestem człowiekiem rozsądnym i że posiadam duże doświadczenie. Na pewno, bez wyraźnej potrzeby, nie będę się narażał na niebezpieczeństwo. A jeśli chodzi o was, to komisarz Berger zapewni wam fachową opiekę.

Pani Laura pokiwała głową.

- Usiłujesz mnie uspokoić, dodać otuchy, aleja doskonale się



orientuję, co to znaczy mafia i walka z handlarzami narkotyków. A przecież do tego chcą cię wciągnąć. Boję się, Pawle, bardzo się boję o ciebie i

o nasze dzieci. Tyle się teraz czyta o aktach terroru, o porwaniach, morderstwach...

- Powtarzam ci, że będziecie pod stałą opieką najlepszych fachowców z Quai des Orfèvres. Trzeba zachować wszelką możliwą ostrożność, ale nie należy wyolbrzymiać niebezpieczeństwa. Jakby się człowiek wszystkiego bał, to nigdy by do niczego nie doszedł.

- Nie chcę stawać na drodze do twojej kariery - westchnęła pani Laura. - Ale to jest decyzja, która będzie mnie kosztowała wiele bezsennych nocy. Być może, że jestem trochę przewrażliwiona.

- Zaufaj mi, Lauro, i bądź dobrej myśli. Objęła go za szyję.

- Ufam ci, Pawle. Gdybym ci nie ufała, to nie zostałabym twoją żoną.

Przytulił ją.

- Wszystko będzie dobrze. Przekonasz się. Bądź dzielna.

\*\*\*

- Proszę zgasić papierosy i zapiąć pasy.

Po chwili potężny odrzutowiec zadygotał na pasie startowym i potoczył się z przyśpieszoną szybkością. Następnie podwozie wraz z kołami zniknęło w kadłubie samolotu. Stu kilkudziesięciu pasażerów oderwało się od francuskiej ziemi.

Zwoliński usadowił się wygodnie w swoim fotelu i wyjął z kieszeni gazetę. Nie mógł się jednak skupić na lekturze. Myślami ciągle wracał do rozmowy z Laurą. Wiedział doskonale, że pakuje się w niesłychanie ryzykowną imprezę i że zarówno jemu, jak i jego rodzinie może grozić ogromne niebezpieczeństwo. O siebie się nie bał. Miał za sobą wieloletnie doświadczenie, świetnie strzelał z pistoletu, był swego czasu dobrym bokserem wagi półciężkiej, a ostatnio z zapalem trenował judo i karate. A poza tym będzie miał przecież daleko idącą pomoc policji włoskiej i amerykańskiej. Ale dzieci... Czy zachowają się rozsądnie? Czy będą umiały w jakiejś niewyraźnej sytuacji postąpić z należytą ostrożnością?

Czy Ludwikowi nagle nie przyjdzie do głowy, żeby zostać bohaterem? Właściwie nie powinien był mówić dzieciom o swojej współpracy z Interpolem i o związanych z tym niebezpieczeństwach, ale musiał uwrażliwić zarówno Laurę, jak i dzieci na te właśnie niebezpieczeństwa. Nie wątpił, że zachowają całkowitą dyskrecję. Pod tym względem miał do nich zaufanie. Miał również nadzieję, że wykażą niezbędną ostrożność. Ludwik to wprawdzie chłopak porywczy, odznaczający się wybuchowym temperamentem, ale w tak poważnej sprawie chyba będzie postępował rozsądnie i zrezygnuje z roli bohatera z telewizyjnego serialu.

Odezwał się głos w głośniku. To kapitan, prowadzący samolot, przedstawiał się swoim podopiecznym oraz podawał wysokość, na jakiej się znajdują, oraz szybkość, z jaką się poruszają. Następnie stewardesy zaczęły roznosić apetycznie wyglądające posiłki.

Zwoliński jadł automatycznie, nie czując smaku tego, co je. W dalszym ciągu rozmyślał o Laurze i o dzieciach. Robił sobie wyrzuty, że dla swojej kariery poświęca bezpieczeństwo rodziny. Ale propozycja komisarza Bergera była tak kusząca, że nie umiał się jej oprzeć. Dzieci zdecydowanie poparły go. Laura w rezultacie skapitulowała i przestała go błagać, żeby się w to nie mieszał.

Stewardesa zabrała tackę z resztkami jedzenia i spytała z czarującym uśmiechem, czy czegoś nie potrzebuje, czy nie ma na przykład ochoty na kieliszek wina lub koniaku.

Podziękował i w dalszym ciągu próbował się usprawiedliwiać sam przed sobą z podjętej decyzji.

„Przecież nie tylko po to lecę do Rzymu, żeby zostać w przyszłości agentem Interpolu - myślał. - Przecież chodzi mi także o mordercę Roberta, który miał niewątpliwie jakieś powiązania

na terenie Włoch.” Wszystkie te jednak argumenty niezupełnie trafiały mu do przekonania. Mógł niewątpliwie, nie angażując się w tę współpracę z Interpolem, wziąć urlop i polecieć do Rzymu. To nie był żaden problem. Ale z drugiej strony, jeżeli Robert miał jednak coś wspólnego z narkotykami,

to ta akcja znakomicie ułatwi odnalezienie jego zabójcy. Wszystko to było niesłychanie skomplikowane i nie pozwalało swobodniej odetchnąć.

I znowu ukazał się świetlny napis: „Zgasić papierosy. Zapiąć pasy”. Samolot obniżył lot i zbliżał się do pasa startowego. Przez okienka widać było panoramę Wiecznego Miasta.

Na lotnisku Zwolińskiego powitał jego dawny przyjaciel, Antonio Camato, który pracował w policji kryminalnej, w specjalnej sekcji, wyspecjalizowanej w walce z handlarzami narkotyków. Średniego wzrostu, bardzo szczupły był niezmiernie ruchliwy, niemogący usiedzieć spokojnie na jednym miejscu. Zasypał przyjaciela potokiem powitalnych serdeczności, wypowiedzianych, a raczej wykrzykiwanych, z szybkością karabina maszynowego.

- Carissimo amico! Come sono nontento di rivederi. Da tanto tempo che non ci vediamo. Sono veramente felice! Come stai? Come vai? Hai un aspetto fantastico. Sempre giovane, sempre in gamba!

Zwoliński, oszołomiony ogromną dawką entuzjastycznych wykrzykników, z wesołym uśmiechem wyściskał przyjaciela, który wreszcie dopuścił go do głosu.

- A jak tobie się powodzi, caro Antonio. Wyglądasz tak, jakbyś jeszcze zeszczupłał. Co ty wyprawiasz? Odchudzasz się, czy co?

- Ale skąd - Antonio pogłodził się po zapadniętym brzuchu. - Po prostu taka moja uroda. Jestem zupełnie zdrow, płuca zdrowe, nerki zdrowe, przewód pokarmowy wspaniały, serce zdrowe, jem za trzech, a przytyć nie mogę. Lekarze twierdzą, że u mnie zachodzi nadmierne spalanie.

- Może powinieneś żyć na mniejszych obrotach - zaproponował Zwoliński.

Antonio roześmiał się.

- Na mniejszych obrotach? To się tak łatwo mówi. Wiesz doskonale, jak w naszym fachu „mniejsze obroty” często prowadzą prosto na cmentarz. Ale dajmy już temu spokój. Mamy dużo ciekawszych spraw do omówienia aniżeli mój żołądek. Na razie zabieram cię do siebie na obiad, a potem

odwiozę cię do hotelu. Pokój zarezerwowany.

- Dziękuję ci - powiedział Zwoliński - ale jadłem w samolocie. Nie jestem głodny.

- Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi. Zjesz z nami pasta-sciuttę. Nikt w całym Rzymie nie przyrządza tak pasta-sciutty jak moja Maria.

Kiedy siedzieli już w małym fiacie, Zwoliński spytał:

- Skąd wiedziałeś, że ja przylatuję?

- Jak to skąd? - zdumiał się Antonio. - Zostaliśmy przecież zawiadomieni przez Paryż. Prócz tego otrzymaliśmy specjalne instrukcje z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych. Twój przyjazd tutaj to w pewnym sensie sensacja.

- Wolałbym, żeby ta sensacja nie była zbyt głośna - uśmiechnął się Zwoliński. — W tej chwili nie potrzebna mi reklama, a wprost przeciwnie - może mi zaszkodzić.

- Nie niepokój się - uspokoił go Antonio. - Tak sobie powiedziałem. Ta sprawa traktowanajest u nas jako ściśle tajna i o twoim przyjeździe wie zaledwie kilka osób.

- To bardzo dobrze. Im mniej ludzi wie o moim przylocie do Rzymu, tym lepiej. Czy sądzisz, że przedstawiciel Interpolu nawiąże ze mną kontakt?

Antonio potrzęsnał głową.

- Raczej nie. Oni niechętnie się ujawniają. Wolą pozostawać w cieniu możliwie jak najdłużej. Kontakt z Interpolem będziesz miał za naszym pośrednictwem, a ściślej biorąc, zapewne za moim pośrednictwem. Przynajmniej na razie. Później zobaczymy, jak to się ułoży.

- Nie mają do mnie zaufania - uśmiechnął się Zwoliński.

- To nie to, carissimo, to nie to — zaprzeczył z ożywieniem Antonio. - Oni tak zawsze na początku...

- Mniejsza z tym - przerwał Zwoliński. - Nieważne. Antonio mieszkał w dzielnicy Monteverde. Kiedyś to

była oaza zieleni, dużo ogrodów, dużo drzew, dużo skwerów. Obecnie wszystko zostało przytłoczone inwazją budynków mieszkalnych i Monteverde straciło swój dawny charakter, tak jak większość podobnych dzielnic na całym świecie. Mury, beton, asfalt zniszczyły zielen, przygniotły ludzi.

Zatrzymali się przed niedużym, piętrowym domkiem, stojącym w mikroskopijnym ogródku.

- Porca miseria! - zaklął Antonio i włączył bieg.

- Co się stało? - zdziwił się Zwoliński. - Myślałem, że to twój dom.

- Tak. To mój dom. Ale kręci się tutaj taki podejrzan typ. Lepiej, żeby cię nie widział. Jedziemy do hotelu W restauracji zjemy obiad. Aha... zapomniałem ci powiedzieć, że na naszym terenie nie będziesz występował pod własnym nazwiskiem. Mam dla ciebie paszport i wszystkie potrzebne dokumenty. Od dzisiaj nazywasz się Gaston Tremont, francuski turysta.

- Dlaczego nie zrobiono tego w Paryżu? - zdziwił się Zwoliński.

Antonio wzruszył ramionami.

- Boja wiem. Najwidoczniej uznano, że tak będzie zrzęcznie. Twojego wyjazdu z Paryża nie da się ukryć. Przylacieś do Rzymu jako Zwoliński i tutaj wszelki ślad po tobie zagaśnie.

Hotel Diana nie należał do luksusowych hoteli, ale był zupełnie przyzwoity. Centrum miasta, niedaleko Stazio-ne Termini. Pokój wygodny, starannie urządzone.

Zwoliński rozpakował się, wziął prysznic, zmienił ubranie i odświeżony spojrzął z uśmiechem na przyjaciela.

- Nie masz pojęcia, jak się cieszę, że cię znowu widzę, carissimo. Przypominają mi się dawne młode lata.

- To były czasy - westchnął Antonio. - Młodość, młodość. Czas ucieka z szaloną szybkością. Tempus fugit. Gdzie pójdziemy na obiad? Jeżeli mam być szczerzy, to jestem głodny.

- Zapomnieliśmy, że twoja żona czeka z obiadem - powiedział Zwoliński. - Musisz ją zawiadomić.

- Oczywiście. Zadzwonię do niej z automatu. Od paru dni przed moim domem kręci się jakiś niewyraźny typ. Wolałem nie ryzykować.

- Czego może chcieć ten facet? - spytał Zwoliński.

- Diabli go wiedzą. Może to jakiś szpicel wysłany przez handlarzy narkotyków.

- Czy sądzisz, że na waszym terenie działa sycylijska mafia?

- Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. I na pewno mają

powiązania z mafią amerykańską.

Zwoliński usiadł i zapalił papierosa.

- Właściwie nie bardzo wiem, jaka ma być w tym wszystkim moja rola. Do czego ja jestem wam potrzebny? Ty jesteś przecież sto razy lepiej zorientowany w tych sprawach aniżeli ja.

Antonio przysunął sobie krzesło, usiadł i także zapalił.

- Widzisz, Paolo... Interpol organizuje zakrojoną na dużą skalę akcję likwidacji międzynarodowego gangu handlarzy narkotyków. Do tego potrzebni są ludzie ze specjalnymi kwalifikacjami, a ty takie kwalifikacje posiadasz. Poza tym mówisz biegle po francusku, po włosku, po angielsku i po polsku. Nie chcę ci robić przykrości, ale w tym gangu biorą udział także i twoi rodacy, na terenie Italii i na terenie Stanów Zjednoczonych.

- Tak. To bardzo smutne - pokiwał głową Zwoliński. - Ale nie ma rady. W każdym kraju nie brak łajdaków, szczególnie w dzisiejszych czasach.

- To prawda - przytaknął Antonio. - Po ostatniej wojnie wzrosła na świecie przestępczość w sposób zatrważający. A władze ciągle zbyt pobłaźliwie patrzą na terror, na zbrodnicze gangi i na handel narkotykami. U nas, w Italii, bardzo zaszkodziło zniesienie kary śmierci. Przecież istnieją całe tysiące osobników, dla których kara śmierci jest właściwie jedynym przekonującym argumentem. Ale może jednak poszlibyśmy coś przekazać, bo ginę z braku pastasciutty...

Poszli do pobliskiej skromnej trattorii. Zjedli tradycyjną pastasciuttę, a na drugie danie wątróbkę z frytkami. Do tego wypili butelkę białego wina, dobrze schłodzonego.

Dopiero przy kawie Zwoliński opowiedział o zamordowaniu Roberta. Antonio przejął się tym bardzo.

- To straszne, to okropne, to tragedia, serdecznie ci współczuję, caro amico. Serdecznie ci współczuję. Taki przecież jeszcze młody człowiek. Komu mógł się aż tak narazić?

Zwoliński opowiadał o wycieczce samochodowej, którą zorganizował Zenon Gilner, a w której brał udział Robert. Zrelacjonował także swój pobyt w Warszawie i rozmowy z

Górniakiem.

Antonio pokiwał głową.

- Tak, tak... Z tego, co mówisz, wynika, że ten Gilner handluje narkotykami.

- Niewątpliwie. Przewozi narkotyki w samochodach, specjalnie przystosowanych do tego celu. Bardzo pomysłowe skrytki. Oglądałem.

-I częściowo niektóre partie narkotyków przerzucane są przez teren Polski.

- Tak. Ten „towar” przychodzi ze Wschodu, a następnie idzie dalej na Zachód, Francja, Szwajcaria, Belgia, Szwecja, a nawet Stany Zjednoczone. Samochodami, samolotami, Pociągami, jachtami. Wszystkimi możliwymi środkami lokomocji. To jest akcja zakrojona na szeroką skalę.

- Na bardzo szeroką skalę - przytaknął Antonio. -Niełatwo jest walczyć z tymi gangsterami.

Zwoliński skończył pić kawę i zapalił papierosa. - Senti, amico... Czyja jednak nie powinienem się za-meldować u was w kweturze? Antonio potrząsnął głową. Na razie nie. Chcemy zachować twoje całkowite in-cognito. A w kweturze musiałbyś się zetknąć z funkcjo-nariuszami. Chociażby przechodząc korytarzem. Zresztą nie będę ukrywał. Muszę przecież być z tobą zupełnie szczery. I u nas, niestety, także zdarzają się przecieki. I nie tylko u nas, w policji. Takie skandaliczne wypadki mają miejsce na najwyższych szczeblach ministerialnych.

I Wiem - powiedział Zwoliński. - Mafia ma szeroko rozpostarte macki. Te wszystkie gangi, związane z mafią, rozporządzają nieograniczonymi możliwościami finansowymi, mogą proponować olbrzymie łapówki. A pieniądz, w takiej czy innej formie, od początku świata był rzeczą niesłychanie kuszącą. Przecież jest tajemnicą poliszynela, że trafia ma swoich ludzi nawet i w parlamentach. Antonio westchnął. To bardzo smutne, co mówisz, ale to oczywiście szcze-ra Prawda. Dlatego walka z handlarzami narkotyków jest taka trudna. Nigdy nie wiesz, kto z twojego najbliższego otoczenia jest przekupiony przez mafię. Ale uważam już ten temat za

wyczerpany. Opowiedz mi, Paolo, coś o swo-jej rodzinie. Jak tam się wam żyje w tym Paryżu?

Przez pewien czas rozmawiali na tematy rodzinne, zwierając się wzajemnie ze swoich zmartwień, kłopotów, niepokoju. Zwoliński opowiedział o tym, jak próbowano go zabić, a następnie jak ktoś telefonował do niego z ostrzeżeniem, dając do zrozumienia, że swoją działalnością naraża na

niebezpieczeństwo żonę i dzieci.

- Nie bój się, Paolo - pocieszył go Antonio. - Oni nie tak zaraz decydują się na porwanie czy morderstwo. Każde takie porwanie komplikuje sprawę i ogromnie utrudnia im robotę. To jest ostateczność. Raczej wolą tego unikać. Porywanie dzieci bogaczy dla uzyskania okupu jest przeważnie dziełem terrorystów mniejszej klasy. Poza tym, jak powiedziałeś, twoja rodzina pozostaje pod solidną opieką.

-To prawda - przytaknął Zwoliński. - Komisarz Berger jest bardzo solidnym człowiekiem i nie mam wątpliwości, że dotrzyma danego przyrzeczenia.

Wypili jeszcze po jednym koniaku i poprosili o rachunek. Kiedy się żegnali, Zwoliński powiedział:

- Prawdopodobnie będę potrzebował wozu.

- Pomyśleliśmy o tym. Oficjalnie wynajmiesz. Co ci bardziej odpowiada volvo, bmw czy alfa romeo?

- Może być alfa romeo, pod warunkiem że bez żadnego defektu.

- Nie obawiaj się. Sprawność wozu będzie bez zarzutu. Wiem przecież, że to czasem decyduje o powodzeniu akcji, a nawet i o życiu.

Nazajutrz z samego rana Antonio pojawił się w hotelu. Po serdecznym przywitaniu, na które zużył sporo afektowanych słów, wyjął z bocznej kieszeni marynarki dużą, szarą kopertę.

- Przyniosłem ci kilka zdjęć - powiedział, rozkładając fotografie na stoliku. - To są twarzyczki ludzi, których mamy tu pod obserwacją. Na razie nic im konkretnego

zarzucić nie można, ale istnieją pewne poszlaki, że maczają palce w handlu narkotykami. Może któryś z tych przystojniaków wyda ci się kimś znajomym.



Zwoliński zaczął, bez specjalnego zainteresowania, przeglądać zdjęcia. Nagle zatrzymał się i uderzył dłonią w leżącą na stoliku fotografię.

- Ależ to Gilner!

- Ten z brodą?

- Tak. Tylko dawniej nie nosił brody. Zapamiętał i brodę, i wąsy.

- To ten, który zorganizował tę wycieczkę samochodową, w której wziął udział twój brat?

- Ten sam. Zenon Gilner. - Jesteś pewien?

- Nie mam wątpliwości. Takiej mordy tak łatwo się nie zapomina.

- Rzeczywiście - przyznał Antonio. - I we mnie ta buzia nie wzbudza zbyt pozytywnych uczuć. Obecnie ten facet nazywa się Aldo Falconi.

- Udaje Włocha?

- Udaje Sycylińczyka.

- Musi dobrze mówić po włosku.

- Znakomicie. Nawet z sycylijskim akcentem.

- Czym się zajmuje?

- Występuje w roli reżysera filmowego. Kręca jakiś sensacyjny film na temat handlu narkotykami. Zwoliński podniósł brwi do góry.

- Porca miseria. Dobrze pomyślane. Doskonale pomyślane.

Antonio zapalił papierosa, zaciągnął się i wypuścił dym nozdrzami.

- I ty stanowczo twierdzisz, że ten Gilner vel Falconi handluje narkotykami.

Zwoliński skinął głową.

- Mam zupełnie realne podstawy, żeby tak twierdzić. Jak ci już wspomniałem, przerzucał narkotyki w samochodach, specjalnie przystosowanych do takiej akcji.

- Gdzie się z nim zetknąłeś?

- W Paryżu. Przyjechał wtedy samochodem z moim bratem i z jakimś Korsykaninem z żoną.

Antonio miał zakłopotaną minę. Wahał się.

- Wybacz, Paolo, że zadam ci niezbyt taktowne pytanie.

Zwoliński spojrział zdziwiony.

- Pytaj. Śmiało.

- Widzisz... Chciałbym cię zapytać, czy przypuszczasz, że twój brat był zamieszany w narkotyki.

Zwoliński bezradnym ruchem rozłożył ręce.

- Nie mogę na ten temat powiedzieć nic pewnego. Sam się nad tym zastanawiałem. Nie sędzę, żeby Robert miał jakieś kontakty z handlarzami narkotyków. Był człowiekiem bardzo lekkomyślnym, ale chyba nie do tego stopnia.

- Bo gdyby miał jakieś powiązania z handlarzami narkotyków - powiedział Antonio - to łatwiej byłoby

wytłumaczyć jego tragiczną śmierć. Porachunki między poszczególnymi gangami, a nawet w łonie jednego i tego samego gangu są na porządku dziennym. Policja nawet nie bardzo się do tego miesza i niezbyt gorliwie tropi zabójców gangstera. Jest to raczej działanie pozorne.

Zwoliński pokręcił głową.

- Nie sędzę, żeby Robert był zamieszany w handel narkotykami. Wprawdzie pod podłogą jego pracowni znaleziono większą partię heroiny, ale wszystko wskazuje na to, że należała ona do poprzedniego użytkownika tej pracowni, niejakiego Gustawa Biernackiego.

- Biernacki... Biernacki... - powtórzył Antonio i potarł dłonią czoło, jakby usiłował coś sobie przypomnieć.

Czekaj... czekaj... Coś mi chodzi po głowie. Ależ tak... Chyba się nie mylę. To jeden z czołowych przedstawicieli gangu, działający obecnie na terenie Nowego Jorku.

- Jesteś doskonale poinformowany - powiedział z uznaniem Zwoliński. - Rzeczywiście Biernacki przebywa obecnie w Stanach Zjednoczonych. Prawdopodobnie zmienił nazwisko, ale na pewno nie zmienił swojej podłej profesji.

- Czy masz zamiar złożyć mu wizytę?

- Niewykluczone.

Antonio nie wyglądał na zachwyconego tym projektem.

- Bądź bardzo ostrożny, amico. Te amerykańskie gangi są chyba niebezpieczniejsze od naszych.

Zwoliński machnął ręką.

- Jeden diabeł. Ale żeby cię uspokoić, mogę cię zapewnić, że starannie dbam o całość własnej skóry i że jestem ciągle bardzo szybki.

- Masz pistolet?

- Oczywiście. Wypróbowany. Znakomicie pasuje do mojej dłoni. Pochodzę tu może na strzelnicę. Tak dla wprawy.

- To nigdy nie zaszkodzi. A jak masz zamiar zabrać się do poszukiwania zabójcy twojego brata?

- To dosyć skomplikowana sprawa - westchnął Zwoliński. - Roberta zamordowano 20 października, a w jego pracowni znaleziono kawałek włoskiej gazety „II Messagge-ro” z 18 października. Dlatego oficer prowadzący śledztwo przypuszcza, że mordercą może być ewentualnie Włoch.

- Odciski palców? - spytał Antonio.

- Na zatłuszczonej gazecie podobno bardzo wyraźne i pokrywające się z liniami papilarnymi znalezionymi na kieliszku z niedopitym ginem.

- Co przedsięwzięła warszawska policja?

- Spisali wszystkich Włochów, którzy byli w tym czasie w Warszawie, wszystkich przyjezdnych Włochów. Nie są skłonni podejrzewać urzędników ambasady, chociaż jeżeli w grę wchodziłaby kobieta...

- Czy twój brat był kobieciarzem?

- Przesadnie lubił te rzeczy. Cieszył się zawsze ogromnym powodzeniem u kobiet.

- Zazdrość może być zawsze motywem zbrodni - powiedział Antonio. - Czy ten twój znajomy polski policjant przysłał ci nazwiska tych Włochów, którzy w czasie zabójstwa twego brata przebywali w Warszawie?

- Tak. Kapitan Górniak przysłał mi taki wykaz i jednocześnie wytypował tych, których ewentualnie można by podejrzewać ze względu na niezbyt sprecyzowany cel przyjazdu do Warszawy.

- Masz może przy sobie ten spis?

Zwoliński wyjął z walizki cały plik kartek, pokrytych maszynowym pismem.

- Przejrzyj to sobie.

Antonio czytał bardzo uważnie. W pewnym momencie

pokazał palcem.

- Ten mógłby nas ewentualnie interesować.

- Raul Pavani? -Tak.

- Kto to taki?

- Kręci się w środowisku artystycznym. Organizuje wystawy obrazów. Zapewne handluje obrazami. Nie cieszy się najlepszą opinią. Powiadają, że jest utrzymankiem bardzo bogatej kobiety. Zresztą słyszałem o nim zupełnie przypadkowo od mojej siostry, która, jak wiesz, jest malarką. Niespecjalnie się nim interesowałem, ale to ktoś z branży twojego brata.

- To bardzo ciekawe, co mówisz - zainteresował się Zwoliński. - Mógłby ten facet pasować, tym bardziej że

Robert po przyjeździe do Rzymu otrzymał większą sumę pieniędzy.

Antonio poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Wiesz, co ci powiem, carissimó?

- Jeszcze nie wiem, ale pewnie za chwilę będę wiedział.

- Powiem ci rzecz taką - ciągnął dalej Antonio. - Musisz natychmiast porozumieć się z Warszawą i poprosić tego twojego kapitana, żeby ci przysłał odciski palców, znalezione w pracowni twojego brata, ze specjalnym uwzględnieniem linii papilarnych, pozostawionych na gazecie.

- Czytasz w moich myślach - uśmiechnął się Zwoliński. - Właśnie miałem to powiedzieć. Czy sądzisz, że uda ci się zdobyć odciski palców tego impresaria artystów?

- Oczywiście. To nie żaden problem. Napuszczę na niego któregoś z naszych ludzi albo może jakąś atrakcyjną dziewczynę. Pójdą do kawiarni. Ona poprosi go, żeby jej przyniósł papierosy i w międzyczasie zamieni szklanki.

- Myślisz, że się da na to nabrać taki cwaniak? Antonio roześmiał się.

- Na ładną dziewczynę daje się nabrać nawet najbardziej przebiegły mafioso.

- Czy sądzisz, że z łatwością odnajdziesz Gilnera vel Falconiego?

- Nie ulega wątpliwości. Mówiłem ci przecież, że zaangażował się w kręcenie filmu. Zawsze mogę go znaleźć albo

w studio, albo gdzieś w plenerze. O ile się orientuję, nie przychodzi mu na myśl, że jest śledzony. Byłoby oczywiście lepiej, żeby cię nie zobaczył.

- Zastanowię się - powiedział z namysłem Zwoliński. - Być może, że ja spróbuję odnowić tę znajomość.

- Bądź ostrożny. Nie popsuj nam roboty.

- Nie obawiaj się.

Przez następnych kilka dni Zwoliński badał teren. W charakterze turysty zwiedzał okolice Rzymu, które zresztą znał bardzo dobrze. Pojechał do Frascati, do Grottafer-rata, do Marino, do Castel Gandolfo, wreszcie zatrzymał się na dwa dni w Ostii, gdzie bardzo uważnie przyglądał się jachtom, zakotwiczonym w specjalnej przystani. W międzyczasie Antonio zdobył odciski palców i Gilnera, i Raula Pavaniego. Czekali na wiadomość z Warszawy.

Wreszcie nadeszły wspaniałe wizerunki linii papilarnych. Okazało się, że odciski palców, pozostawione na gazecie, na kieliszku i na butelce z ginem pasują jak ulał do linii papilarnych Raula Pawaniego.

- Na co czekasz? Aresztuj go - gorączkował się Zwoliński.

- Calma, calma, amico - uspakajał go Antonio. - Doskonale rozumiem twoje podniecenie, ale na razie nie możemy zatrzymać tego człowieka. Nie mamy absolutnie żadnych dowodów jego winy. Jeżeli nawet Raul Pavani odwiedził w pracowni twojego brata, to jeszcze nie dowodzi, że go zamordował. Mógł po prostu

omawiać z nim jakieś sprawy, związane z jego działalnością artystyczną. Mógł na przykład chcieć nabyć jakiś jego obraz.

- Masz rację - powiedział Zwoliński, który ochłonął z pierwszego zdenerwowania. - Wybacz moje przedwczesne pragnienie działania, ale ta wiadomość z Warszawy przyćmiła mi na chwilę zdolność logicznego myślenia. Rzecz jasna, że w tej chwili musisz ograniczyć się jedynie do przesłuchania Raula Pawaniego.

Antonio pokręcił głową z powątpiewaniem.

- Tak się składa, że nawet nie mogę go przesłuchać.

- A to dlaczego? - zdziwił się Zwoliński.

- Widzisz... sprawa się trochę komplikuje. Otrzymałem wczoraj poufną wiadomość, że Parani jest zamieszany w handel narkotykami. W tej sytuacji musimy go obserwować i nie spłoszyć żadnymi przesłuchaniami.

- Słusznie - zgodził się Zwoliński. - Sądziłem, że facet interesuje się wyłącznie dziełami sztuki.

- Okazuje się, że przy dobrych chęciach można połączyć dzieła sztuki z narkotykami.

Zwoliński spojrział zdziwiony.

- Intrygujesz mnie.

-Ja sam siebie intryguję - uśmiechnął się Antonio. -Z wiadomości, którą mi przekazał jeden z moich zaufanych konfidentów, wynika, że Raul Pavani organizuje w Nowym Jorku wystawę obrazów niejakiego Armanda Castiglioniego.

- Ale co to ma wspólnego z narkotykami?

- Chwileczkę, carissimo. Nie bądź taki w gorącej wodzie kąpany. Otóż... Wyobraź sobie, że podobno wpadli na pomysł, żeby przemycić do Stanów Zjednoczonych większą partię narkotyków w ramach.

- W ramach? - powtórzył Zwoliński.

- Właśnie. W ramach. I w ten sposób w Nowym Jorku wystawa obrazów będzie połączona z wystawą narkotyków. Dobry numer, co?

- Niesłychane - powiedział Zwoliński. - Szatański pomysł. Czy to jest pewna wiadomość?

Antonio w bezradnym ruchu rozłożył ręce.

- Wiesz tak samo dobrze jak i ja, carissimo amico, że w tych sprawach nie ma pewnych wiadomości. Zawsze istnieje możliwość, że jakaś informacja, która do nas dociera, zostaje podana w celu odwrócenia

naszej uwagi i skierowania naszej działalności na ślepy tor. Tym niemniej tego rodzaju wiadomości nie mogę lekceważyć. Moi informatorzy to ludzie doświadczeni, wypróbowani, umiejący należycie przeanalizować i ocenić podawaną mi wiadomość.

Zwoliński zapalił papierosa i zaciągnął się dymem.

- Ciekawe, bardzo ciekawe. Bardzo możliwe, że wystawa tych

obrazów nafaszerowanych narkotykami odbędzie się podczas mojej bytności w Nowym Jorku.

- Właśnie - podchwycił Antonio. - To miałem na myśli. Sądzę jednak, że nie będą wieszali obrazów z narkotykami. Raczej rozładują towar z ram przed wystawą.

- Może można by tych cwaniaków nakryć tutaj w Rzymie - zaproponował Zwoliński. - Podczas szykowania obrazów do wysyłki.

Antonio potrząsnął głową.

- To nie wchodzi w rachubę. Interpol chce rozpracować całą organizację. A jeżeli przedsięwzięlibyśmy jakąś energiczniejszą akcję tutaj, to automatycznie zostałaby przerwana łączność z amerykańskim gangiem.

- Bardzo słusznie - przytaknął Zwoliński. - Tutaj trzeba ustalić ludzi, którzy są w to zamieszani, wziąć ich pod ścisłą obserwację i starać się poznać kanały, którymi płynie towar ze Wschodu, wreszcie rozpracować powiązania z innymi krajami.

- Otóż to - powiedział Antonio. - Na razie nie będziemy nikogo niepokoić, nikogo aresztować. Ograniczymy się do roli uważnych obserwatorów. A ty mógłbyś się bliżej zainteresować tym Gilnerem vel Falconim. Może odegrałbyś główną rolę w jego filmie.

Roześmieli się.

- Signor Falconi proszony jest do telefonu... Signor Falconi proszony jest do telefonu...

Odłożył tubę, zeskoczył z wysokiego reżyserskiego stołka i szybkim krokiem poszedł w kierunku oszklonego pomieszczenia, w którym stał telefon.

W słuchawce zadźwięczał energiczny, barytonowy głos.

- Czy signor Falconi?

- Przy aparacie. Słucham?

- Mam dla pana ważne wiadomości z Paryża. Gdzie możemy się spotkać?

- Ale kto mówi?

- Moje nazwisko nic panu nie powie. A poza tym w naszych sferach nie szafuje się nazwiskami, chyba że są to pseudonimy albo nazwiska przybrane.

Chwila ciszy.

- Czy pan mnie słucha, signor Falconi?

- Nie mam zwyczaju rozmawiać ani tym bardziej spotykać się z nieznanymi.

- Popęłiłby pan ogromny błąd, nie spotykając się ze mną. To, co mam panu do zakomunikowania, może bardzo poważnie zaważyć na pańskim losie.

Znowu chwila ciszy.

- Gdzie pan chciałby się ze mną spotkać?

- Proponuję jakieś neutralne miejsce. Może być kawiarnia.

- Która kawiarnia?

- Na przykład ta na Piazza Colonna, pod tymi arkadami.

-Jakja pana poznam?

-Ja pana poznam.

- Zna mnie pan?

- Oczywiście. Z nieznanymi nie rozmawiam przez telefon ani nie spotykam się w kawiarniach.

Zwoliński przyszedł na dziesięć minut przed oznaczoną godziną, zajął stolik i zamówił kawę. Czekał, przerzucając bez zainteresowania gazetę. Jednocześnie bacznie obserwował wszystkich zbliżających się do kawiarni. Wreszcie dostrzegł swoją ofiarę. Zerwał się błyskawicznie i zaszedł go od tyłu.

- Buongiorno, signor Falconi.

Tamten odwrócił się gwałtownie, a na jego twarzy odmalowało się najpierw zdumienie, a potem przerażenie.

- Może usiądziemy - zaproponował Zwoliński. - Zarezerwowałem wygodny stolik, bardzo wygodny. -Mówił ciągle po włosku, niczym nie zdradzając, że spostrzegł zaskoczenie swego rozmówcy.

- Czego pan chce ode mnie?

- Może usiądziemy - powtórzył Zwoliński. - Nie znoszę rozmawiać na stojąco.

Usiedli i Zwoliński zamówił drugą kawę. -Jak to miło spotkać starych znajomych, panie Gilner - powiedział po polsku.

- Nie rozumiem, co pan mówi. Ja nazywam się Aldo Falconi. Zwoliński uśmiechnął się.



- Może przestaniemy bawić się w kotka i myszkę czy też w ciuciubabkę. To dobre dla małych dzieci. Zapłacił pan brodę i wasy i wydaje się panu, że nikt pana nie pozna. Już jeżeli chciał się pan solidnie ucharakteryzować, to trzeba było przeprowadzić operację plastyczną, a i to z liniami papilarnymi byłyby pewne kłopoty. Poznaliśmy się w Paryżu, kiedy pan przyjechał z moim bratem Robertem oraz z tym Korsykaninem Canettim i jego żoną. Pańska twarz utkwiała mi głęboko w pamięci i nie ma mowy o jakimś nieporozumieniu.

Gilner milczał, utkwivszy ponure spojrzenie w twarzy mówiącego.

- Dam panu dobrą radę - ciągnął dalej Zwoliński. -Po pierwsze, niech pan przestanie myśleć o tym pistolecie, który tkwi w kieszeni pańskiej marynarki i zupełnie niepotrzebnie ją obciąża. Mogę pana zapewnić, że jestem bardzo szybki, na pewno szybszy aniżeli pan. Zresztą strzelanina na Piazza Colonna do niczego nie prowadzi. Sądzę, że będzie o wiele lepiej i dla pana, i dla mnie, jeżeli dojdziemy do porozumienia.

- O jakim porozumieniu pan mówi? - spytał Gilner, przechodząc na język polski.

Zwoliński wypił resztę kawy, zapalił papierosa i pochylając się lekko nad stolikiem, powiedział przyciszonym głosem:

- Widzi pan, panie Gilner... pańska sytuacja jest nie do pozazdroszczenia. Zaczniemy od tego, że przemyślał pan narkotyki w samochodach.

-Ja żadnych narkotyków nie przemyślałem! Zwoliński machnął ręką.

- Dajmy spokój tym jałowym dyskusjom, szkoda czasu na zaprzeczanie oczywistym faktom. Są na to dowody, że pan przemyślał narkotyki w samochodach, specjalnie przystosowanych do tego celu. Następnie zapewne panu wiadomo, że warszawska milicja poszukuje pana jako podejrzanego o zamordowanie Carla Canettiego, którego pan zabrał ze sobą na tę samochodową wycieczkę Francja

- Włochy.

-Ja nikogo nie zamordowałem! - wybuchnął Gilner.

-To oszczerstwo!

- Przewód sądowy to stwierdzi, czy pan jest winny śmierci tego Korsykanina, czy też nie. Władze polskie mogą wystąpić o ekstradycję, a nie sądzę, żeby władze włoskie miały jakieś obiekcje w tym względzie. Raczej skłonny jestem przypuszczać, że chętnie pozbędą się pana ze swojego terenu. Widzi pan więc, że

moja pomoc oraz moja dyskrecja mogą się panu bardzo przydać.

- Czego pan żąda? - spytał energicznie Gilner.

- Przebywam na terenie Włoch jako osoba zupełnie prywatna - powiedział Zwoliński. - Przyjechałem, żeby odnaleźć mordercę mojego brata, który miał tutaj jakieś powiązania. Czy mógłby mi pan w tej sprawie pomóc?

- To nie jest wykluczone - odparł Gilner, który zaczął się nieco uspakajać. - Co pan proponuje w zamian?

- Oczywiście, nic za darmo - uśmiechnął się Zwoliński

- W zamian proponuję, że nie zdradzę pańskiego prawdziwego nazwiska i nie zawiadomię tutejszej policji, że jest pan poszukiwany przez polską milicję za morderstwo i za handel narkotykami. Tą ostatnią sprawą mógłby się zainteresować także Interpol.

Gilner utkwiał w twarzy mówiącego złe spojrzenie.

- Niech mnie pan przestanie straszyć.

- Nie mam zamiaru pana straszyć - powiedział łagodnie Zwoliński. - To taka luźna uwaga na marginesie, rzucona celem dokładniejszego naświetlenia sprawy.

Gilner skinął na kelnera i zapłacił za swoją kawę.

- Chyba wszystko już żeśmy omówili. Zajmę się odnalezieniem zabójcy pańskiego brata. A teraz niech mi pan powie, w jaki sposób pan mnie znalazł.

Zwoliński uśmiechnął się.

- Zupełnie przypadkowo. Któregoś dnia spotkałem pana na ulicy i poszedłem za panem. Zwykły zbieg okoliczności.

- Nie wierzę w takie „zbiegi okoliczności” - mruknął Gilner.

- To panu wolno.

Gilner odsunął krzesło i chciał wstać. Zwoliński powstrzymał go ruchem ręki.

-Jeszcze chwileczkę. Miałbym do pana jedną prośbę.

- Słucham?

- Widzi pan... Tak się złożyło - powiedział Zwoliński z pewnym zażenowaniem. — Tak się złożyło, że wczoraj przegrałem w pokera większą sumę i zostałem zupełnie bez pieniędzy.

Gilner spojrział zdziwiony i wyjął z kieszeni książeczkę czekową. -Ile?

- Nie, nie - zaprotestował żywo Zwoliński. - Nie przyjmę od pana czeku. Pan mnie źle zrozumiał.

-Więc...?

- Ostatnio w Paryżu wygrałem nowiuteńki wóz. Alfa romeo, najnowszy model. Chciałbym sprzedać ten wóz. Sądzę, że mógłbym za niego otrzymać niezłą cenę. Czy byłby pan skłonny dopomóc mi w tej transakcji.

Gilner skinął na kelnera i zamówił dwa koniaki. Niebawem kieliszki napełnione złocistym płynem pojawiły się na stoliku.

-Jak mam to rozumieć? - spytał Zwoliński, wskazując koniak.

Na twarzy Gilnera pojawiło się coś w rodzaju uśmiechu.

-Ten szlachetny trunek jest dowodem tego, że nasza rozmowa zaczyna wkraczać na zupełnie inne, bardziej realne tory.

- Czy byłby pan skłonny dopomóc mi w sprzedaży tego wozu? - powtórzył Zwoliński.

Gilner zapalił papierosa i zamyślił się.

- Nie musi się pan pozbywać takiej wspaniałej maszyny - powiedział, pochylając się nad stolikiem. -Pieniądze może pan zdobyć w zupełnie inny sposób. I to bardzo dużo pieniędzy.

- Nie wiem, co pan ma na myśli - powiedział Zwoliński. Gilner podniósł kieliszek i trącił nim delikatnie o kieliszek, stojący przed Zwolińskim.

- Niech pan posłucha, amico...

\*\*\*

Natychmiast po rozmowie z Gilnerem Zwoliński pojechał do hotelu, zaparkował wóz, powiedział w recepcji, że jedzie autokarem na dwudniową wycieczkę do Florencji, walizkę i torbę podróżną zostawił, zabrał jedynie neseser, wszedł do

autobusu i pojechał do Frascati. Tu wynajął skromny pokoik na pięterku u właściciela trattorii, handlującego winami oraz walutami, sprawdził, czyjego pistolet pozostaje ciągle na właściwym miejscu i pograżył

się w zadumie. Po dłuższej chwili takiej medytacji, wyszedł, poszukał automatu telefonicznego i zadzwonił do Antonia.

Rozmowa trwała dość długo. Na zakończenie Antonio powiedział:

- Bądź bardzo ostrożny, carissimo. Wciążasz się w niebezpieczną grę. Pamiętaj, że nie masz do czynienia z ludźmi prostodusznymi i łatwowiernymi. Nigdy nie wiadomo, kto kogo przechytrzy i nigdy nie wiadomo, komu można zaufać. Gilnera pilnujemy. Nie zniknie nam. Bądź spokojny.

Upłynęło kilka dni. Zwoliński wynajął „dychawiczne-go” forda i jeździł nim po okolicy, ciągle zmieniając miejsce swego pobytu. Raz nocował we Frascati, na drugi dzień w Marino, potem znowu w Grottaferrata, a jednego wieczora zapuścił się aż na Rocca di Papa, gdzie spotkał czarującą dziewczynę i ogromnie żałował, że nie mógł kontynuować tej znajomości.

Pewnego popołudnia Zwoliński siedział w trattorii i popijał cienkie wino, zagryzając ziemnymi orzeszkami, w niewielkim pomieszczeniu, przesiąkniętym kwaśnym zapachem porozlewanego po stołach wina, panował półmrok. Wkrótce jednak oczy przywykły do tego słabego oświetlenia i wtedy Zwoliński zauważył, że przy sąsiednim stoliku siedzi człowiek, którego twarz wydała mu się znajoma. Z racji swojej długoletniej pracy w policji miał bardzo wyrobioną pamięć do ludzkich twarzy. Ależ tak. To Marcello Ponetti, ten, który chciał go wtedy pchnąć nożem we mgle. Nie ulega wątpliwości.

Zwoliński podniósł się i podszedł do stolika, przy którym siedział Sycylijszyk.

- Buongiorno.

Tamten odwrócił się i na jego twarzy odmalowało się zdumienie połączone z przerażeniem. Chciał zerwać się

do ucieczki, ale żelazna ręka Zwolińskiego przytrzymała go na miejscu.

- Staż calmo, amico. Stai calmo.

- Czego pan chce ode mnie, panie inspektorze? Czego pan chce ode mnie? Jestem niewinny, nic nie zrobiłem. W Paryżu wypuścili mnie. Pan komisarz mnie zwolnił.

-Ja już nie jestem inspektorem - powiedział Zwoliński i usiadł.

Ponetti spojrzał zdziwiony i zamrugał oczami.

-Jak to pan nie jest inspektorem? To pan już nie pracuje w policji?

-Wyobraź sobie, że już nie jestem policjantem. Dosyć się napracowałem z tymi glinami. Wystarczy. Tyle lat za tą nędzną pensję. Chcę trochę pożyć, zebrać większą ilość forsy i użyć życia.

Sycylijczyk przetarł oczy dłońmi, jakby chciał się obudzić z jakiegoś dziwnego snu.

- Mówi pan poważnie?

- Najzupełniej. Zaczynam teraz pracować w zupełnie innej branży. A propos. Podobno poszukuje cię niejaki Zenon Gilner.

- Mascalone.

-Jestem o nim tego samego zdania - zgodził się Zwoliński. — Skrzywdził cię?

-To skończony łajdak. Mam z nim porachunki i gdybym go spotkał...

- To się da załatwić - uśmiechnął się Zwoliński. - Gilner przebywa w Rzymie. Tak się składa, że ja wiem, gdzie go szukać.

Ponetti poruszył się z ożywieniem. Jego duże ciemne oczy zabłysły złym blaskiem.

- Niech mi pan powie, gdzie go mogę znaleźć.

- Spokojnie, spokojnie - uśmiechnął się Zwoliński. - Jesteś w gorącej wodzie kąpany. Musimy dojść do porozumienia.

- Do porozumienia?

- Właśnie. Ja ci opowiem o Gilnerze, a ty opowiesz mi o swoim szefie.

-Ja nie mam żadnego szefa.

- Nie opowiadaj mi bajek. Z kim teraz pracujesz? Sycylijczyk odwrócił twarz, starał się nie patrzeć na mówiącego.

-Ja w ogóle nie pracuję. Szukam pracy.

- Nie kłam! - Zwoliński mimo woli przybrał ton prowadzącego przesłuchanie. Natychmiast jednak głos jego złagodniał. - Masz szczęście, że mnie przypadkowo spotkałeś. Jeżeli będziesz rozsądny i dogadasz się ze mną, to możesz na tym tylko wygrać.

- Nie wiem, o czym pan mówi.

- Nie udawaj. Wiesz doskonale. Przypadkowo dowiedziałem się, gdzie i kiedy Gilner odbiera większą partię towaru.

- Ciągłe nie rozumiem, o czym pan mówi.

- Tym gorzej dla ciebie, że jesteś taki mało domyślny. Sądzę, że twój szef nie będzie z ciebie zadowolony. A teraz posłuchaj. Nic nie ma za darmo, jeżeli chcesz ze mną współpracować, to moje warunki są następujące: podam ci miejsce, gdzie ukrywa się Gilner, oraz nazwisko, pod którym obecnie występuje. Prócz tego dowiesz się ode mnie, gdzie i kiedy Gilner odbiera dużą partię towaru. Nie muszę ci chyba tłumaczyć, jaki to towar. W zamian za te cenne informacje ty mi powiesz, kto jest twoim szefem, z

którym ja chciałbym nawiązać bliższy kontakt i ewentualną współpracę. Zdajesz sobie chyba sprawę, że te informacje są coś warte i że ja muszę omówić warunki nie z tobą, a z kimś odpowiedzialnym finansowo.

- Nie wiem... Nie wiem... - powtórzył Ponetti, a głos mu się załamał.

- A może twoim szefem jest Ahmed Nagib?

Zwoliński strzelił w ciemno i przypadkowo trafił w dziesiątkę. Sycyliczyk aż się zakrzuszył. Sięgnął po szklanę z winem, ale ręka tak mu drżała, że postawił ją z powrotem na stoliku.

- Nie wiem... nic nie wiem... Ja nic nie powiedziałem... Ja nic nie powiedziałem - wybełkotał.

- Powiedziałeś wystarczająco dużo - uśmiechnął się Zwoliński. -I coś ci powiem, amico. W tej branży, w której działasz, trzeba być bardziej opanowanym. Trzeba trzymać nerwy na wodzy. Nie wystarcza wymachiwać nożem.

- O jakim nożu znowu pan mówi? Nie rozumiem. O jakim nożu?

Zwoliński machnął ręką.

- Mniejsza z tym. A teraz słuchaj uważnie. Z twojego zachowania wywnioskowałem bez trudu, że twoim szefem jest Ahmed Nagib, który kiedyś współpracował z Gilnerem.

- On go nienawidzi - wykrztusił Ponetti. Zwoliński wzruszył ramionami.

- Domyślam się, ale to mnie absolutnie nie interesuje. Interesuje mnie natomiast nawiązanie współpracy z Ahmedem Nagibem. Pójdiesz do niego i powiesz mu, że ja proponuję mu konkretne korzyści w zamian za odpowiedni ekwiwalent w dolarach albo w złocie. Jak już wspomniałem, wiem, gdzie i kiedy Gilner odbiera większą partię towaru, którą można by przejąć, działając przez zaskoczenie. Wolę uniknąć strzelaniny, bo nie ma sensu ściągać sobie policji na kark.

-Jakie pan stawia warunki? - spytał Ponetti, który już nieco oprzytomniał.

Zwoliński wymienił sumę. Sycylijczyk aż gwiznął.

- Dużo pieniędzy. Nie wiem, czy szef na to pójdzie.

- Nikt go nie zmusza. Będzie chciał, to dobrze, a nie, to nie. Bez trudu znajdę amatorów na taką ofertę.

To jest okazja, jaka się często nie zdarza.

- Porozmawiam - powiedział z wahaniem Sycylijczyk. - Gdzie pana mogę znaleźć?

- Spotkamy się jutro o godzinie siedemnastej przy tym stoliku - powiedział Zwoliński, kładąc pieniądze za wypite wino.

Bezczynne godziny ciągną się w nieskończoność. Dopiero późnym wieczorem Zwoliński załatwił dwa telefony. Najpierw zadzwonił do Antonia i powiedział, jak wygląda sytuacja, a następnie połączył się z Gilnerem, który niezmiernie zainteresował się otrzymanymi wiadomościami.

- Nic za darmo - powiedział Zwoliński.

W słuchawce coś zatrzeszczało. Po chwili znowu zabrzmiał głos Gilnera.

- Może pan być zupełnie spokojny. W tych sprawach dojdziemy do porozumienia na miejscu. Zaręczam, że będzie pan zadowolony. Nie mamy zwyczaju targować się.

Zwoliński pojechał do Rzymu, gdzie przemocował w trzeciorzędnym hoteliku. Przez cały dzień nie wychodził ze swojego pokoju. Powiedział w recepcji, że się źle czuje, i kazał sobie przynieść jedzenie. Dopiero o szesnastej wyszedł i pojechał autobusem do Frascati.

Ponetti przyszedł punktualnie. Rozejrzał się niespokojnie po mrocznej salce i usiadł przy tym samym stoliku co wczoraj. Po chwili pojawił się Zwoliński. Przsunął sobie krzesło i zamówił wino.

- No i co?

Sycyliczyk końcem języka zwilżył spierzchnięte wargi.

- Szef nie wierzy. Zwoliński wzruszył ramionami.

- Nikt mu nie karze wierzyć. Nie to nie, nie mamy o czym rozmawiać. Ciao.

Ponetti zatrzymał go ruchem ręki.

- Chwileczkę. Miałbym może dla pana inną propozycję.

- Propozycję? Jaką propozycję?

- Być może, że znalazłby się ktoś, kto by zaakcentował pańskie warunki.

- Być może czy na pewno?

- Prawie na pewno.

- Skontaktujesz mnie z nim?

- Nie. Ten człowiek chce to przeprowadzić za moim pośrednictwem. Woli się nie ujawniać.

Zwoliński wypił łyk wina i zapalił papierosa. -Jaką mam gwarancję, że moja prowizja zostanie wypłacona?

- Żadnej. Musi nam pan zaufać na słowo.

- O nie, amico- uśmiechnął się Zwoliński. - Takim frajerem to ja nie jestem. Za kogo ty mnie uważasz? Za grzecznego chłopczyka, który wierzy we wszystko to, co mu się powie?

- Co pan proponuje? Może depozyt u adwokata? Zwoliński potrząsnął głową.

- Nie mam zaufania do adwokatów, którzy pozostają na zoldzie u gangsterów.

-Więc...?

Zwoliński zamyślił się.

- To dosyć skomplikowana sprawa - powiedział po chwili.



Można by zdeponować te pieniądze u jakiegoś męża zaufania, do którego mielibyśmy zaufanie i ja, i wy. Ale takiego człowieka w tej chwili nie widzę.

Ponetti sięgnął po szklankę z winem. Miał bardzo zafrasowaną minę.

- Sytuacja wydaje mi się beznadziejna.

- Nie ma beznadziejnych sytuacji. Są tylko trudne sytuacje - stwierdził Zwoliński. - Ty mógłbyś być gwarancją.

-Ja?

- Tak. Ty. Oskarżyłbym cię o napad. Policja zamknęłaby cię, a po dokonanej transakcji, złożyłbym zeznanie, że się pomyliłem. Wyszędłbyś z aresztu. Gdyby natomiast twoi mocodawcy nie wywiązali się ze swoich zobowiązań w stosunku do mnie, to bym cię po prostu zastrzelił. Byłbyś kimś w rodzaju zakładnika. Sycylijczyk zbladł.

- Na taką kombinację nie mogę pójść. Ja nie jestem dla nich aż tyle wart. Ja w ogóle...

Zwoliński roześmiał się.

- Nie bierz tak dosłownie tego, co mówię. To był przecież tylko żart. Nie leży w moim interesie zadawać się z tutejszą policją.

- Więc jak zrobimy? - spytał Ponetti, który odetchnął z widoczną ulgą.

- Chyba najłatwiej będzie załatwić ten interes przy pomocy czeku opatrzzonego specjalną klauzulą oraz datą, wyprzedzającą o parę dni przejęcie towaru. Oczywiście czek musi mieć pokrycie.

- Porozumiem się - powiedział Sycylijczyk. - Jutro dam panu znać.

- Nie jutro, a jeszcze dzisiaj - Zwoliński był wyraźnie zniecierpliwiony. - Nie mogę tracić tyle czasu na te pertraktacje.

- Dobrze. Dzisiaj wieczorem, o dziesiątej.

- Gdzie?

- Tutaj.

- Postaraj się być wcześniej. Będę czekał na ciebie o dziewiątej.

- Dobrze. Postaram się. Może mi się uda.

Po rozstaniu się z Ponettim Zwoliński zatelefonował z automatu do Gilnera, a następnie połączył się ze swoim przyjacielem.

- Bądź ostrożny - powiedział na zakończenie rozmowy Antonio. - Nie zapominaj, że wdałeś się w bardzo niebezpieczną grę, i jeżeli cię rozszyfrują...

Zwoliński uśmiechnął się do słuchawki.

- Jeżeli mnie rozszyfrują, to najwyżej będzie trochę strzelaniny.

- Tak czy inaczej sądzę, że bez strzelaniny się nie obejdzie - zakończył rozmowę Antonio.

Wieczorem, dwadzieścia po dziewiątej, pojawił się Ponetti. Był zadowolony. Jego wspólnicy czy też szefowie przyjęli postawione warunki. Dobili targu. Szczegółową umowę mieli spisać w Neapolu, gdzie również Zwoliński miał otrzymać czek na ustaloną sumę.

Jeszcze tego samego wieczoru Zwoliński wrócił do Rzymu, a nazajutrz z samego rana odleciał do Neapolu. Zbliżała się ostateczna rozgrywka.

\*\*\*

Noc była ciemna, bezgwiezdna. Sylwetka Wezuwiusza wtopiła się w intensywny granat nieba. Nieruchome morze rozpościerało się przed nimi jak porcelanowa tafla. Najlżejszy nawet powiew nie budził uśpionych fal.

- Czy to na pewno tutaj? - spytał cicho Gilner.

- Nie ulega wątpliwości - odpowiedział równie cicho Zwoliński. - Na pewno tutaj.

- Powinni już być - niecierpliwił się Gilner, spoglądając na fosforyzujący zegarek.

- Spokojnie - zmitygował go Zwoliński. - Płyną na żaglach, a nie ma wiatru. Wolą nie zapuszczać motoru, żeby nie robić hałasu.

Gilner był wyraźnie zdenerwowany.

- Nie wiem, czy nie wzięłem ze sobą zbyt mało ludzi.

- Wystarczy - szepnął Zwoliński, który rozglądał się niespokojnie, bojąc się, żeby ich nie odkrył Ponetti ze swoją

bandą, mimo iż ulokował ich w dość znacznym oddaleniu.  
-Będziemy działać przez zaskoczenie. Lepiej, żeby nie doszło do strzelaniny.

- Oczywiście - przytaknął Gilner i wyjął z kieszeni papierosy.

- Niech pan nie pali - upomniał go Zwoliński, posłyszawszy niepokojący szelest.

Gilner wsunął z powrotem papierosy do kieszeni.

- Słusznie. Ciągłe ich nie widać, może się rozmyślili.

- Na pewno się nie rozmyślili. Cierpliwości. Wreszcie na czarnym tle nieba pojawiło się coś, jakby białe skrzydło ptaka.

- Płyną - szepnął Zwoliński.

- Płyną - powtórzył Gilner.

Następnie akcja potoczyła się błyskawicznie. Duży, pełnomorski jacht przycumował cicho do nabrzeża. Ciemne postacie poczęły pośpiesznie wyciągać plastikowe worki. Kiedy już towar był wyładowany, ruszyli ludzie Gilnera.

- Stać! Ręce do góry!

Tamci bez sprzeciwu wypełnili rozkaz. Zaskoczenie wydawało się całkowite. Ale w tej chwili pojawiła się banda Ahmeda Nagiba.

- Rzućcie broń. Jesteście otoczeni. Gruchnęły strzały.

Gilner chwycił automat. Zwoliński trzasnął go w głowę kolbą pistoletu. Wtedy zabłysło jaskrawe światło i jak spod ziemi wyrósł silny oddział karabinierów. Ostrzegawcza salwa. Gangsterzy rzucili broń. Akcja była skończona, to \* \*

- Dobra robota - powiedział Antonio, klepiąc przyjaciela po ramieniu. - Bardzo dobra robota.

Zwoliński uśmiechnął się i zapalił papierosa.

- Przyznam ci się, że jestem zaskoczony, że się tak udało. Nie sądziłem, że tak łatwo pójdzie.

- Tak - przyznał Antonio. - Ja także jestem zaskoczony, że dali się nabrać. Z tego wynika, że nawet gangsterzy

popołniają w swej działalności kardynalne błędy. Czasem zaślepia ich chciwość. Trzeba jednak przyznać, że ty bardzo zgrabnie to rozegrałeś. Argumenty, które im przedstawiłeś, były przekonujące. Zwoliński schylił głowę.

- Dziękuję, panie inspektorze, za słowa uznania. Na

przyszłość postaram się także na nie zasłużyć.

-Jak ci się podobali moi chłopcy w charakterze przemytników narkotyków? - spytał Antonio.

- Na medal. Ale skądżeś wytrzasnął taki wspaniały jacht?

- To nasz stary rekwizyt - uśmiechnął się Antonio. -Wygląda rzeczywiście imponująco, ale przy pierwszym sztormie rozleciałby się na drobne kawałki. Zastanawiałem się nad tym, co by było, gdyby noc jaśniała gwiazdami i gdyby takie ciemności nie maskowały całej akcji?

Zwoliński wzruszył ramionami.

- Nic by nie było. Gilner był pewien, że to płyną z towarem ludzie Ahmeda Nagiba, a Ahmed Nagib był przekonany, że to jest jacht Gilnera. I jedni, i drudzy byli przygotowani na to, że ich przeciwnicy kryją się w pobliżu zatoki. Powiedz mi, amico, jakie straty w ludziach.

- Z moich ludzi nikt nie został ranny - odparł Antonio. - Z bandy Ahmeda Nagiba dwóch zabitych, trzech rannych, a z obstawy Gilnera czterech zabitych.

- W porządku - zawyrokował Zwoliński. - Niech się gangsterzy nawzajem wybijają. To pożyteczna działalność.

-Trochę za mocno uderzyłeś Gilnera.

- Możliwe - zgodził się Zwoliński. - To ze zdenerwowania.

-Jakie masz plany na najbliższą przyszłość?

- Muszę się jak najszybciej likwidować z tego terenu. Tego Raula Pavaniego pozostawiam pod twoją „troskliwą” opieką, a ja najbliższym samolotem odlatuję do Nowego Jorku.

W górze błękit. W dole zwały czarnych, kłębiastych chmur. Można było sobie wyobrazić, że ocean swym potężnym rykiem pragnie zagłuszyć warkot silników.

„Pewnie sztorm na Atlantyku” - pomyślał Zwoliński i spojrział na jasnowłosą stewardesę, która podeszła do niego z czarującym uśmiechem.

- Pan sobie życzy?

- Kieliszek koniaku, jeżeli pani taka uprzejma. Uśmiechnęła się jeszcze serdeczniej do samotnego pasażera.

- Zaraz podam.

Po chwili rozsiadł się wygodniej w swoim fotelu i małymi łykami popijał koniak. Był zadowolony z siebie. Akcja przeprowadzona w Neapolu powiodła się nadspodziewanie. Nigdy nie przypuszczał, że Gilner oraz ten Libijczyk dadzą się tak łatwo wyprowadzić w pole. Jego atutem było oczywiście to, że poznał Gilnera w Paryżu, dowiedział się o nim bardzo dużo w Warszawie i także w Warszawie otrzymał trochę informacji o Ahmedzie Nagibie. Był na tyle dobrze zorientowany, że to mogło zmylić czujność przeciwnika. Żałował, że Ahmed Nagib zdołał ująć, ale za to Gilner siedział i nie miał szans na to, aby szybko opuścić mury więzienia. Co się stało z Ponettim, tego nie wiedział i to go trochę niepokoiło. To był wprawdzie tylko pionek w tej grze, ale w pewnych określonych okolicznościach mógł się okazać niebezpieczny. Po raz drugi na pewno nie dałoby się go nabrać. Czeku na ogromną sumę nie próbował realizować. Po pierwsze, był prawie pewien, że był bez pokrycia, a po drugie, pokazywać się w banku - to mogło spowodować niespodziewane komplikacje, tym bardziej że zarówno Ahmed Nagib, jak i Ponetti pozostawali na wolności i niewątpliwie nie byli zbyt życzliwie ustosunkowani do człowieka, który im zgotował taką zaskakującą niespodziankę.

Oddał pusty kieliszek i przymknął oczy. Myślał teraz o Laurze

i o dzieciach. Kiedy ich znowu zobaczy? Czy są zdrowi? Czy nic im nie zagraża? Był pewien, że komisarz Berger dotrzyma danego słowa i otoczy jego rodzinę troskliwą opieką. Z Rzymu wysłał na jego ręce list do Laury, w którym donosił, że jest zdrow i że wszystkie sprawy układają się pomyślnie. Czy Laura mu uwierzy? Miał co do tego poważne wątpliwości. Wiedziała przecież, że pisze w tym celu, żeby ją uspokoić, ją i dzieci. Z Nowego Jorku znowu wysłał list. A może zatelefonuje? Raczej nie. Telefon w jego paryskim mieszkaniu może być na podsłuchu. Z taką ewentualnością trzeba się było liczyć.

Samolot zaczął lekko kołysać, wpadając w próżnię. Zwoliński nie zdawał sobie sprawy, kiedy zasnął. Spał mocno, wyczerpany przeżyciami ostatnich dni. W pewnym momencie otworzył oczy i spostrzegł, że wszyscy już zapinają pasy. Samolot kołysał jeszcze bardziej, potrząsany gwałtownymi porywami wiatru. W dole wznosiły się potężne masywy drapaczy chmur.

Na lotnisku oczekiwał go Ronald Harding, dawny przyjaciel -jeszcze z czasów, kiedy razem pracowali w Scotland Yardzie. Wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o rysach twarzy rzymskiego senatora. Zaczynał tyć i na próżno wciągał zaokrąglony brzuch.

- Tyle czasu... tyle czasu... Tyle lat - powtarzał, ściskając potężnie Zwolińskiego, który poczuł się jakby w ramionach niedźwiedzia grizzly. - Tak się cieszę, że cię znowu widzę. Nie masz pojęcia, jak bardzo się cieszę, my dear fellow. Świetnie wyglądasz, nic się nie zmieniło.

Wreszcie Zwoliński uwolnił się z tych druzgoczących czułości.

- Ty także dobrze wyglądasz, drogi przyjacielu.

- Aż za dobrze - uśmiechnął się Ronald, klepiąc się po brzuchu. - Zobacz, jak przytyłem. Przepadła moja smukła sylwetka.

- Przesadnie smukłej sylwetki to ty nigdy nie miałeś -powiedział wesoło Zwoliński. - A co do tego brzucha, to może za dużo jesz.

- To niewykluczone - zgodził się Harding. - Ale nasza praca jest taka nerwowa... A jak ja się zdenerwuję, to natychmiast dostaję straszno apetytu i muszę coś przekąsić.

- Te przekąski nie są chyba zbyt skromne - zauważył Zwoliński.

- To zależy od stopnia zdenerwowania - odparował były inspektor Scotland Yardu.

Tak gawędząc, wsiedli do efektownego, błyszczącego świeżym lakierem lincolna i Harding zawiózł przyjaciela do hotelu. Następnie pomógł mu się rozpakować i kazał przynieść coś do picia. Po chwili siedzieli w wygodnych fotelach, popijając przez słomkę jakiś „firmowy” koktajl.

- Okropna lura - skrzywił się Harding.

- Nie grymas - zgromił go Zwoliński. - Opowiedz lepiej, jak wam się tu żyje w tym Nowym Jorku.

- Żyłoby się nie najgorzej, gdyby nie ci cholerni gangsterzy. A największy kłopot mamy z gangami przemytników i handlarzy narkotyków... To jest problem, który ciągle narasta. Walka z tymi łotrami jest szalenie utrudniona, ponieważ rozporządzają olbrzymimi pieniędzmi i mogą dawać takie łapówki, którym nawet niejeden dygnitarz nie jest w stanie się oprzeć.

- Przybyłem do was z odsieczą - uśmiechnął się Zwoliński.

Harding pokiwał.

- Wiem. Interpol zapowiedział twój przyjazd. Aha... Zupełnie zapomniałem - sięgnął do kieszeni i wyjął jakieś papiery. - Proszę, jest twój paszport. Od dziś nazywasz się Tomasz Kowalski. Odpowiada?

Zwoliński wzruszył ramionami.

- Może być. Co za różnica? Kowalski, Kozłowski czy Majewski... W jakim charakterze występuję?

- „Urwałeś się” z wycieczki zagranicznej. Wybrałeś wolność. Kim chcesz być? Reżyserem filmowym czy może literatem, prześladowanym przez komunistyczną cenzurę?

- Wolę reżysera filmowego. To bardziej ogólnikowe zajęcie.

- Pochwalam twój wybór - przytaknął Harding. - Reżyser filmowy do niczego nie zobowiązuje. W tej branży można nic nie umieć i na niczym się nie znać. Wystarczy odrobina sprytu i odpowiednie koneksje, żeby utrzymywać się na powierzchni. Powiedz mi, kochany, co zdziałałeś w Wiecznym Mieście?

Zwoliński w krótkich, treściwych słowach zreferował swoje

rzymskie przygody. Kiedy skończył mówić, Harding odczekał chwilę i spytał:

- Jesteś pewny, że Gilner siedzi?

- Najzupełniej. Osobiście trzasnąłem go w łeb podczas tej akcji w Neapolu. Gilner siedzi i będzie jeszcze długo siedział.

Harding zatarł ręce z zadowoleniem.

- To dobrze, to bardzo dobrze. Możemy mieć trochę większą swobodę działania.

- Wiesz coś o Gilnerze? - zainteresował się Zwoliński.

- Oczywiście. To gruba ryba. Organizował przerzut towaru w samochodach ze wschodniej Europy na Zachód.

Interpol od dawna miał go na oku i właśnie z Interpolu otrzymaliśmy te informacje. Podobno Gilner planował rozszerzyć swoją działalność na Stany Zjednoczone. Był niesłychanie sprytny. Nikt nie potrafił mu niczego dowieść. Aż wreszcie potknął się na tobie.

- W tym wypadku wykazał niesłychaną naiwność - uśmiechnął się Zwoliński. - Powiedz mi, kochany, czego się po mnie spodziewacie. Czy rzeczywiście mogę być pożyteczny na tutejszym terenie?

- I to bardzo! - wykrzyknął z przekonaniem Harding. - Po pierwsze, jesteś pierwszorzędnym fachowcem, a po drugie, mówisz po polsku.

Zwoliński spojrział zdziwiony.

- Nie rozumiem, co ma wspólnego polski język z narkotykami.

- Nie chciałbym ci robić przykrości - powiedział Harding - ale, niestety, twoi rodacy także uprawiają ten brudny proceder.

- Masz na myśli Biernackiego?

- To ty już wiesz? - zdumiał się Harding. Zwoliński znowu się uśmiechnął.

- Kiepski byłby ze mnie policjant, agent do specjalnych poruczeń, gdybym w ogóle nic nie wiedział. Biernacki zajmował w Warszawie pracownię malarską, którą następnie przejął mój brat. I właśnie w tej pracowni został zamordowany.

- Przyjmij wyrazy mojego szczerego współczucia - powiedział Harding.



- Otóż pod podłogą - mówił dalej Zwoliński - znaleziono większą ilość heroiny, której zapewne nie zdążył zabrać Biernacki, uciekając w popłochu przed milicją. Początkowo sądziłem, że może to mój brat miał coś wspólnego z narkotykami, ale po rozważeniu za i przeciw doszedłem do wniosku, że to nie wchodzi w rachubę.

Handlarze narkotyków nie zabiliby swojego współnika, nie odzyskawszy towaru.

- Logiczne - przytaknął Harding. - Wyobraź sobie, że Biernacki, który występuje tutaj jako Wilhelm Karlinger, miał bardzo ściśle powiązania z Gilnerem i w krótkim czasie po przybyciu do Nowego Jorku stał się jednym z czołowych przedstawicieli mafii, działającej na polu handlu narkotykami. Nie tylko oczywiście handel, przemyt także. Przypuszczam, że właśnie dlatego Interpol wystarał się o kogoś z branży, dobrze mówiącego po polsku. Tym kimś jesteś właśnie ty.

Zwoliński zapalił papierosa i zamyślił się.

- Cóż ja? - powiedział po chwili. - Jestem tu zupełnie obcy... nie znam terenu...

Harding poklepał przyjaciela po ramieniu.

- Tym się nie przejmuj. Moja w tym głowa, żebyś w możliwie jak najkrótszym czasie poznał teren i nie czuł się tu taki zupełnie obcy. Twoje pierwszoplanowe zadanie to rozpracowanie Biernackiego. Musisz oczywiście podejść do tego bardzo ostrożnie, bo to nieprzeciętnie chytry lis. Zresztą nie musimy się spieszyć, mamy czas. Wszystko sobie dokładnie przemyślimy i opracujemy. Na razie występujesz w roli pokrzywdzonego przez komunistów reżysera filmowego. To robi na pewno dobre wrażenie.

- Gdzie ten Biernacki mieszka? - spytał Zwoliński.

- Zafundował sobie piękną willę z ogrodem, jakies pięćdziesiąt, sześćdziesiąt kilometrów od Nowego Jorku. To bardzo bogaty gość.

- Pracuje gdzieś? Harding roześmiał się.

- Chyba żartujesz. To nie jest typ człowieka, który by się zniżał do zwykłej, codziennej pracy. Bo widzisz...

- Sądziłem, że dla kamuflażu... - wtrącił Zwoliński.

- Ani dla kamuflażu, ani z żadnych innych powodów.

Urządził sobie wytworną pracownię i pozuje na „genialnego” artystę. Trzeba zresztą bezstronnie przyznać, że trochę talentu to on ma i jego obrazy cieszą się powodzeniem, zarówno wśród krytyków sztuki, jak i wśród kolekcjonerów.

- I musi się, idiota, wdawać w handel narkotykami. Harding wzruszył ramionami.

- Cóż chcesz? Zachłanność niektórych ludzi nie zna granic. A Biernacki właśnie do takich ludzi należy. Lubi imponować, lubi szastać pieniędzmi, lubi ładne dziewczyny. Wydaje wspaniałe przyjęcia, kupuje najdroższe trunki, jeździ najnowszymi samochodami. A to wszystko kosztuje.

- Nie bardzo rozumiem, dlaczego tak bardzo zwraca na siebie uwagę - powiedział Zwoliński. - Przy tej wrednej działalności powinien zachowywać się bardziej dyskretnie. Nie rzucać się tak w oczy.

Harding zrobił nieokreślony ruch ręką.

- Czy ja wiem? Nie potrafię ci na to odpowiedzieć. Prawdę mówiąc, mnie to samo przychodziło do głowy. A może właśnie to jest taktyka? Może uważa, że w ten sposób usuwa od siebie wszelkie możliwe podejrzenia. Ma bardzo wielu przyjaciół wśród wysoko postawionych osobistości. Kobiety za nim szaleją. A wiesz na pewno lepiej niż ja, że kobiety mogą być w pewnych sytuacjach ogromnie pomocne.

- Czyżbyś mnie uważał za donżuana? — uśmiechnął się Zwoliński.

Harding odwzajemnił się uśmiechem.

- Za donżuana może nie w ścisłym słowa tego znaczeniu. Ale nie zapominaj, że nie znamy się od dzisiaj i ty nie zawsze byłeś statecznym ojcem rodziny. Pamiętasz miedzianowłosą Mary albo tę figlarną Betty, albo tę rekor-dzistkę w pływaniu, długonogą Lilianę? Albo...

Zwoliński niecierpliwie machnął ręką.

- Dajmy spokój wspomnieniom. Było, przeszło. Nie ma o czym gadać.

- Żal ci, że przeszło?

- Może czasami... Każdemu chyba żal, że młodość minęła.

Ale na to nic nie poradzimy. Nie dogonimy utraconego czasu. Chyba że ktoś urodził się Proustem. Nie zagłębiajmy się jednak w filozoficzne rozważania, bo to do niczego nas nie doprowadzi. Dawne czasy będziemy wspominać, jak się jeszcze trochę bardziej zestarzejemy i jak będziemy chodzić z wnukami na spacer do parku.

- Święte słowa - przytaknął Harding. - Czy chcesz, żebym ci jeszcze coś opowiedział o naszym kochanym Biernackim?

- Jaką narodowość postanowił tu reprezentować?

- Twierdzi, że jego matka była Polką, a ojciec Austriakiem, jakoby jakimś austriackim hrabią. Zresztą to nieważne. U nich tam hrabiów jak psów.

Zwoliński zapalił papierosa i zamyślił się.

- Powiedz mi, kochany, jak to się dzieje, że przez tyle czasu, będąc w posiadaniu takiej ilości informacji, nie poradziliście sobie z facetem? Przecież...

- Bardzo słuszne pytanie - pokiwał głową Harding. - Ale widzisz... to wszystko nie jest takie proste. Po pierwsze, Biernacki to człowiek obdarzony nieprzeciętnym sprytem, inteligencją i niezwykłą intuicją, a po drugie, w naszym aparacie urzędują jego wtyczki. Niestety. Przykro mi to mówić, ale uważam, że powinieneś wiedzieć. Dlatego też twój przylot do Nowego Jorku trzymany jest u nas w ścisłej tajemnicy. Zapewne będziesz zaskoczony, ale...

Zwoliński uśmiechnął się.

- Nie żartuj. To jest przecież rzeczą powszechnie znaną, że dużej klasy przestępcy, aferzyści, hochsztaplerzy, handlarze narkotyków, handlarze żywym towarem posiadają koneksje nie tylko w policji, ale także w wyższych sferach towarzyskich i rządowych. Zresztą wystarczy obejrzeć kilka filmów włoskich i amerykańskich, żeby się chociaż pobieżnie zorientować, jak te sprawy wyglądają. Ktoś, kto dysponuje dużymi pieniędzmi, łatwo zdobywa użytecznych przyjaciół.

- O właśnie - podchwycił Harding. - Duże pieniądze ogromnie utrudniają naszą pracę. A Biernacki należy do ludzi, którzy nie potrzebują się liczyć z każdym dolarem i którzy chętnie służą swoim ustosunkowanym przyjaciołom

ogromnymi pożyczkami, których notabene nie śpieszą się egzekwować.

- Jak ty masz zamiar zorientować mnie trochę w terenie? - spytał Zwoliński, zapalając kolejnego papierosa. Harding podał mu zapalniczkę.

- Musisz wejść do tutejszych „wyższych sfer” towarzyskich, wśród których obraca się Biernacki.

- Ale jak to zrobić?

- Pomoże nam w tym hrabina de Valdont, Alicja Val-dont.

- Autentyczna hrabina? Harding uśmiechnął się.

- Taka ona hrabina jak ja sułtan turecki. To agentka Interpolu, wykorzystywana do specjalnych poruczeń. Mówi świetnie po francusku, po angielsku, po niemiecku i po włosku. Zaraz jutro skontaktuję cię z nią.

- Gdzie?

- Właśnie to jest problem - zasumował się Harding. - Gdzie? U nas w komendzie wykluczone, u ciebie w hotelu także nie, u niej w mieszkaniu nie bardzo wypada. Czekaj... czekaj... Najlepiej chyba będzie, jeżeli w restauracji przysiądziesz się do jej stolika. Zastosujemy taki chwyt na podryw. To chyba wypadnie

najbardziej naturalnie. Jest taki hotel Victoria na Seventh Avenue. Pójdziesz tam sobie na obiad. Zobaczysz przy sąsiednim stoliku śliczną dziewczynę i postanowisz ją poderwać. Cała scena musi być oczywiście odegrana w sposób zupełnie naturalny, żeby nic nie zwróciło uwagi kelnerów, wśród których może być ktoś z mafii, chociaż to mało prawdopodobne.

- Pani hrabina będzie oczywiście uprzedzona o tej komedii - upewnił się Zwoliński.

- Rzecz jasna. Na wszelki wypadek dam jej twoją fotografię, żeby nie było żadnych nieporozumień. Ty także otrzymasz jej zdjęcie.

\*\*\*

Właśnie takie mu się podobały. Wysoka, długonoga, twarz o regularnych rysach, okolona gęstą czupryną miedzianego koloru. Oczy duże, ciemnoniebieskie, w których pojawiały się

złotawe błyski. Nie była tęga, ale także i nie przesadnie odchudzona. Przy najlepszych chęciach nie można ją było określić jako płaską deskę.

Zwoliński, od czasu do czasu, rzucał powłóczyste spojrzenia w kierunku pięknej hrabiny. Udawała, że go nie zauważa. Nie śpieszył się. Wiedział, że to należy do jego roli. Spokojnie jadł obiad. Dopiero kiedy podano mu kawę, wstał i podszedł do jej stolika.

- Bardzo przepraszam. Czy pani nie miałyby nic przeciwko temu, żebym dotrzymał jej towarzystwa?

- A to w jakim celu? Chyba wolnych stolików jest na sali wystarczająca liczba.

- To prawda, ale przy żadnym stoliku nie siedzi tak urocza dama.

Spojrzała na niego energicznie.

- Lubi się pan bawić tanimi komplementami.

- Przyznaję ze skruchą, że w danym momencie nic lepszego nie przyszło mi do głowy. Proszę o wybaczenie.

W tym momencie podszedł do nich barczysty kelner.

- Przepraszam. Czy może ten pan przeszkadza pani hrabinie?

Zwoliński zdrętwiał. „Tylko tego draba tu brakowało” - pomyślał. Nie mógł przecież wdawać się w bójkę z kelnerami, ale z drugiej strony... Na szczęście piękna pani wybawiła go z kłopotu. Ruchem ręki odprawiła kelnera.

- Dziękuję. Sama umiem sobie radzić w podobnych sytuacjach.

- Więc czy mogę się przysiąść do pani stolika? - ponowił swoją propozycję Zwoliński.

Obrzuciła go obojętnym spojrzeniem. -Jeżeli tak bardzo pan tego pragnie... Usiadł i wyjął papierosy.

- Może pani zapali?

- Dziękuję. Nie palę.

- A może można panią poczęstować kieliszkiem koniaku? Zaraz zamówię.

- Dziękuję. Nie pijam o tej porze alkoholu.

- A wieczorem?

-Jak czasem. I zależy z kim.

- A ze mną?

- Nie umawiam się na koniak z nieznanymi. Zwoliński zerwał się.

- O, najmocniej przepraszam. Zapomniałem się pani przedstawić. Nazywam się Kowalski, Tomasz Kowalski.

Podawała mu rękę wyreżyserowanym gestem.

- Aja jestem hrabina Alicja de Valdont. Niech pan siada, monsieur Kowalski. Pan jest Polakiem?

- Tak. Jestem Polakiem. Bardzo chciałbym z panią porozmawiać, pani hrabino.

- O czym będziemy rozmawiać?

- O mnie oczywiście.

- Czyżby to był taki pasjonujący temat do rozmowy?

- Dla mnie ogromnie pasjonujący.

Uśmiechnęła się leciutko.

- Ma pan poczucie humoru.

- To taki wisielczy humor. -Jest pan w złym nastroju?

- W nie najlepszym. Zdecydowałem się wreszcie opuścić nasz polski „raj” komunistyczny i teraz szukam jakiegoś zaczepienia. Na nowym terenie nie tak łatwo się urządzać.

- Kim pan jest z zawodu?

- Reżyserem filmowym. Moja specjalność to filmy krótkometrażowe. Nakręciłem także dwa filmy pełnometrażowe, ale ze względów politycznych nigdy nie weszły na ekrany, leżą na półkach.

Mówili po angielsku dosyć głośno, tak, żeby stojący opodal kelnerzy mogli słyszeć ich rozmowę. W pewnym momencie hrabina skinęła na jednego z nich.

- Proszę o dwa podwójne koniaki.

- Służę uprzejmie - skłonił się kelner. Zwoliński spojrzał zdziwiony.

- O, widzę, że pani postanowiła odstąpić od swojej zasady. Uśmiechnęła się trochę serdeczniej.

-To dla przypiętowania naszej znajomości, eher monsieur Kowalski. Przyznaję, że zrobił pan na mnie dobre wrażenie. Chciałabym panu jakoś dopomóc. Zastanowię się... pomyślę...

- Nie śmiałybym pani fatygować, pani hrabino.

- To żadna fatyga. Mam tu sporo znajomości, w sferach filmowych także. Skontaktuję pana, z kim należy. Spróbujemy. Mam pewien pomysł. W czwartek, to znaczy pojutrze, markiza de Chatillon urządza u siebie taki artystyczny wieczór, jak co tydzień. Przychodzą do niej artyści, malarze, literaci, poeci, muzycy i wszelkiego rodzaju tak zwana tutejsza cyganeria. Bywają także i filmowcy. Może akurat trafi się pańska „wielka” szansa.

-Jestem pani niesłychanie wdzięczny.

- Odwdzięczy mi się pan we właściwym czasie, jeżeli oczywiście coś z tego wyniknie. Wystaram się o zaproszenie dla pana, monsieur Kowalski. Bo trzeba panu wiedzieć, że te artystyczne wieczory są ściśle kontrolowane i wstęp wyłącznie za zaproszeniami. Chodzi o to, żeby byle kto, snobujący się na „wielką” sztukę, nie popsuł nastroju. To zresztą nie przedstawia najmniejszej trudności, ponieważ markiza de Chatillon jest moją serdeczną przyjaciółką i jeżeli ją poproszę...

- Madame, nie wiem, jak wyrazić swą wdzięczność.

-Zwoliński pochylił się i dotknął wargami wypielęgnowaną dłoń.

Delikatnie cofnęła rękę.

-Jeżeli chodzi o wyrazy wdzięczności, to nigdy nie należy przesadzać.

Zwoliński był w takim nastroju, że odpowiadałaby mu pewna przesada, ale oczywiście tego nie okazał.

Rozmawiali jeszcze czas jakiś o malarstwie, o literaturze, o nowoczesnej muzyce, o sztuce filmowej. Mówili ciągle po angielsku, wtrącając od czasu do czasu jakieś słowo francuskie. Umówili się, że spotkają się jutro na obiedzie i że wtedy hrabina wręczy swemu nowemu znajomemu zaproszenie.

- Niech pan będzie dobrej myśli, monsieur Kowalski. Zwoliński był dobrej myśli. Ta dziewczyna

rzeczywiście

bardzo mu się podobała. Zaczynał kombinować, jak by sprawy służbowe przesunąć na bardziej osobisty teren.

Było gwarно. Artystyczna brać stawiała się w nadkomplecie.

Było to spowodowane częściowo snobistycznymi „ciągotami” tego światka, a częściowo wybornymi przekąskami i znakomitymi trunkami, których nie żałowała swoim gościom markiza Elwira de Chatillon. Wśród gości

uwijali się zgrabnie kelnerzy z tacami, z butelkami, z kieliszkami, ze szklankami napełnionymi wielobarwnym płynem, w których pobrzękiwały kostki lodu.

Zwoliński początkowo był oszołomiony. Od dawna odwykł od takich masowych ludzkich „spędów”.

Szukał w tym tłumie jakiejś znajomej twarzy, wreszcie dostrzegł Alicję. I ona go spostrzegła.

- Świetnie, że pan przyszedł. Już myślałam, że pan zablądził. Chodźmy, chodźmy. Przedstawię pana gospodyni.

Markiza de Chatillon, bardzo wysoka i bardzo szczupła dama, powitała protegowanego hrabiny z pełną dystynkcji rezerwą. Jakiś nikomu nieznany filmowiec, przybyły ze strefy komunistycznej, nie budził w niej większego zainteresowania. Uśmiechnęła się kwaśno i powiedziała kilka banalnych, uprzejmościowych słów.

Zwoliński uważnie obserwował tą chudą, podłużną twarz, zakończoną wydatną dolną szczęką. O mało się nie roześmiał, ponieważ nagle przypomniała mu się jego pełnej krwi klacz, na której swego czasu galopował w okolicach Londynu.

Po dokonaniu oficjalnej prezentacji Alicja wzięła go pod rękę i zaprowadziła do bufetu.

- Może napijemy się koniaku? - zaproponowała. Potrząsnął głową.

- Dziękuję, ale o tej porze nie pijam alkoholu. Roześmiała się.

- Jest pan mściwy, monsieur Kowalski.

- Nie jestem mściwy, pani hrabino. Po prostu po alkoholu źle sypiam i dlatego...

- To może odpowiada panu sok pomarańczowy?

- Bardzo chętnie.

Przez chwilę prowadzili lekką, nieobowiązującą rozmowę. W pewnym momencie hrabina sięgając po kieliszek, pochyliła się ku swemu towarzyszowi.



- Przyszedł Biernacki - szepnęła.

Zwoliński ani drgnął. Popijał swój sok pomarańczowy i uśmiechał się uprzejmie. Dopiero po jakimś czasie, kiedy Alicja odeszła od niego, żeby porozmawiać z jakimiś swoimi znajomymi, odwrócił się i wzrokiem poszukał nowo przybyłego. Zadanie miał ułatwione o tyle, że Harding pokazał mu fotografię Biernackiego.

Tak. To był mężczyzna, który mógł zawrócić w głowie niejednej kobiecie. Wysoki, świetnie zbudowany, o sylwetce sportowca, miał w sobie coś pociągającego i odpychającego zarazem. Bujna, lekko przyprószona siwizną czupryna zaczesana do góry nadawała kształtnej głowie charakter człowieka mocnego, przywykłego do rozkazywania. Wrażenie to potęgowały jeszcze jasnoniebieskie oczy o zimnych, stalowych błyskach. Miał tu niewątpliwie wielu znajomych i przyjaciół. Co chwilę witał się z kimś, potrząsając energicznie wyciągniętą ku sobie dłonią i zamieniając kilka uprzejmych słów.

Uśmiechał się, ale ten uśmiech nie należał do zbyt sympatycznych. Zbyt często za grzecznościową otoczką wyczuwało się w nim drwinę. Bez trudu można było zauważyć, że lekceważy tych wszystkich ludzi i że przyszedł tu tylko w tym celu, żeby się pokazać w tak zwanych „wyższych” sferach towarzyskich.

Zwoliński nie potrzebował nawiązywać rozmowy z Biernackim, aby się zorientować, co to za typ człowieka. W pewnym momencie spostrzegł egzotycznego osobnika, który nakładał sobie na talerzyk sałatkę z ananasów. Hindus? Arab? Marokańczyk? Ostatecznie nic by nie było dziwnego w tym, że jakiś azjatycki gość został zaproszony przez markizę na przyjęcie, gdyby nie fakt, że ów osobnik miał okaleczone lewe ucho. Jakby ktoś nożem odciął dolne zakończenie muszli usznej. Zwoliński nerwowo zaczął szperać w pamięci. Ależ tak... Warszawa... kapitan Górniak. .. sierżant, który inwigilował Libijczyka Ahmeda Nagiba. Jak to ten sierżant wtedy powiedział? „Ma facet ucięty kawałek ucha, ten dzyndzolek.” W tej chwili przechodziła koło niego hrabina Alicja. Zatrzymał ją

spojrzeniem.

- Kto to jest ten egzotyczny gość? Spojrzała we wskazanym kierunku.

- Ten? To jakiś irański arystokrata. Podobno daleki krewny byłego szacha. Nazywa się, jakoby, księżę Hazir Reza Abdullah.

- A jak się naprawdę nazywa? Nieznacznie wzruszyła ramionami.

- Nie potrafię panu odpowiedzieć na to pytanie. - Wielka szkoda. To mogłoby być bardzo interesujące.

- Zajmę się tym - zapewniła. - A teraz prosimy o uwagę. Zaczyna się część artystyczna wieczoru - dodała, odchodząc.

I rzeczywiście. Rozległy się fortepianowe akordy i jakaś dobrze odżywiona śpiewaczka wykonała koloraturową arię z Fausta. Następnie śpiewał baryton, potem bas, potem znowu koloratura. W dalszym

ciągu programu wystąpili pianista, skrzypek i wiolonczelista, już nie pierwszej młodości „cudowne dziecko”. Po zakończeniu części muzycznej wieczoru nastąpiły monologi, recytacje, króciutkie skecze. Wszystko to odbywało się na maleńkiej estradzie, która bardzo zręcznie została zakomponowana w salonie, utrzymanym w stylu dziewiętnastowiecznym.

Zwoliński nie zwracał większej uwagi na występy artystyczne. Przemyślał nad tym, jaką ma przyjąć taktykę w stosunku do Biernackiego. Postanowił zastosować metodę uderzeniową. Skorzystał z przerwy między występami i zbliżył się do swojej „ofiary”.

- Przepraszam.

Ostre jak brzytwa spojrzenie niebieskich oczu.

- Pan do mnie mówi? - Głos niechętny, o mocnym barytonowym dźwięku.

- Tak, do pana.

- Czego pan sobie życzy?

- Chciałbym z panem chwilę na osobności porozmawiać.

- Nie znam pana i nie widzę powodu, dla którego miałbym z panem rozmawiać „na osobności”.

Zwoliński jednak nie miał zamiaru rezygnować.

- Nazywam się Kowalski, Tomasz Kowalski, Tomasz

Wierusz-Kowalski, bliski krewny tego znanego malarza.

- Pan także maluje? — Ton głosu stał się już nieco łagodniejszy.

- Nie. Ja nie jestem malarzem. Jestem reżyserem filmowym.

- Nie interesuje mnie film.

- Ani przez chwilę nie sądziłem, żeby pan się entuzjasmował sztuką filmową - uśmiechnął się Zwoliński. -Pozwoliłem sobie pana niepokoić, ponieważ proszono mnie, żebym panu przekazał pewną wiadomość, panie Biernacki.

Znowu to samo ostre spojrzenie niebieskich oczu, które teraz jakby nieco pociemniały.

- To jakieś nieporozumienie, panie Kowalski. Wziął mnie pan za kogoś innego. Ja nazywam się Karlinger, Wilhelm von Karlinger.

Zwoliński podszedł jeszcze bliżej i szepnął, nieomal dotykając wargami ucha swego rozmówcy:

- Zenon siedzi. - Następnie skinął głową i pośpieszył podziwiać jakiegoś artystę, który popisывał się grą

na pile. Do końca wieczoru nie zbliżał się ani do Alicji, ani do Biernackiego.

Kiedy odbierał z szatni płaszcz, jeden z kelnerów, o długiej mizernej twarzy, podszedł do niego.

- Samochód czeka na pana.

- Nie zamawiałem taksówki.

- To nie taksówka.

Rzeczywiście, to nie była taksówka. Srebrzyste volvo. Szofer w efektownej liberii uklonił się i otworzył drzwiczki.

- Pan baron Karlinger czeka na pana - powiedział. Zwoliński chwilę się zawahał, ale wsiadł. Postanowił konsekwentnie prowadzić rozpoczętą grę.

- Czy na pewno pan po mnie przyjechał? Czy to nie jest jakaś pomyłka?

Szofer nie odwracając się, potrząsnął głową.

- W naszym zawodzie nie może być mowy o pomyłkach. - Zabrzmiało to trochę aluzyjnie, ale Zwoliński nie przywiązywał do tego większej wagi. Zaproszenie do tego wozu było tak niespodziewane, że nie zdążył skontaktować się z Alicją. Nie

wiedział też, czy hrabina i Harding zapewnią mu odpowiednią obstawę, czy musi liczyć na własne siły.

Widać było, że szofer chciałby rozwinąć większą szybkość, ale to nie było takie proste. Ruch na ulicach był o tej porze bardzo duży. Wreszcie, pokonując wieczorowe korki, zdołali wydostać się za miasto. Jechali w zupełnym milczeniu. Ani szofer nie zdradzał ochoty do rozmowy, ani Zwoliński, który ciągle nie był pewien, czy przypadkiem nie palnął jakiegoś głupstwa. Mógł przecież nie zgodzić się na tę jazdę. Nie miał nawet przy sobie pistoletu.

Tak jak mówił Harding, willa Biernackiego była położona o jakieś kilkadziesiąt kilometrów poza Nowym Jorkiem. Szofer dał sygnał i natychmiast otworzono bramę. Wjechali do dużego ogrodu, którego uroki trudno było o tej porze podziwiać. W głębi bieleły się oświetlone ściany domu.

Zwoliński, poprzedzany przez szofera, wszedł na obszerny taras, z którego prowadziły drzwi do apartamentów pana barona.

Powitanie było nadspodziewanie serdeczne.

- To miło, że pan nie odmówił mojemu zaproszeniu - powiedział Biernacki, potrząsając energicznie dłonią swojego gościa. - Proszę mi wybaczyć, że nie uczyniłem tego osobiście, ale pilne sprawy zmusiły mnie do wcześniejszego opuszczenia salonów pani markizy. Dlatego pozwoliłem sobie posłać po pana mojego szofera. Mam nadzieję, że nie weźmie mi pan tego za złe.

Zwoliński był zaskoczony nieoczekiwaną uprzejmością swego gospodarza, która go nieco niepokoiła. Wiedział z doświadczenia, że nagła diametralna zmiana nastroju nie wróży zazwyczaj nic dobrego.

Weszli do obszernego salonu, zagraconego stylowymi i pseudostylowymi meblami. Na ścianach obrazy, lustra porozwieszane dosyć bezładnie. W głębi fortepian na niewielkim podwyższeniu.

- Czym pana można poczęstować? - spytał Biernacki, wskazując gościowi wolterowski fotel. Koniak? Whisky?

Zwoliński potrząsnął głową.

- Bardzo dziękuję, ale o tej porze nie pijam alkoholu.

- To może filiżaneczkę kawy.

- Nie, nie, dziękuję. Niech się pan nie fatyguje. Przyjęcie u pani markizy było tak wystawne, że nie ma potrzeby obciążać żołądka dodatkowym jedzeniem czy pić.

Biernacki usiadł na drugim wolterowskim fotelu i wyjął papierosy.

- Zapali pan?

- Dziękuję. Nie palę.

- Jest pan człowiekiem niezmiernie ostrożnym - uśmiechnął się Biernacki.

Zwoliński udał zdziwienie.

- Nie rozumiem.

- Doskonale pan rozumie, mister Kowalski. Ale mniejsza z tym. Może porozmawiamy o konkretnych sprawach, a przede wszystkim o celu pańskiej wizyty u mnie.

- O właśnie - podchwycił Zwoliński. — Byłbym ogromnie rad, gdyby mi pan zechciał wyjaśnić, w jakim celu sprowadził pan mnie do swego domu.

- Podobno ma pan mi przekazać jakieś wiadomości. Zwoliński skinął głową.

- To prawda. Ale proponuję, żebyśmy przeszli na język polski. Ta angielszczyzna już mi staje kością w gardle. Sądzę, że posługując się naszą mową ojczystą, dużo prędzej się dogadamy, panie Biernacki, panie Gustawie Biernacki. Jak pan widzi, znam nawet pańskie imię.

- Już panu raz powiedziałem, że nazywam się Wilhelm von Karlinger, a nie jakiś tam Biernacki. Ale ja mówię po polsku, więc jeżeli pan woli, możemy rozmawiać w tym języku.

- To już jest coś - ucieszył się po polsku Zwoliński. - Przekona się pan, że nam ta pogawędka pójdzie o wiele składniej. Ja jestem Polak, pan jest Polak...

- Moja matka była Polką.

- Dobra, dobra. Nie będziemy się spierać o detale. Ale do rzeczy. Więc... Mam dla pana przykrą wiadomość. Zenon Gilner siedzi. Zapudlili go w Neapolu. Była większa wpadka.

Wzruszenie ramion.

- Nic mnie to nie obchodzi. Nie znam żadnego Zenona Gilnera.

Zwoliński skrzywił się z niesmakiem.

- Niech się pan nie zgrywa, panie Biernacki. Zenon siedzi i prędko z kicia nie go mocno przycisną. Chociaż te włoskie gliny to raczej mięczaki. Ale i u nich Jest także możliwa ekstradycja. A jak Włosi przekażą polskiej milicji Gilnera,

Może się panu życie skomplikować, panie Biernacki.

Twarz pana barona pociemniała. Spoglądał spode łba na mówiącego.

- Czego pan chce ode mnie?

- Nareszcie jakieś rozsądne pytanie - uśmiechnął się Zwoliński. - Ja niczego od pana nie chcę. Po prostu Zenon prosił mnie, żebym się z panem skontaktował, przekazał mu pewne wiadomości i ewentualnie nawiązał współpracę. I jeszcze jedna sprawa... Zenon polecił mi pana ostrzec przed pewnym Azjata. Swego czasu podawał się za Libijczyka, Ahmeda Nagiba. Obecnie chce uchodzić za irańskiego księcia spokrewnionego jakoby z byłym szachem. Nazywa się, według jego nowojorskiej wersji, Hazir Reza Abdullah. Zenon radził, żeby pan mu nie ufał. A co do mnie, to wcale nie jestem pewien, czy ten irański „książę” nie maczał palców w tej neapolitańskiej wpadce. Jak więc pan widzi, jestem niezłe zorientowany w branży. Nie tylko policja nam zagraża. Nieuczciwa konkurencja także.

- Chciałby pan ze mną pracować? - spytał wprost Biernacki.

- Chętnie. Jeżeli oczywiście ma pan do mnie zaufanie.

- Powiedzmy, że mam.

- Co mi pan proponuje? Ostrzegam, że jestem bardzo kosztownym współpracownikiem.

wyjdzie. Może sypać, jeżeli trafia się czasem twardy typ to może być grubszy klops.

Biernacki uśmiechnął się.

- Nic nie szkodzi. Nie takich już miewałem „kosztownych” współpracowników. Ma pan ochotę przejechać się do Montrealu?

- Dlaczego nie? Lubię podróżować.

- To świetnie. Jutro wieczorem odpływa mój motorowy jacht. Niech pan przyjdzie tak około godziny osiemnastej. Zaokrętujemy pana.

-Jakie będzie moje zadanie?

- Wszystkie szczegóły omówimy w mojej kabinie. Jestem pewien, że będzie pan zadowolony.

-Ja także.

Biernacki uprzejmie odprowadził swojego gościa do drzwi.

-I niech pan nie zapomni. Jacht nazywa się „Annabella”. Lepiej niech pan nikogo nie pyta. Łatwo pan znajdzie. To duży jacht, którym można opłynąć cały świat.

Po powrocie do hotelu Zwoliński położył się, ale mimo zmęczenia nie mógł zasnąć. Niespokojne myśli kłębiły mu się pod czaszką.

- To wszystko było zbyt piękne, aby mogło być prawdziwe. Czyż to możliwe, żeby taki chytry lis jak Biernacki dał się tak nabrać? Prawda, że informacje, które otrzymał były bardzo przekonujące, ale ostatecznie policja mogła także dysponować tymi wszystkimi wiadomościami.

Nazajutrz z samego rana pobiegł do automatu (wolał nie korzystać z hotelowego aparatu) i zadzwonił do hrabiny Alicji. W krótkich słowach powiedział, jak sprawa wygląda, i prosił, żeby zawiadomiła RONALDA. Resztę dnia spędził na nerwowym oczekiwaniu. Zdawał sobie doskonale sprawę, że ryzykuje bardzo dużo, być może życie. Ludzie, z którymi rozpoczął podjazdową wojnę, nie będą mieli żadnych skrupułów. Albo kula, albo czymś ciężkim w głowę i za burtę. Starannie obejrzał pistolet, naładował i wsunął do kieszeni marynarki dwa zapasowe magazynki. Wiedział, że w razie wpadki to niewiele da, ale zawsze wypróbowana broń pod pachą dodawała mu pewności siebie. Wreszcie nadszedł wieczór.

O siedemnastej trzydzieści był już na przystani. Jacht Biernackiego znalazł bez trudu. „Annabella”. Duży, luksusowy jacht, wyposażony w potężne motory. Maszty i żagle służyły raczej do rozrywki aniżeli do nawigacji.

Pan baron przywitał go z wylewną serdecznością.

- Cieszę się, że pan przyszedł, bardzo się cieszę. Naprawdę.

- Dlaczegoż miałbym nie przyjść? - zdziwił się Zwoliński.

- Mogło coś panu niespodziewanego wypaść. Zwolińskiemu wydało się, że słowo „wypaść” miało jakieś specjalne zaakcentowanie.

- A teraz pokaże panu moją kabinę - rzekł Biernacki.

Po schodkach zeszli w dół. Duża kabina urządzona była z prawdziwym przepychem. Na środku stał prostokątny stół, zarzucony mapami. W tej chwili zawarczały motory i jacht odbił od mola.

-Już płyniemy? - zdziwił się Zwoliński. -Już płyniemy - przytaknął pan baron. - Czyżby pana to zaskoczyło, mister Kowalski?

- Sądziłem, że mamy wyruszyć po zachodzie słońca. -Już prawie słońce zachodzi. A lepiej wyjść w morze jeszcze w świetle dziennym. Niech pan siada. Pokażę panu trasę, jaką będziemy płynąć.

- Do Montrealu?

- Tak, prościutko do Montrealu. Mam nadzieję, że nie będziemy musieli zbaczać z kursu.

Zwoliński czuł się niewyraźnie. Z trudem przełknął ślinę. Jedyne tkwiący w kaburze pod pachą pistolet dodawał mu otuchy.

Biernacki pochylił się nad mapami.

- Niech pan spojrzy.

W tej chwili ktoś zapukał do drzwi. Wszedł oficer w eleganckim marynarskim mundurze.

- Panie baronie, dwie patrolowe motorówki płyną w naszym kierunku. Dają sygnał, żeby się zatrzymać.

- Maszyny stop - rozkazał Biernacki.

Policyjne motorówki szybko dogoniły jacht. Niebawem pięciu policjantów znalazło się na pokładzie.

- Kto jest właścicielem tego jachtu? -Ja. Baron Wilhelm von Karlinger. Porucznik przyłożył dłoń do czapki.

- Proszę nam wybaczyć, panie baronie, ale poszukujemy zbiegłego kryminalisty, handlarza narkotyków.

- U mnie panowie szukają handlarza narkotyków? -zdumiał się pan baron.



- Czy pan ostatnio angażował jakichś nowych marynarzy?
- Tak. O ile wiem, to dwóch czy trzech.
- Czy możemy obejrzeć jacht?
- Proszę uprzejmie. Mój oficer panów oprowadzi.

Po dłuższej chwili policjanci znowu pojawili się na pokładzie, prowadząc skutego osobnika. Zwoliński spojrzął i zmartwił. Marcello Ponetti. To był prawdziwy cios. Nie uległo wątpliwości, żeten przeklęty Sycylijczyk go sygnął. Jeżeli policjanci odpłyną i on zostanie zdany na łaskę Biernackiego, to może już nigdy nie zobaczy Laury i dzieci.

Nerwowo zaczął szukać jakiegoś wyjścia z tej beznadziejnej sytuacji. Jednakże żaden genialny pomysł nie przychodził mu do głowy. Jak się wycofać z tej podróży do Montrealu? Jak się ratować?

- Dokąd pan się udaje, panie baronie? - spytał porucznik.
- Do Montrealu - brzmiała odpowiedź.
- W celach turystycznych?
- Nie tylko - uśmiechnął się pan baron. - Pragnę odwiedzić mojego kuzyna, a poza tym mam tam też do załatwienia pewne sprawy handlowe.
- Czy można zapytać, jakie to sprawy handlowe? ,
- Zapewniam pana, że nie chodzi o narkotyki. Porucznik roześmiał się, robiąc wrażenie szczerze ubawionego.
- Ani przez chwilę nie podejrzewałem pana o tego rodzaju transakcje handlowe.

- Oprócz tego, że poświęcam się malarstwu, jestem zamiłowanym filatelistą - wyjaśniał w dalszym ciągu pan baron. - Otóż... mój kanadyjski agent zawiadomił mnie, że jeden z jego klientów interesowałby się moimi klaserami, których fotokopie mu przesłałem. Jeżeli te sprawy pana interesują, panie poruczniku, to chętnie pokażę panu moje filatelistyczne zbiory.

- Bardzo dziękuję, ale filatelistyka mnie nie interesuje - uśmiechnął się porucznik i spojrzął na Zwolińskiego. - Czy pan jest pasażerem, czy członkiem załogi?

- To mój gość - wyjaśnił pośpiesznie pan baron. - Mister Wierusz-Kowalski.

- Pan jest Polakiem?

- Tak, jestem Polakiem - odparł Zwoliński, który zaczynał odczuwać niejaką ulgę. - Niedawno przyjechałem do Nowego Jorku.

- Czy mogę zobaczyć pański paszport?

- Oczywiście. Proszę uprzejmie.

Policjant wziął paszport i przeglądał go bardzo uważnie.

- Czy coś nie w porządku? - spytał Zwoliński.

- Bardzo żałuję, ale z tym paszportem nie może pan się udać do Montrealu - odparł porucznik.

- A to dlaczego? - wtrącił się dość energicznie pan baron.

- Bo w paszporcie brak wizy kanadyjskiej. Zwoliński uderzył się dłonią w czoło.

- Do diabła! Nie pomyślałem o tym.

- Będzie pan musiał przesiąść się do naszej motorówki - powiedział porucznik.

Zwoliński zrobił zgnębioną minę.

- No cóż... trudno. Nie wszystko się człowiekowi w życiu układa tak, jakby sobie tego życzył. Żegnam pana, panie baronie. Żałuję, że nam się ta wycieczka nie udała.

-I ja także żałuję. Może nawet bardziej aniżeli pan - powiedział pan baron, nie wyciągając ręki na pożegnanie.

- Good luck, mister Kowalski.

\*\*\*

Harding rozsiadł się wygodnie w fotelu i zapalił papierosa.

- Wyobrażam sobie, jak się poczułeś, kiedy zobaczyłeś tego Sycyliczka.

- Muszę przyznać, że poczułem się nieszczególnie. Nie miałem przecież wątpliwości, że ten łajdak mnie widział i że prawdopodobnie sypnął. Nie wiedziałem, jak wybrnąć z sytuacji. Wycofać się z tej wycieczki było mi bardzo niezręcznie, ale z drugiej strony nie zachwycała mnie perspektywa spotkania z rekinami. Czy ty wiedziałeś, że Ponetti zamustrował na ten jacht?

Harding potrząsnął głową.

- Nie miałem pojęcia. Mogłem się jedynie domyślać. Wiedziałem natomiast, że Ponetti uciekł agentom FBI, którzy

go nakryli na handlu narkotykami. Z wiadomości, jakie otrzymaliśmy z Interpolu, wynikało, że Ponetti jest na usługach księcia Hazira Rezy Abdullaha, czyli Ahmeda Nagiba, a ten współpracuje ściśle z Biernackim. Przypuszczałem, że jest rzeczą bardzo prawdopodobną, iż Ponetti ukrył się na jachcie Biernackiego i że w związku z tym tobie może zagrażać poważne niebezpieczeństwo. Dlatego wysłałem motorówki z policjantami, którzy otrzymali polecenie zabrania cię z jachtu pod jakimkolwiek pretekstem. Nawet gdyby nie znaleźli Ponettiego, ryzyko było zbyt duże. Diabli wiedzą, gdzie ten przeklęty Sycylijczyk mógł cię widzieć.

- Nie masz pojęcia, z jaką ulgą odetchnąłem, kiedy znalazłem się w policyjnej motorówce - uśmiechnął się Zwoliński.

Harding odwzajemnił się uśmiechem.

- Cieszę się, że się to tak pomyślnie skończyło. Czy masz zamiar wracać do Rzymu, czy do Paryża?

- Chcesz się mnie pozbyć?

- Broń Boże. Chciałbym, żebyś jak najdłużej był z nami. Ale niestety na tutejszym terenie jesteś spalony.

- To prawda - przyznał Zwoliński. - Żałuję, że tak po-kpiłem sprawę z tym Biernackim.

- Nie twoja wina - powiedział Harding. - Trudno było przewidzieć, że akurat na naszym terenie pojawi się ten przeklęty Ponetti. Z tej całej historii wynika taki morał, że jak najszybciej należy likwidować niewygodnych Sycylijczyków.

Zwoliński wstał, przeszedł się po pokoju i zapalił papierosa.

- Powiedz mi, kochany, co właściwie jest z tymi obrazami.

- A właśnie - podchwycił Harding. - Wyobraź sobie, że prace Armanda Castiglione'go przyplłynęły do Nowego Jorku i niejaki Raul Pavani zorganizował tu efektowną wystawę.

- Czy wiesz, że ten Pavani jest podejrzany o zamordowanie mojego brata?

Harding skinął głową.

- Wspominałeś mi o tym. Czy to pewne?

- Wiesz równie dobrze jak i ja, że w tego rodzaju sprawach nie ma rzeczy pewnych, dopóki brak konkretnych dowodów. Ale mów mi o tych obrazach, a przede wszystkim o ramach.

Mój przyjaciel Antonio z włoskiej sekcji specjalnej w Rzymie mówił mi, że w tych ramach...

- Otóż to... - przerwał Harding. - Nam także Rzym zasygnalizował, że mają zamiar w specjalnie skonstruowanych ramach przemyścić większą partię narkotyków. Pilnowaliśmy, sprawdzaliśmy, byliśmy obecni przy wyładunku i nic, ani śladu narkotyków.

- Albo zrezygnowali, albo na statku przeładowali towar do jakichś innych pojemników - powiedział Zwoliński. - Chciałbym zobaczyć te obrazy i te ramy.

\*\*\*

Wystawa prac Armanda Castiglione'go była zorganizowana z iście amerykańskim rozmachem i cieszyła się dużym powodzeniem.

Przyszli, kiedy już nie było zwiedzających. Uważnie przyglądali się dużym, efektownym ramom, które rzeczywiście mogły służyć do przemykania narkotyków. Nagle Zwoliński szarpnął przyjaciela za rękaw.

— Patrz, patrz, ten pejzaż tam w rogu, te chaty przysypane śniegiem... To przecież jest obraz mojego brata Roberta. To on to namalował. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Wracam do Rzymu.

- Może ci się zdaje - powiedział Harding. - Jestem pewien.

Od pewnego czasu Raul żył w nieustannym zdenerwowaniu. Źle sypiał, miewał koszmarne sny. To życie, które prowadził, stało się dla niego udręką nie do zniesienia. Ciągłe udawanie, ciągła mistyfikacja, nieustanny taniec nad brzegiem przepaści. Wystarczył jeden fałszywy krok, żeby... Wystarczył jeden kaprys, jeden nieprzewidziany wybryk Luciana, żeby wszystko pogrzyźć. Wprawdzie hrabina trzymała go ciągle jeszcze żelazną ręką, ale... Na domiar złego przyplątała się jeszcze ta piekielna sprawa z narkotykami. Nie mógł odmówić. Wiedział, że stawką jest życie, doskonale się orientował, że ci ludzie nie żartują i że nie mają litości dla tych, którzy nie są im powolni. Musiał pozwolić, żeby do ram, w których obrazy miały przepłynąć ocean, naładowano narkotyki. Wykrycie tej sprawy oznaczało dla niego wiele lat więzienia. Lepsze jednak więzienie aniżeli śmierć od kuli. Na szczęście w Nowym Jorku przekonał się, że podczas podróży niebezpieczny ładunek został z ram usunięty. Obrazy były o wiele łżejsze. To mu trochę poprawiło humor, ale wiedział, że tak łatwo nie uwolni się od handlarzy narkotyków. Któż to wie, czego w najbliższej przyszłości zażądają od niego? Mają go w rękę i nie tak łatwo zrezygnują ze współpracy z takim człowiekiem jak on. Wpadł, paskudnie wpadł.

Druga sprawa, która nie dawała mu spokoju, to był jego romans z hrabiną. Miał już jej powyżej uszu i z największym wysiłkiem usiłował odgrywać rolę czulego i wiernego kochanka. Wiedział, że rezultaty tych usiłowań są mizerne i że ona zdaje sobie sprawę, jakim jest jego stosunek do niej. W życiu intymnym między dwojgiem ludzi bardzo trudno grać komedię na dłuższą metę. Nie miał wątpliwości, że w każdej chwili hrabina może zmienić testament i pozbawić go olbrzymiej fortuny. Lawirował więc w dalszym ciągu, udawał, zgrywał się, dokładał wszelkich starań, żeby zasłużyć na miano czulego kochanka. Nie był jednak zadowolony z tych swoich wysiłków. Zdawał sobie

doskonale sprawę, że hrabina jest kobietą zbyt wrażliwą i zbyt inteligentną, żeby błyskawicznie nie rozszyfrować jego gry. Nie poruszała jednak tego tematu i udawała, że wszystko jest w porządku, że wszystko jest jak dawniej. Żyli tak we wzajemnym zakłamaniu, na zasadzie cichego porozumienia. On był jej potrzebny jako kochanek i jako impresario, organizujący wystawy obrazów, ona przedstawiała dla niego kolosalny majątek. Po jej śmierci miał zostać bogaczem. Od czasu do czasu nachodziły go takie myśli, żeby może przyspieszyć hrabinie dostanie się do krainy wiecznej szczęśliwości, ale opędał się od takich marzeń. Zbyt dużo ludzi wiedziało o tym testamencie.

Nagle, jak grom z jasnego nieba, spadła na niego ta niespodziewana wiadomość. Hrabina zakochała się w Amerykaninie. Początkowo sądził, że tych dwoje łączą jakieś handlowe sprawy. Aż któregoś dnia...

John Barclay był wspaniałym mężczyzną. Wysoki, świetnie zbudowany, szeroki w ramionach, miał sylwetkę sportowca w najlepszym tego słowa znaczeniu. Bujne, falujące, ciemnoblonde włosy wyglądały tak, jakby je ktoś leciutko posypał popiołem. Twarz pociągła, śniada, o mocnych rysach wyrażających męską siłę i zdecydowanie. Usta pełne, zmysłowe, jakby stworzone do pocałunków. Oczy zielone ze złotawymi cętkami błyszcząły energią i radością

życia. Podawał się za dziennikarza wydelegowanego w charakterze korespondenta przez amerykańskie czasopisma. Mówił biegle po włosku, po francusku i oczywiście po angielsku.

I właśnie któregoś dnia Raul zastał tego amerykańskiego dziennikarza na tapczanie z hrabiną, która nie miała zwyczaju zamykania drzwi na klucz.

Wycofał się dyskretnie, nie urządzając żadnych scen. Przez całą noc rozmyślał, jak ma w tej sytuacji postąpić. Wreszcie zdecydował, że przejdzie nad tym do porządku dziennego. „Może to tylko chwilowy kaprys” - myślał. Okazało się jednak, że to nie był „chwilowy kaprys”.

\*\*\*

I znowu owacyjne powitanie na rzymskim lotnisku.

- Tak się cieszę, tak się ogromnie cieszę, carissimo Pa-olo - powtarzał Antonio, ściskając przyjaciela. - Jak to dobrze, że do nas wróciłeś. Wyobraź sobie, że ta twoja ne-apolitańska akcja narobiła trochę szumu. To była prawdziwa sensacja.

- Nie przesadzaj - łagodził skromnie Zwoliński. - Po prostu udało się. Natomiast w Nowym Jorku całkowite fiasko.

- Co ty mówisz?

- Potem ci wszystko opowiem.

Pojechali do hotelu. Zwoliński powiesił w szafie ubrania, ułożył bieliznę i różne małe drobiazgi. Był systematyczny i nie lubił trzymać rzeczy w walizce.

- Po jakiego diabła to wszystko ma się gnieść w tym pudle? - powiedział.

Potem rozebrał się, poszedł do łazienki i wziął prysznic. Odświeżony wrócił do pokoju, włożył elegancki ja-snopopielaty garnitur, zawiązał krawat koloru dojrzałej wiśni i dopiero wtedy wygodnie rozsiadł się w fotelu.

- Pewnie jesteś ciekaw, jak tam było za oceanem.

- Nie mogę się doczekać - przyznał Antonio.

Zwoliński zapalił papierosa i zaczął opowiadać. Kiedy skończył mówić, Antonio melancholijnie pokiwał głową.

- No cóż... mówi się trudno. Nie wszystko się w życiu udaje. Najważniejsze, że cało wyszedłeś z tych opresji. Mogło być z tobą bardzo kiepsko.

- Mogło być ze mną zupełnie źle - przyznał Zwoliński. - Widziałem się już w charakterze smacznej zakąski dla rekinów.

- Chwała Bogu, że się tak skończyło. Powiedz mi, caris-simo, czy byłeś na tej wystawie obrazów w Nowym Jorku?

- A właśnie - podchwycił Zwoliński. - Zapomniałem ci powiedzieć. Wyobraź sobie, że na wystawie prac Armanda Castiglioniego zobaczyłem obraz malowany przez mojego brata Roberta. Właściwie to jest głównym powodem mojego powrotu do Rzymu. Muszę zbadać tę sprawę.

-Jesteś pewien, że to jest obraz twojego brata?

- Najzupełniej.

- Może coś bardzo podobnego?

- Wykluczone. Znam doskonale ten obraz. To jedna z pierwszych prac Roberta. Tkwił wtedy w stuprocentowym realizmie.

- Wobec tego Castiglioni kupił ten obraz i podszył się pod autorstwo - powiedział Antonio.

Zwoliński skinął głową.

- Na to wygląda. Muszę sprawdzić, pogadać z tym facetem. Ale powiedz mi, co z tymi ramami. Agenci FBI i Harding ze swoimi ludźmi nie zdołali znaleźć w tych ramach ani odrobiny jakiegoś narkotyku.

Antonio zasępił się.

- Wiem. Niestety. Musieli na statku wylądować z ram cały towar i przenieść go do innych pojemników.

-Jesteś pewien, że tutaj u was załadowali do ram narkotyki?

-Jestem najzupełniej pewien.

- To dlaczego wtedy nie nakryliście ich przy tym załadunku?

Antonio uśmiechnął się.

-Jesteś zmęczony, carissimo, i głowa ci w tej chwili nie pracuje tak dobrze jak zwykle. To przecież jasne. Faszzerowaniem ram narkotykami zajmowały się drobne płotki. Gdybyśmy ich zatrzymali, to sprawa

byłaby całkowicie ucięta. Chcielibyśmy zarzucić sieć na całą organizację i wyłowić grube ryby.

-I nic z tego nie wyszło - powiedział Zwoliński. Antonio rozłożył ręce.

-Trudno. Raz nam coś wychodzi, a drugi raz nie. Trzeba się z tym pogodzić. Ale zapewniam cię, że ci dranie prędzej czy później wpadną.

- Ten Biernacki to twardy orzech do zgryzienia. Posiada bardzo wpływowych przyjaciół.

-I na Biernackiego znajdzie się odpowiedni dziadek do orzechów - uśmiechnął się Antonio. - Już z nie takimi twardymi orzechami dawaliśmy sobie radę. Powiedz mi, carissimo Paolo, jakie masz plany na najbliższą przyszłość.

- Podobno ta nowojorska wystawa obrazów Castiglioniego ma być niebawem przeniesiona do Rzymu. Zaczekam na tę imprezę i pomówię z Castiglionim.



- Czy nie sądzisz, że Castiglioni ma coś wspólnego z zamordowaniem twojego brata? - spytał Antonio.

- Myślałem już o tym - odparł Zwoliński. - Raul Pava-ni jest impresariem Castiglioniego. Był w pracowni Roberta i zostawili tam odciski palców. To może nasuwać pewne przypuszczenia, podbudowane tym obrazem.

\*\*\*

I rzeczywiście to nie był „chwilowy kaprys”.

Któregoś popołudnia hrabina zaprosiła Raula do siebie. Jej chłodny sposób bycia nie wróżył nic dobrego. Nie mógł się jednak wykręcić od tej wizyty. Musiał wyjść naprzeciw niebezpieczeństwa.

Poczęstowała go kawą i koniakiem. Nie zaczynała się rozbierać i nawet nie położyła się na tapczanie jak zwykle. Usiadła sztywna i oficjalna na małym foteliku.

-Jak się czujesz? - spytał Raul, żeby coś powiedzieć.

Zmierzyła go chłodnym, nieprzyjaznym spojrzeniem.

- Nie o moim zdrowiu chcę z tobą porozmawiać. Pragnę ci zakomunikować, że wychodzę za mąż.

Mimo iż był przygotowany na najgorsze, ta wiadomość wywarła na nim wstrząsające wrażenie. Chwilę milczał, usiłując zebrać rozproszone, huczące w głowie myśli. Wreszcie się odezwał zmienionym, schrypniętym głosem.

-A ja?

-Co ty?

-Jaki będzie nasz wzajemny stosunek?

- Żaden. Między nami wszystko skończone. Zdajesz sobie chyba sprawę, że jako „romantyczny” kochanek już dawno przestałeś dla mnie istnieć.

Otrząsnął się z pierwszego oszołomienia i zaczął na zimno zastanawiać się nad sytuacją. „Niech się tej podstarzałej amantce nie zdaje, że mnie tak łatwo splawi” - pomyślał i trzeźwiej spojrzał na hrabinę.

- Więc mówisz, że wszystko między nami skończone - powiedział głośno.

Spojrzała na niego energicznym, złym wzrokiem.

- Absolutnie wszystko. Wystawy będzie organizował kto

inny, a jeżeli chodzi o testament, to w najbliższych dniach sporządzę inny, a tamten unieważnię.

Roześmiał się.

- Z czego się śmiejesz?

- Z ciebie oczywiście. Czy ty sobie wyobrażasz, że po tym wszystkim, co nas łączyło i co nas łączy w dalszym ciągu, zdołasz się mnie tak łatwo pozbyć, wyrzucić za okno jak zużytą i już niepotrzebną szmatę. Zdaje się, że mnie nie doceniasz, chociaż znamy się przecież dosyć długo.

- Wynagrodzę cię. Dam ci odszkodowanie.

- Gwizdnę na twoje odszkodowanie. Chcę wszystko! Rozumiesz, chcę wszystko, tak jak było umówione. Nie zmienisz testamentu.

- Zmienię!

-Jeżeli zmienisz testament, to...

- To co?

- To zrobię taki skandal, że długo będzie o tym głośno w prasie całego świata. Zdemaskuję ciebie i twojego „genialnego” synalka.

- Nie zrobisz tego.

- Zobaczysz, że zrobię. Jutro jest otwarcie wystawy i na tym wernisażu...

- Pamiętaj, że mam cię w rękę.

- Ty? Mnie?

- Oczywiście. Zeznam, że zabiłeś Zwolińskiego.

- Kto ci uwierzy?

-Wszyscy. Prędkiej mnie niżeli tobie. Wiesz, jaką nam pozycję. A ty jesteś nikim. Rozumiesz? Nikim.

- To ci się tak tylko zdaje. Ja także mam możnych przyjaciół. Zresztą jeżeli kogoś się oskarża o morderstwo, to trzeba mieć na to dowody, konkretne dowody. Same słowa nie wystarczą.

- Powiem, że to ja wydałam ci polecenie, ażeby zlikwidować tego człowieka.

- Chcesz się dostać do więzienia za współudział w zbrodni?

- Wtedy będzie mi już wszystko jedno. Ale pamiętaj. Jeżeli choć słowem piśniesz publicznie o Armandzie, to cię zastrzelę.

Zaśmiał się niezbyt szczerze.

- Nie strasz mnie.

-Ja cię nie straszę. Ja cię ostrzegam.

\*\*\*

I znowu zimne światło jarzeniówek wydobywało z półmroku kształty i kolory. Znowu przyjaciele hrabiny i entuzjaści talentu jej syna przybyli tłumnie. Znowu spożywano znakomite zakąski i pito świetne trunki.

Tak jak zwykle okrzyki zachwytu, gratulacje, uśmiechy, miłe słówka. Hrabina, mimo narastającego w niej z każdą chwilą zdenerwowania, była pozornie zupełnie spokojna. Tak jak zawsze gawędziła z przyjaciółmi, śmiała się, żartowała. Nikt by nie przypuszczał, że jest w takim fatalnym nastroju. Co jakiś czas rzucała baczne spojrzenie na Raula, który krążył po salach milczący i ponury. Żałowała teraz, że wczoraj zaczęła tę rozmowę. To było zupełnie bezsensowne posunięcie. Mogła przecież czekać, aż wystawa zostanie zamknięta. Wtedy ryzyko skandalu byłoby mniejsze. Teraz trudno przewidzieć, jak zachowa się Raul, czy dotrzyma swej groźby. Jeżeli tak, to cały misternie budowany przez lata gmach tej fikcji runie w gruzy. Policja, przesłuchania, prokurator, sąd, może nawet więzienie. Chyba nie będzie taki głupi, chyba się nie odważy. Przecież on także zaangażowany jest w tej sprawie, także będzie odpowiadał. A przecież wie, że ona za milczenie dużo zapłaci, bardzo dużo.

Zwoliński i Antonio przechadzali się wolnym krokiem po salach wystawowych. Zwoliński był zupełnie oszołomiony.

- Przecież te obrazy malował Robert, mój brat. Antonio wziął go pod rękę.

- Daj spokój. Zdaje ci się.

- Nic mi się nie zdaje. Ta sama technika, ta sama kolorystyka, ten sam styl. Niektóre obrazy, malowane bardzo dawno, przypominam sobie jak przez mgłę. Co to znaczy? Co to się dzieje? Muszę natychmiast zobaczyć się z tym Castiglionim. Muszę z nim pomówić.

- Będziesz musiał odłożyć tę rozmowę - powiedział Antonio.

- Castiglioni jest obecnie w Paryżu, gdzie podobno organizuje

wystawę swych prac. Tutaj, na tej wystawie, jest tylko jego matka.

- Porozmawiam z nią.
- Daj spokój. Nie urządź skandali.
- Przecież nie mogę tego tak zostawić. Muszę to wyjaśnić.

Zwoliński uwolnił się od powstrzymującej ręki Antonia i zaczął przepychać się w kierunku sali, w której znajdowała się hrabina otoczona przyjaciółmi. Za nim szedł Antonio, na próżno usiłując mitygować swego przyjaciela.

Nagle nastąpiło coś, co zbulwersowało całe zgromadzenie. Raul Pavani stanął na podwyższeniu, na którym umieszczono jakąś rzeźbę, i mocnym, donośnym głosem powiedział:

- Panie i panowie! Od lat jesteście oszukiwani. To nie są obrazy malowane przez...

Hrabina błyskawicznym ruchem wydobyla z torebki pistolet i strzeliła. Następnie, nie patrząc na leżącego Raula, rzuciła broń i zaczęła biec w kierunku wyjścia.

- Za nią! - krzyknął Antonio.

Jednakże kłębiący się tłum tamował ich ruchy. Kiedy znaleźli się na ulicy, hrabina siedziała już za kierownicą.

- Do wozu!

Zanim jednak wyprowadzili forda z zatłoczonego parkingu, minęło sporo czasu. Antonio połączył się z najbliższymi radiowozami, które przyłączyły się do pościgu.

-Jedzie jak szalona - powiedział Zwoliński.

Antonio skinął głową.

- To silna maszyna. Alfa romeo. Nie damy rady jej dogonić. Chyba żeby blokada...

Próby zablokowania autostrady nie dały jednak pożądanego rezultatu. Hrabina z brawurową

determinacją omijała lub przełamywała wszystkie przeszkody.

- Dokąd ta baba jedzie, do wszystkich diabłów? -wściekał się Antonio.

- Zapewne właśnie do wszystkich diabłów - uśmiechnął się Zwoliński, który w najbardziej skomplikowanych sytuacjach nie tracił poczucia humoru.

W szalonym pędzie dopadli do Mediolanu. Przelecieli przez miasto, nie zważając na rozpaczliwe gwizdki policjantów i na czerwone światła. Co chwilę wóz hrabiny był o parę centymetrów od kraksy.

- Chce się zabić, czy co? - mruczał przez zęby Antonio.

- Niewykluczone - powiedział Zwoliński, któremu pewne fakty same zaczynały się układać w logiczną całość. - Czy wystarczy ci benzyny?

- Wystarczy. Jeszcze nie jadę na rezerwie. I jej także w końcu zabraknie benzyny, wprawdzie alfa romeo ma solidny bak, ale w każdym razie...

Autostrady się skończyły. Na górzystej, kamienistej drodze szalona jazda także musiała się skończyć. Przed tonącym w zieleni ogrodem hrabina zatrzymała wóz, wysiadła i podeszła do forda, z którego także wysiedli Antonio i Zwoliński. Obrzuciła ich przelotnym spojrzeniem. Po chwili uważniej zaczęła się przyglądać Zwolińskiemu.

- Pan jest ogromnie podobny do Roberta. Czy pan jest jego bratem?

- Nazywam się Paweł Zwoliński i jestem bratem Roberta Zwolińskiego, który został zamordowany. Westchnęła.

- Teraz żałuję, że kazałam go zabić. Proszę mi wybaczyć, ale wtedy nie miałam innego wyjścia. Robert wysuwał takie żądania, którym nie mogłam sprostać. Groził mi skandalem. Musiał zniknąć z mojego życia. Powiedziałam wszystko. Czy możecie mi coś obiecać?

- Co? - spytał Zwoliński.

- Obiecacie mi, że nie wejdziecie do tego domu i że pozostanie tu wszystko tak, jak jest teraz.

Antonio energicznie potrząsnął głową.

- Bardzo żałuję, ale to niemożliwe. - Skinął na policjantów, którzy właśnie się zbliżyli. Zabierzcie panią hrabinę do wozu i odwieźcie do Rzymu, do tymczasowego aresztu. Należy zawiadomić prokuratora.

Odeszła wolnym, miarowym krokiem, zapatrzona w jakiś bardzo odległy punkt. Robiła takie wrażenie, jakby nie zdawała sobie sprawy, w jakiej sytuacji nagle się znalazła.

\*\*\*

Siedzieli w altanie i pili sok pomarańczowy.

- Więc pan jest lekarzem - powiedział Antonio.

- Tak. Skończyłem medycynę. Jestem psychiatrą.

- Od dawna pan tu pracuje?

- Od bardzo dawna. Na tym pustkowiu straciłem rachubę czasu.

- To hrabina Castiglioni zaangażowała pana?

- Tak. Opiekuję się tą nieszczęsną istotą.

- I wytrzymuje pan takie życie poza światem, poza ludźmi?

- To trochę skomplikowana historia.

- Mógłby pan nam opowiedzieć tę skomplikowaną historię?

Luciano zawahał się. Ciemne oczy zasnuły się mgłą. Po chwili ruchem pełnym determinacji machnął ręką.

- Dobrze, powiem, właściwie już mi jest wszystko jedno. To było tak dawno. Podejrzewano mnie o zamordowanie żony. Ja jej nie zabiłem, ale wszystkie okoliczności, wszystkie pozory przemawiały przeciwko mnie. Groziło mi dożywotnie więzienie. Wtedy zaopiekowała się mną hrabina Castiglioni. Złożyła ogromną kaucję i umieściła mnie na tym odludziu. Miałem za zadanie opiekować się tym dziwnym stworem. Niczego mi tu nie brakowało, opłacała mnie hojnie, ale...

- Ten potworek... - wtrącił się Zwoliński.

- Ten potworek, którego panowie widzieli, to dziecko hrabiny. To straszliwa tragedia, wyznała mi kiedyś w przystępie szczerości, że zawsze marzyła, żeby mieć syna artystę, którego wspaniały talent dorównywałby Michałowi Aniołowi, Rafaelowi i innym mistrzom Odrodzenia. I nagle urodziło się to monstrum. Nie miała siły, nie mogła się zdecydować, żeby go uśpić, żeby przestał żyć. Długi czas łudziła się nadzieją, że się zmieni, że z tego wyrośnie. Nie zmienił się. Nie pomogli lekarze, przeróżne kuracje i kosztowne leki. Wydała majątek, żeby z niego zrobić normalnego człowieka. Na próżno.

- I pan trwał tak tutaj przez cały ten czas? - spytał Antonio.

Luciano ruchem pełnym bezradności rozłożył ręce.

- Cóż mogłem zrobić? Groziła mi, że jeżeli ją opuszczę, to wtrąci mnie do więzienia. Przy jej znajomościach, przy jej

stosunkach wszystko było możliwe. Bałem się odejść, bałem się więzienia.

Spotkali się znowu w hotelowym pokoju. Zaraz na wstępie Zwoliński spytał:

— Przesłuchałeś go?

— Tak. Jest poważnie ranny, ale przytomny. Kula przeszła koło samego serca. Mały kaliber. Lekarz pozwolił mi na chwilę rozmowy.

— No i co?

- Załamał się i przyznał się do wszystkiego. Zdaje sobie sprawę, że będzie oskarżony o zamordowanie twojego brata i o oszustwo z tymi obrazami. Pomyśl tylko, ile czasu ludzie wierzyli, że je malował Armando Castiglioni.

- Zupełnie nieprawdopodobna historia - powiedział Zwoliński. - Ale przyznam ci się, że jestem zdumiony, że Robert, taki utalentowany artysta, zgodził się sprzedawać swoje prace tej zwariowanej hrabinie.

- Najwyraźniej nie zależało mu na sławie, tylko na pieniądzech. Wyobrażam sobie, ile teraz będą warte te obrazy, po tym niezbyt udanym wernisażu. Powinieneś się tym zainteresować. Jesteś bratem artysty.



*Ali-Baba*